Dwór prezydenta • Swary przy stole • Religia online • Historia „Faraona”
Zamkomania • Wakacje między wojnami • Piłsudski rozmawia z Dmowskim

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

POLITYKA.PL

POLITYKA

WYDANIE NA ŚWIĘTA

TYGODNIK, nr 14 (3558), 1.04–7.04.2026

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Alergia na wiosnę

12 mln uczulonych Polaków.
Skąd się wzięła ta epidemia?

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Wydanie w sprzedaży do 7.04.2026
ISSN 0032-3500
14
9 770032 350602

eprasa.pl 7cd57e2719

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Dr Irena Eris

HOTEL SPA
KRYNICA ZDRÓJ 12+

Prawdziwe SPA dla dorosłych

Witamy w Hotelu SPA Dr Irena Eris Krynica Zdrój 12+, gdzie można zaznać pełni relaksu w objęciach natury. Wyjątkowo usytuowany hotel zapewnia niezapomniane wrażenia, dzięki czarującym widokom na góry Beskidu Sądeckiego.

Cisza i spokój oraz bogata oferta SPA & wellness są spełnieniem marzeń o prawdziwym SPA, gdzie słowo „relaks" nabiera realnego i dogłębnego znaczenia. Przestronne pokoje oferują najwyższy poziom komfortu i wygody, a profesjonalny zespół dba o najdrobniejsze szczegóły, dzięki którym Goście czują się dopieszczeni w każdym calu. Całość dopełnia Restauracja Szósty Zmysł, wyróżniona w tym roku dwiema czapkami kucharskimi i ujęta w przewodniku Gault & Millau.

2026 Gault&Millau INTERNATIONAL GUIDE

DrIrenaErisSPA.com

epressa.pl 7cd57e2719

Spokojnych świąt pełnych czułości (i bez uczuleń) życzy zespół POLITYKI!

© ZENON ŻYBURTOWICZ/EAST NEWS

16 Wielkanocne dyskusje Polaków

Temat tygodnia

12 Paweł Walewski **12 mln Polaków cierpi na alergie**

Temat na święta

16 Michał Danielewski **O co pokłócimy się przy stole**

Rozmowa na święta

19 O internetowych mszach i księżach-robotach opowiada dr hab. **Marta Kołodziejska**

Polityka

22 Anna Dąbrowska **Wszyscy ludzie prezydenta**
26 Rafał Kalukin **25 lat z PiS**
29 Co daje Rosji amerykańska interwencja w Iranie, mówi **Michael McFaul**, były ambasador USA w Moskwie

Społeczeństwo

OPOWIEŚCI ŚWIĄTECZNE
32 Juliusz Ćwieluch **30 lat pił, 18 lat temu wytrzeźwiał**
34 Katarzyna Kaczorowska **Dzieci odebrane i oddane**
36 Zbigniew Borek **Przedsiębiorca z żelaza**
38 Aktor **Marian Dziędziel** o niełatwych doświadczeniach, wierze i miłości do aktorstwa, a także o odchodzeniu
42 Marcin Kołodziejczyk **Tygrysy, kultowe wojenne miniopowieści, wracają na księgarski front**

Rynek

46 Cezary Kowanda **Jak planować urlop w wojennych czasach**
49 Joanna Solska **Choć mieszkańców ubywa, mieszkań nie przybywa**

Świat

54 Paweł Reszka, Timur Olevskiy ROSJA **Dramat dezertera**
58 Aleksandra Lipczak HISZPANIA **Na lewicową nutę**
61 Kinga Strzelecka-Pilch FRANCJA **Pragmatyczna Marsylia**

Nauka/projektpulsar.pl

64 O małych niedźwiedziach i wielkiej polityce opowiada dr **Piotr Parzymies**, autor książki „Historia pandy wielkiej"
67 Agnieszka Krzemińska **Płynna granica między łowiectwem a rolnictwem**
70 Katarzyna Czarnecka **Ruszają nasze 26. Nagrody Naukowe**

Historia

72 ROZMOWA NA PRIMA APRILIS **Józef Piłsudski** i **Roman Dmowski** o dzisiejszej Polsce, UE, Ukrainie oraz świecie Trumpa i Putina
76 Katarzyna Kostecka **Jak wskrzeszano nieochrzczone dzieci**
79 **Ezio Gavazzeni**, włoski dziennikarz, o wstrząsającej turystyce polowań na ludzi w oblężonym Sarajewie

Kultura

86 Piotr Sarzyński **Polacy wciąż reanimują i budują zamki**
89 Jakub Demiańczuk **60 lat temu Kawalerowicz nakręcił swój blockbuster – „Faraona"**
92 Rozmowa z **Hanną Krall** o jej nowej poruszającej książce „Tego się nie mówi"
95 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
96 Justyna Sobolewska **Wiesław Myśliwski: życie opowiedziane**

Ludzie i style

102–105 • **Pisanki, kraszanki, oklejanki** • **Wyluzowany duet Mind Enterprises** • **Żonata, mężaty** • **Unikatowa Georgia Południowa** • **Kocie wina**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **82** Afisz • **97** Orliński • **98** Chutnik i Plebanek • **99** Hartman • **100** Mizerski • **100**, **106** Galeria POLITYKI • **101** Do i od redakcji • **106** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 7cd57e2719

Z Trumpem przy stole

Jerzy Baczyński

Na święta dostaliśmy w prezencie CPN. Chodzi o ceny paliw, które od wybuchu wojny z Iranem wzrosły o 30–40 proc., co mogło zdezorganizować plany rodzinnych podróży, zepsuć nastroje przy świątecznych stołach, zezłościć na bezczynność rządzących, dać, nomen omen, paliwo opozycji. Co prawda premier tłumaczył, że za globalny szok naftowy odpowiada inny Donald T., ale zrobić coś musiał – i tak powstał program o dowcipnej nazwie CPN – Ceny Paliwa Niżej, czyli takiej doraźnej obniżki podatków, aby ceny na stacjach mogły być niższe od rynkowych o przynajmniej 1,20 zł na litrze.

CPN, jak starsze pokolenie pewnie pamięta, to była nazwa-logo Centrali Produktów Naftowych, za PRL państwowego monopolisty w obrocie paliwami, w 1999 r. przekształconego w PKN Orlen. Przywołanie nazwy CPN trzeba uznać za rzadką dziś w polityce autoironię, bo domykająca rządowy projekt zapowiedź ustalania przez ministra codziennych cen maksymalnych to faktycznie czysty PRL. Państwowy Orlen ma tak dominującą pozycję na naszym rynku, że mógłby ceny ustalać sam, ale Tusk chyba dobrze odczytał oczekiwania społeczne, że to rząd ma „okazywać sprawczość".

Zatem na rodzinne święta jakoś, po cenach z CPN, dobrniemy i pytanie – o co możemy się tym razem pokłócić. Michał Danielewski (s. 16) uważa, że jeśli rodzina nie jest jednolita politycznie, to właściwie można się pokłócić o wszystko, choć główne dziś tematy (wg CBOS: wojny, groźba inflacji, niepokój o przyszłość) i tak prowadzą do nieprzewidywalnego Donalda Trumpa, który rozsiadł się przy wszystkich stołach.

Ale ogólnie – pomijając kwestie rodzinne i zdrowotne, jak choćby dręczące teraz miliony Polaków alergie – świąteczne nastroje w Polsce nie powinny być złe. Wojny toczą się jednak dość daleko za Tarczą Wschód i Tarczą CPN, za to na naszym podwórku jesteśmy w szczycie koniunktury. Polskie PKB rośnie najszybciej w Unii, bezrobocie jest minimalne, inflacja spadła poniżej 3 proc. rocznie, a Polacy nigdy w historii nie zarabiali tak dobrze. W poprzednim numerze omawialiśmy świeże badania zlecone przez Instytut Narutowicza, z których wynikało, że (nie bez podstaw) „połowa Polek i Polaków jest przekonanych, że Polska jest absolutnie najlepszym krajem do życia na świecie". Równie dobre zdanie mamy też na swój temat (zaradni, pewni siebie, ambitni, hojni) – prawimy sobie komplementy jak, nie przymierzając, Nawrocki Trumpowi w Teksasie. Sobie, ale już nie państwu. Bo choć właściwie wszyscy uważamy się za patriotów, to raczej w wersji mrocznej i fatalistycznej: większość sądzi, że nasz kraj zmierza w złą stronę.

Jak wiemy, w dzisiejszej polityce – ale także rozmowach o polityce – nie liczą się fakty, a interpretacje i narracje. A w internecie i tzw. mediach społecznościowych naturalną przewagę zasięgów zyskują opinie negatywne, radykalne, często zmanipulowane, podbudowane teoriami spiskowymi, promujące konflikt. Polityczna polaryzacja odbiera nam poczucie zbiorowego sukcesu, bo nie ma ani faktów, ani danych, ani autorytetów, które natychmiast nie byłyby kontestowane. Czytam we francuskim „L'Express" obszerne omówienie jednej z najważniejszych ekonomicznych książek roku, czyli „Seven Crashes" prof. Harolda Jamesa z Princeton. Jest tam też o nas; autor zwraca uwagę, że właściwie żadne siły polityczne w Polsce nie bronią dziś ani reform, ani osoby Leszka Balcerowicza, choć to on jest architektem „jednego z najpiękniejszych sukcesów europejskich", a dzisiejsza Polska, zbudowana na fundamencie tamtych reform, jest „motorem całego kontynentu". My nie mamy poczucia historycznej ciągłości, każdy polityczny etap pogardza poprzednim, do każdej dumy dodawany jest wstyd (ciekawie mówi o tym prof. Przemysław Sadura w naszym podkaście „Polskie demo" – do odsłuchania w świątecznej wolnej chwili – więcej na s. 106).

Zewnętrzni obserwatorzy i analitycy nie mają wątpliwości, że polski sukces jest ściśle związany z Unią Europejską, wielkimi transferami pieniędzy, inwestycji, technologii, standardów, otwarciem dla polskich firm potężnego rynku niemieckiego, postępującej transformacji energetycznej, która mocno już uniezależniła polską gospodarkę od politycznie ryzykownych paliw kopalnych. Ale rzeczywistość polityczna jest taka, że każdy z tych filarów polskiej prosperity prawicowa opozycja – budująca na siłę obraz „zagrożenia bytu państwowego" – próbuje teraz podpiłować. Towarzyszy temu coraz bardziej prostacki język. Politycy, wdzięcząc się do algorytmów, „mówią rolkami", grają brutali, nikt nikomu nie przyznaje racji, padają najcięższe oskarżenia o zdradę, agenturę, korupcje, umysłowy i moralny niedorozwój. Donald Trump, wyzywający dziennikarkę od świń czy deklarujący, że monarcha Arabii Saudyjskiej „chce go całować w d…", znajduje u politycznych followersów z prawicy wiernych stylistycznych naśladowców. (U nas o większe podobieństwo do Trumpa ewidentnie rywalizują Nawrocki i Czarnek).

Ale popatrzmy, co się dzieje. W kolejnych krajach europejskich skrajna prawica ma zimny śmigus-dyngus (o Hiszpanii i Francji piszemy na s. 58 i 61), prawdopodobna jest porażka Orbána na Węgrzech, we Włoszech premier Meloni przegrała referendum konstytucyjne, a poparcie dla Trumpa w USA spadło już do 36 proc. Odżywa, rzekomo już pogrzebane, liberalne centrum. Na co dzień ekscytujemy się, oburzamy i fascynujemy politycznymi awanturami, hejtem, chamskimi i wojennymi popisami twardzieli, tym całym triumfującym trumpizmem, ale czasem – i od tego też są święta – warto sobie uświadomić, jak bardzo polityka, jej język i emocje potrafią zaburzyć, zakłamać nasze postrzeganie rzeczywistości i siebie nawzajem. Więc może zróbmy sobie przerwę. I wyprośmy Trumpa od stołu.

eprasa.pl 7cd57e2719

Albatros travel

Albatros 40 lat

Rejs po Karaibach z Houston - kosmiczna przygoda na morzu

Pełne wyżywienie na statku

Wyjątkowa podróż łącząca zwiedzanie Houston – centrum amerykańskiej astronautyki – z komfortowym rejsem po zachodnich Karaibach z postojami na Cozumel, Roatán oraz Costa Maya. Bogactwo atrakcji zarówno na lądzie, jak i na morzu.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Houston. **Dz. 2** Wizyta w Houston Space Center oraz panoramiczne zwiedzanie miasta. **Dz. 3** Houston – San Bernard National Wildlife Refuge – Galveston i zaokrętowanie na statku. **Dz. 4–5** Dni na morzu – Zatoka Meksykańska. Relaks na pokładzie. **Dz. 6** Costa Maya (Meksyk). Czas wolny i relaks na plaży lub wycieczka fakultatywna do miasta Majów - Chacchoben. **Dz. 7** Isla de Roatán (Honduras). Relaks na plaży lub wycieczki fakultatywne. **Dz. 8** Cozumel (Meksyk). Wizyta w barwnym mieście San Miguel oraz możliwość snorkelingu w krystalicznie czystych wodach Morza Karaibskiego. **Dz. 9** Dzień na morzu podczas rejsu po Morzu Karaibskim w drodze powrotnej do Houston. **Dz. 10** Przypłynięcie do Galveston i powrót do domu. **Dz. 11** Przylot do Polski.

11 dni
Wyloty z Warszawy
20/11 2026,
15/01, 29/01 2027
od **10.998,-**

4 kolacje w cenie

Szkockie lato w kratkę

Wichrowe wzgórza, bezkresne wrzosowiska i najlepsza whisky to wizytówka Szkocji – kraju golfa, potwora z Loch Ness i wojowników w kraciastych spódnicach.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Edynburg. Przejazd autokarem do Glasgow. **Dz. 2** Glasgow – Fort William. Spacer przyrodniczy po Parku Narodowym Glencoe i wizyta w zamku Inveraray, jezioro Loch Lomond. **Dz. 3** Wycieczka na wyspę Skye, pomnik jakobitów w Glenfinna, prom z Mallaig, Portree, zamek Armadale i powrót do Fort William. **Dz. 4** William – Inverness. Zwiedzanie zamku Urquhart, poszukiwanie potwora z Loch Ness – Park Narodowy Cairngorms. **Dz. 5** Park Narodowy Caringorm – Speyside – Aberdeen. Piękne nadmorskie miasteczka i wizyta w destylarni whisky z degustacją. **Dz. 6** Aberdeen – Dundee – St. Andrews – Edynburg. Średniowieczne ruiny zamku St. Andrews, uniwersytet i pole golfowe. **Dz. 7** Zwiedzanie Edynburga. Stare i Nowe Miasto, popołudnie do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Powrót do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 30/07 2026
Wylot z Krakowa 24/09 2026 | od **8.998,-**

6 obiadów i 9 kolacji w cenie

Z Victoria Falls przez Afrykę pociągiem Rovos Rail

Niezwykła podróż luksusowym pociągiem przez Zimbabwe i RPA – w połączeniu z imponującymi Wodospadami Wiktorii i klasycznym safari w stylu Karen Blixen.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga. Przejazd do campu Zebra Nature Reserve. **Dz. 3** Przelot do Wodospadów Wiktorii. Rejs o zachodzie słońca po rzece Zambezi. Powitalna kolacja. **Dz. 4** Victoria Falls. Wycieczka do wodospadów. **Dz. 5** Victoria Falls. Wizyta w tradycyjnej wiosce. Wejście na pokład pociągu Rovos Rail. **Dz. 6** Rovos Rail. Safari w Parku Narodowym Hwangwe w Zimbabwe. **Dz. 7** Rovos Rail. Zimbabwe – RPA. **Dz. 8** Rovos Rail. Przyjazd do Pretorii i zwiedzanie stolicy. Przejazd do Entabeni Privet Game Reserve. **Dz. 9–11** Entabeni Privet Game Reserve. Bliskie spotkania z dziką naturą na safari. **Dz. 12** Entabeni Privet Game Reserve – Johannesburg. Wizyta w Soweto i powrót do Polski. **Dz. 13** Przylot do Warszawy.

13 dni | Wyloty z Warszawy 06/10 2026, 22/01, 14/04 2027 | od **29.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL11**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 7cd57e2719

KRAJ

CPN i cdn.?

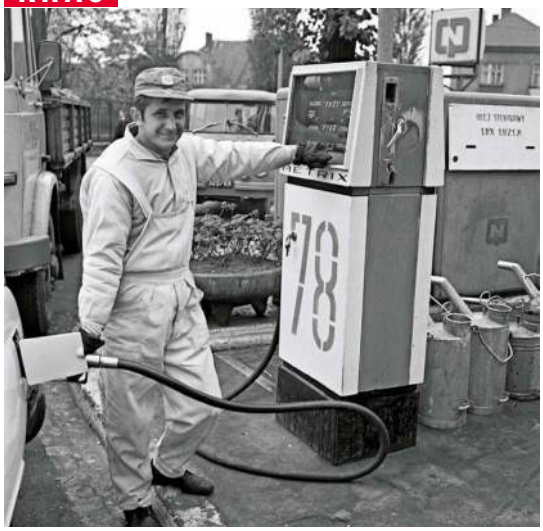

Są w Polsce sprawy, wokół których możliwe jest porozumienie ponad podziałami: to ceny paliw. Rządowy pakiet ustaw zwany CPN, czyli Ceny Paliw Niżej, przyjęty na nadzwyczajnym posiedzeniu rządu, trafił błyskawicznie do Sejmu, gdzie natychmiast został jednogłośnie przyjęty. Poparł go także PiS, choć partia ta kilka dni wcześniej zgłosiła własny projekt o podobnym charakterze. Potem CPN przemknął przez Senat, by poszybować do prezydenta Nawrockiego, który podpisał go nad Atlantykiem w czasie lotu do USA. Wszystko po to, by jeszcze przed Wielkanocą, kiedy wielu Polaków rusza w dalszą samochodową podróż, ceny spadły.

Pakiet CPN przewiduje obniżkę VAT od paliw do 8 proc., akcyzy zaś do najniższego poziomu dopuszczonego prawem UE. W sumie ma to dać obniżkę o 1,20 zł na litrze benzyny i oleju napędowego. Dodatkowo wprowadzony zostaje mechanizm maksymalnych cen detalicznych, ustalanych każdego dnia przez ministra energii. Za próbę sprzedaży po cenie wyższej czekają właścicieli stacji wysokie kary; mogą konkurować, tylko redukując swoją marżę i obniżając ceny. Dodatkowo Donald Tusk zagroził, że jeśli koncerny naftowe będą na kryzysie paliwowym osiągać nadzwyczajne zyski, to zapłacą od nich specjalny podatek zwany *windfall tax*.

Polska musi jeszcze dla pakietu CPN uzyskać akceptację Komisji Europejskiej, z czym, jak zapewnił premier, nie powinno być kłopotu, choć Bruksela apelowała wcześniej, by państwa koncentrowały swą pomoc raczej na grupach najbardziej potrzebujących, a nie na wszystkich, także tych, których stać na droższe tankowanie. Bo pakiet CPN nie jest za darmo: w ciągu miesiąca ubytek dochodów podatkowych wyniesie ok. 1,6 mld zł.

Polska jest kolejnym krajem UE, który reaguje na kryzys paliwowy wywołany wojną w Zatoce Perskiej. Podobne rozwiązania wprowadzają m.in. Chorwacja, Włochy, Austria, Portugalia, Węgry. Wszystko są to jednak środki znieczulające ból, a nie leczące chorobę. Szef Międzynarodowej Agencji Energetycznej Fatih Birol ostrzegł, że świat stoi w obliczu kryzysu energetycznego gorszego niż dwa kryzysy naftowe z 1973 i 1979 r. plus skutki wojny w Ukrainie razem wzięte. Zamknięcie cieśniny Ormuz i ataki na obiekty energetyczne doprowadziły do zmniejszenia światowego zaopatrzenia w ropę naftową o ok. 11 mln baryłek dziennie, co stanowi ponad dwukrotność łącznych niedoborów w czasie kryzysów lat 70. Przy ograniczonej dostępności ropy mogą się więc niebawem pojawić problemy nie z cenami paliw, ale z ich brakiem na stacjach. Kierowcy pamiętający peerelowskie stacje CPN znają ten problem. I co wtedy: benzyna na kartki?

ADAM GRZESZAK

Trenera pilnie zatrudnią!

Najpierw **Iga Świątek** rozstała się z trenerem **Wimem Fissettem**, tuż potem Hubert Hurkacz pożegnał się z Chilijczykiem Nicolásem Massú. Oba kontrakty zostały zawarte jesienią 2024 r. W obu przypadkach można mówić o rozczarowaniach. Polka wygrała z Fissettem Wimbledon i tego sukcesu nikt Belgowi nie odbierze. Wspólnie zdobyli jeszcze tytuły w Cincinnati i Seulu (2025 r.). Ale mecze Igi stały się nieprzewidywalne: albo gra bezbłędnie, albo jest zupełnie pogubiona i bezradna. Turniej w Miami (zakończył się w ostatni weekend) przelał czarę goryczy – Polka odpadła już w drugiej rundzie, pokonana przez niżej notowaną rodaczkę Magdę Linette. Od 2021 r. Iga nie odpadła z rozgrywek na tak wczesnym etapie.

Jeśli forma Świątek faluje, to Hurkacz jest na równi pochyłej. Po zabiegach i kontuzjach, które nadal o sobie przypominają, zajmuje 75. miejsce w rankingu ATP, choć w najlepszych czasach był nawet szósty. W sezon wszedł zmotywowany, ale po kapitalnych występach w United Cup nie został ślad. Hurkacz w tym czasie zagrał nawet w challengerze, rozgrywkach niższej rangi, ale bez sukcesu. Dla wprawy zaczął też grać debla.

Kto ich teraz poprowadzi? Giełda nazwisk ruszyła błyskawicznie, zwłaszcza w przypadku Igi, która zawsze ściąga więcej uwagi. Wiadomo, że w jej boksie nie zasiądzie Piotr Woźniacki, jak spekulowano, nie powróci też Tomasz Wiktorowski (trenuje Naomi Osakę). Mówi się nieco o Dawidzie Celcie, kapitanie reprezentacji Polek. A jeśli wierzyć bukmacherom, największe szanse mają Hiszpan Francisco Roig, do niedawna trener Emmy Raducanu, w przeszłości związany m.in. z Rafaelem Nadalem, oraz Argentyńczyk Carlos Rodríguez, znany zwłaszcza ze współpracy z Justine Henin. Jest jeszcze Juan Carlos Ferrero, z którym rozstał się niedawno lider rankingu ATP Carlos Alcaraz. A kto dla Hurkacza? Wolny jest na pewno Fissette…

W toku sezonu takie zmiany przeprowadza się trudno. Rozgrywki przenoszą się już na korty ziemne, ulubioną nawierzchnię Świątek, która po Miami opuściła podium rankingu WTA i dziś melduje się na czwartym miejscu.

A internet kpi i kipi: czy właściwa osoba traci posadę? Czy psycholożka Daria Abramowicz ustąpi trochę miejsca w boksie dla nowego trenera? Ktokolwiek nim zostanie, musi mieć autorytet i siłę przebicia. AŻ

© PAP/JAKUB GRELOWSKI, OLIMPIK/NURPHOTO/GETTY IMAGES, GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl 7cd57e2719

Lex wstyd

Nie jesteś jednym z nas – napisali kibole na transparencie na trybunach. Zabolało, i prezydent Karol „Weto" Nawrocki już w dwa tygodnie po zawetowaniu rządowej nowelizacji procedury karnej wniósł zawetowany projekt z powrotem do Sejmu, z dopisanymi kilkoma zmianami. Okazuje się, że stadionowa identyfikacja **Karola Nawrockiego** jest u niego silniejsza niż prawicowa. I tak mamy pierwszy w dziejach III RP przypadek, że prawicowy polityk wniósł do Sejmu projekt łagodzący, a nie zaostrzający prawo karne.

Rządowy projekt zmian w Kodeksie postępowania karnego i kilku innych ustawach znosił wprowadzone za rządów PiS rozwiązania, które naruszały prawo do obrony, dawały prokuratorowi dominującą pozycję w procesie (czasem nawet wobec sądu), ograniczały możliwość stosowania i przedłużania aresztu tymczasowego, poszerzały możliwość inwigilacji, nie pozwalały sądowi odrzucać dowodów zdobytych z naruszeniem prawa (np. wymuszonych biciem czy zdobytych w drodze przeszukania, na które nie było zgody prokuratora). Rządowy projekt wykonywał też unijne dyrektywy dotyczące m.in. prawa do obrony czy ochrony pokrzywdzonych.

Prezydent zawetował tę nowelizację w piątek 13 marca. Na stronie prezydent.pl ukazało się krótkie uzasadnienie rzecznika prezydenta Rafała Leśkiewicza, że „decyzja została podjęta z troski o bezpieczeństwo obywateli i skuteczność państwa w walce z najgroźniejszą przestępczością". A „nowe przepisy mogłyby utrudniać prowadzenie postępowań karnych, co byłoby sprzeczne z interesem obywateli i obowiązkiem państwa do zapewnienia im bezpieczeństwa".

Jeszcze tego samego dnia rozpoczęła się na piłkarskich stadionach w całej Polsce akcja zawstydzania. Na meczu Piasta Gliwice z Radomiakiem Radom pojawił się baner: „K. Nawrocki – niekończące się areszty, nielegalne dowody, 60-tkom [tzw. małym świadkom koronnym, którzy w nadziei na łagodniejszy wyrok współpracują z prokuraturą – przyp. red.] podajesz rękę, a krzywdzącym ludzi organom przyznajesz swobody. Nie jesteś jednym z nas!". I przez weekend poleciało na ligowych stadionach całej Polski: „K. Nawrocki – po cichu ustawę wetujesz, wieloletnie areszty bez dowodów akceptujesz". „Prezydencie zapomniałeś, dzięki kogo głosom wygrałeś. Jak Judasz nasze ideały dla prezesa zaprzedałeś", „Je*** cię ku***". To jak wyrok banicji dla Karola Nawrockiego z polskich ligowych stadionów.

W poniedziałek 16 marca zmieniło się uzasadnienie prezydenckiego weta. Szef jego kancelarii Zbigniew Bogucki wyjaśniał, że prezydent bronił dzieci, bo jeden z przepisów rządowej nowelizacji miał sprawić, że nie można by było stosować tymczasowego aresztowania wobec podejrzanych: o uszkodzenie ciała dziecka poczętego, o uwodzenie dzieci przez internet czy o rozpijanie małoletniego. Stwierdził, że ta ustawa to „wielki wstyd dla ministra Żurka".

Ale zawstydził się, jak widać, prezydent. I dobrze, bo jest czego.

EWA SIEDLECKA

REKLAMA

Subskrybuj „Politykę" na Wielkanoc

6 miesięcy dostępu tylko 119 zł

Kup subskrypcję

www.polityka.pl/powitalna

Oferta wkrótce się kończy

eprasa.pl 7ed57e2719

TYDZIEŃ W POLITYCE

Harcownik wyprowadzony w pole

Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk; doradca prezydenta RP w latach 2010–15

Namaszczony przez Jarosława Kaczyńskiego na premiera Przemysław Czarnek dwoi się i troi, by zaprezentować się w nowej roli. Zachowuje się tak, jakby uwierzył, że zostanie szefem rządu. Może to zresztą tylko dobra mina do złej gry. Inteligentny człowiek musi przecież zdawać sobie sprawę, że czasy, w których Kaczyński arbitralnie nominował premiera, definitywnie się skończyły.

Przede wszystkim dlatego, że desygnowanie prezesa Rady Ministrów jest jedną z najważniejszych prerogatyw prezydenta (art. 154 konstytucji), której ambitny Karol Nawrocki na pewno nie wyrzeknie się tak łatwo jak potulny Andrzej Duda.

Na niekorzyść Kaczyńskiego świadczy też fakt, że jest on dzisiaj zaledwie cieniem potężnego prezesa partii, posiadającej po 2015 r. bezwzględną większość w Sejmie. Nawet gdyby prawicowo-nacjonalistyczna opozycja wygrała w 2027 r. wybory, co wcale nie jest przesądzone, to PiS, zdobywający w sondażach dwadzieścia kilka procent, skazany będzie na udział w rządzie koalicyjnym. W negocjowaniu jego składu nie będzie miał silnej pozycji. Brakuje mu bowiem, w przeciwieństwie do Konfederacji, swobody manewru, co Mentzen i Bosak bezlitośnie wykorzystają.

Dzielących rządowy tort może być zresztą więcej, bo wynik wyborów jest dzisiaj wielką niewiadomą. Jest natomiast pewne, że mniejsze partie będą pamiętały, jak marnie skończyły w przeszłości pisowskie „przystawki". By uniknąć podobnego losu, zablokują hegemonistyczne zapędy Nowogrodzkiej. Właśnie takie jak aroganckie, bez żadnych konsultacji, obsadzenie przez Kaczyńskiego stanowiska szefa wspólnego rządu. Krótko mówiąc, koalicjanci zablokują Czarnka. Dopną swego, bo wesprze ich Nawrocki, który nie przepuści okazji, by pokazać, kto tu rozdaje karty. Prezes będzie musiał się ogarnąć.

Nasuwa się pytanie, czy Kaczyński, uchodzący za mistrza politycznych rozgrywek, nie zdaje sobie z tego sprawy? Mało prawdopodobne. Tak naprawdę tylko mami Czarnka mirażem premierostwa, a używa go jako harcownika mającego siać zamieszanie przed rzeczywistą rozgrywką, w której wojownik z Lublina nie weźmie już udziału, poobijany i zużyty w kilkunastomiesięcznym boju.

Tak przecież walczyli harcownicy przez wiele wieków. Rozpoznawali pole walki, szerzyli zamęt, dawali głównym siłom czas na zajęcie dogodnych pozycji. Zdarzało się, że zyskiwali wielką sławę. Nigdy jednak nie awansowali na hetmanów i kanclerzy. Czarnek też nie będzie premierem, nawet jeśli to do obozu prawicowo-nacjonalistycznego uśmiechnie się wyborcze szczęście. Gdyby Kaczyński widział go na tym stanowisku, nie zużyłby go do cna w początkowej fazie batalii, powierzając mu niewdzięczne zadanie polegające na odwojowaniu na rzecz PiS, w bratobójczym konflikcie, wyborców Konfederacji, a o to przecież w tym ruchu chodzi.

Dziś za wcześnie wyrokować, kto może stanąć na czele rządu. Najpoważniejsi gracze wolą się z tym nie obnosić. Pamiętają, że kto na konklawe wchodzi jako papież, wychodzi z niego jako kardynał.

Nie wszyscy neosędziowie neosędziami

TSUE wydał pierwszy wyrok w sprawie statusu neosędziów sądów powszechnych: do stwierdzenia, że nie dają gwarancji bezstronności i niezawisłości, nie wystarczy mianowanie z udziałem neoKrajowej Rady Sądownictwa. Trzeba zbadać, czy w trakcie konkursu przed neoKRS zaszły istotne nieprawidłowości. Podobna konkluzja wynikała z uchwały trzech połączonych Izb Sądu Najwyższego ze stycznia 2020 r.

Marcin Warchoł, były wiceminister sprawiedliwości w rządzie PiS, napisał na X: „orzeczenie to bomba atomowa zrzucona na głowę Koalicji 13 grudnia". Politycy PiS uznali bowiem, że po wyroku TSUE procedowana właśnie w sejmie rządowa ustawa porządkująca status neosędziów nadaje się do kosza. Ustawa nakazuje bowiem wszystkim neosędziom w terminie trzech lat ponownie stanąć do konkursu na miejsca, na które awansowali z udziałem neoKRS, nie różnicując, czy w trakcie konkursu przed neoKRS były istotne nieprawidłowości.

A nieprawidłowości bywały poważne. Podczas konkursów upolityczniona neoKRS uprzywilejowała bowiem kandydatów, których popierał PiS, którzy wyrażali podczas przesłuchania konkursowego poglądy prawne zgodne z poglądami PiS, a przede wszystkim popierali sądowe reformy ministra Ziobry. Tacy kandydaci wygrywali z konkurentami mającymi wyższe kwalifikacje, tytuły naukowe, uznany dorobek orzeczniczy i pozytywną opinię kolegium sądu. Awans dzięki nominacji od KRS dostawali też sędziowie, którzy przedtem podpisali listę poparcia członkowi lub członkom neoKRS, gdy ci kandydowali do Rady. Kolejna patologia: z głosowania nad kandydaturą nie wyłączali się członkowie Rady mający oczywisty konflikt interesów. Bywało też, że konkurs na wolne miejsce sędziowskie neoKRS przeprowadzała w kilka minut, czyli: pozorowała jego przeprowadzenie. To tylko niektóre z nadużyć podczas konkursów przed neoKRS.

Na X minister sprawiedliwości **Waldemar Żurek** skomentował, że wyrok TSUE „potwierdził systemowy problem wadliwych powołań", a przewidzianą w projekcie rządowej ustawy reformę trzeba doprowadzić do końca.

Wyrok TSUE wydaje się rozwiązaniem kompromisowym: nie zakwestionuje awansów tych neosędziów, którzy wygrali uczciwy konkurs, tyle że przeprowadzony przez niekonstytucyjnie powołany organ, ale może odsiać tych skorumpowanych i niekompetentnych. A jeśli prezydent zawetuje rządową ustawę, będzie miał duże praktyczne znaczenie dla uregulowania statusu neosędziów, bo obowiązek stosowania się do niego mają wszyscy sędziowie. Uregulowania prawnego wymagać będzie natomiast – co orzekł TSUE – status neosędziów, co do których stwierdzi się istotne nieprawidłowości podczas konkursów przed neoKRS. ES

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 7cd57e2719

Dla wielozadaniowców
Monitory interaktywne

SMART®

www.irs.com.pl

tel . + 48 602 336 341

eprasa.pl 7cd57e2719

Teraz inwazja?

Ktoś tu musi kłamać, bo przez cały ubiegły tydzień strony wojny w Iranie wydawały sprzeczne komunikaty. Prezydent Donald Trump przekonywał, że Stany Zjednoczone szykują się do lądowej inwazji… i jednocześnie zapewniał, że rozmowy z Irańczykami idą doskonale – dlatego m.in. szósty raz od początku wojny przełożył „ostateczny deadline", tym razem na 6 kwietnia – później, w wypadku braku porozumienia, ma nastąpić zmasowany atak na irańskie elektrownie. Jednocześnie Irańczycy wciąż twierdzą, że żadne rozmowy z Amerykanami się nie toczą, ale innego zdania są Pakistańczycy, obecnie główni pośrednicy zwaśnionych stron.

Na głównego partnera do rozmów ze strony Iranu wyrasta szef tamtejszego parlamentu Mohammad Baker Kalibaf. Ten „zawodowy przegrany" irańskiej polityki – jak mówią o nim nasi rozmówcy (cztery razy przegrał wybory prezydenckie) – jest dziś jednym z niewielu żyjących wciąż członków elity reżimu. Ma na dodatek bliskie kontakty z kierownictwem Strażników Rewolucji, dlatego Amerykanie mogą zakładać, że umowa dogadana z Kalibafem będzie egzekwowana. Tym bardziej że to elastyczny ideologicznie biznesmen, znany w Iranie głównie z korupcji.

Musi się jednak uwiarygodnić w kraju, stąd jego ostre wypowiedzi na temat potencjalnej inwazji lądowej Amerykanów – zagroził, że w takim wypadku spadnie na nich „ognisty deszcz". A taki atak jest coraz bardziej prawdopodobny: w piątek w pobliże Zatoki Perskiej dotarł amerykański desantowiec USS Tripoli z 3,5 tys. żołnierzy na pokładzie, w sumie więc Amerykanie mają u granic Iranu 10-tysięczne siły.

Trump mówi już o potencjalnych celach inwazji. To przede wszystkim wyspa Chark na północy Zatoki, przez którą w normalnych okolicznościach przechodzi 90 proc. eksportowanej irańskiej ropy. Prezydent USA mówi również o zajęciu kilku wysepek w samej, wciąż **blokowanej cieśninie Ormuz**, a także o desancie *marines* w głąb Iranu, aby wywieźć stamtąd ok. 460 kg wzbogaconego uranu. Rozmowy o zawieszeniu broni, które miały się odbyć już po zamknięciu tego numeru POLITYKI w Islamabadzie, mogą się więc okazać tylko przykrywką dla kolejnego – tym razem lądowego – etapu wojny.

Tym bardziej że punktem wyjścia do tych negocjacji ma być złożony z 15 pozycji „plan Trumpa", który jest kopią amerykańskiej propozycji z maja ubiegłego roku. Wówczas ten plan okazał się przykrywką dla amerykańsko-izraelskiego ataku z czerwca 2025 r. Zawiera m.in. żądanie likwidacji irańskich programów nuklearnego i balistycznego oraz zakaz wspierania sojuszniczych organizacji w regionie (Hamas, Hezbollah, Huti). Taka propozycja wydaje się nie do przyjęcia dla Irańczyków, którzy wysunęli swoje warunki, m.in. pisemna obietnica nieatakowania Iranu w przyszłości, odszkodowanie za obecne zniszczenia od USA, opłaty za przepłynięcie Ormuz oraz likwidacja amerykańskich baz w regionie. Obie strony wysuwają więc żądania nie do przyjęcia dla drugiej.

Izrael nie prowadzi żadnych negocjacji i wciąż atakuje na dwóch frontach. W weekend premier Beniamin Netanjahu zapowiedział rozszerzenie okupacji południowego Libanu, gdzie w wyniku izraelskiego bombardowania zginęło już ponad 1,2 tys. osób, a ok. 1,2 mln musiało opuścić swoje domy. Wskutek ataków – nie wiadomo, z której strony – w weekend zginął indonezyjski żołnierz UNIFIL, oenzetowskiej misji w Libanie, ranny został również polski wojskowy. Izraelska prasa pisze już o zastosowaniu „gazańskiego modelu okupacji" na zajętych terenach libańskich, aby"ostatecznie wyeliminować" zagrożenie ze strony Hezbollahu.

W samym Izraelu w Niedzielę Palmową służby porządkowe nie pozwoliły łacińskiemu patriarsze Jerozolimy odprawić mszy w Bazylice Grobu Pańskiego, pierwszy taki przypadek od kilkuset lat. Oficjalnie: z powodu braku bezpieczeństwa – irańskie pociski regularnie przelatują nad Jerozolimą.

Jednocześnie Izrael wciąż atakuje Teheran oraz irańską sieć energetyczną, a Iran nie pozostaje dłużny – przed weekendem irańskie rakiety trafiły w jedną z izraelskich fabryk na południu kraju, co miało wywołać lokalne skażenie. W zeszłym tygodniu wymiana ciosów nabrała charakteru branżowego. Najpierw Izrael zbombardował dwie irańskie huty stali, a dwa dni później Iran odpowiedział uderzeniami w dwie huty aluminium w Bahrajnie i Zjednoczonych Emiratach. Po amerykańsko-izraelskich atakach na irańskie uniwersytety Teheran zaapelował do wykładowców i studentów amerykańskich uczelni w regionie, m.in. w Katarze i Zjednoczonych Emiratach, o „odsunięcie się od kampusów na co najmniej kilometr".

W sobotę w obronie Iranu za spust pociągnęli jemeńscy Huti. To militarne ugrupowanie szyickie, od lat związane z Teheranem, kontroluje zachodni Jemen i podczas wojny w Strefie Gazy 2023–24 w ramach solidarności z Palestyńczykami nie tylko regularnie ostrzeliwało Izrael, ale także w praktyce zamknęło cieśninę Bab al-Mandab u zachodnich wybrzeży Jemenu, która łączy Morze Czerwone i Ocean Indyjski. Tym razem Huti uderzyli tylko w Izrael, ale groźba ponownego zamknięcia Bab al-Mandab przy jednoczesnej blokadzie Ormuzu wywindowała cenę baryłki ropy do 115 dol.

Ta cena to jednak według Irańczyków dopiero początek. Rzecznik Strażników Rewolucji zapowiedział, że jeśli dojdzie do lądowej inwazji wojsk USA, Iran zaatakuje również saudyjskie rafinerie (w weekend dostało się największej saudyjskiej bazie lotniczej Prince Sultan) oraz rurociągi, przez które saudyjska ropa z zablokowanej zatoki płynie do wybrzeża Morza Czerwonego. A wówczas – jak twierdzą Irańczycy – „150 dol. za baryłkę to będzie tanio".

ŁUKASZ WÓJCIK

© MORTEZA NIKOUBAZL/NURPHOTO/GETTY IMAGE, AFP/EAST NEWS, FERENC ISZA/AFP/EAST NEWS, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7cd57e2719

Węgry: decydujące starcie

Na niespełna dwa tygodnie przed wyborami parlamentarnymi na Węgrzech, które odbędą się 12 kwietnia, Viktor Orbán i **Péter Magyar** zarzucają sobie nawzajem zdradę, a przywódcy trumpowskiej międzynarodówki i Kreml robią, co w ich mocy, by przechylić szalę zwycięstwa na korzyść rządzącego Fideszu.

Uczestnicy wiecu poparcia dla premiera Węgier w Budapeszcie prześcigali się w peanach na cześć gospodarza. Liderzy ugrupowania Patrioci dla Europy: Marine Le Pen z francuskiego Zjednoczenia Narodowego, wicepremier Włoch Matteo Salvini, lider holenderskiej Partii Wolności Geert Wilders czy wicemarszałek Sejmu RP Krzysztof Bosak nazywali Orbána lwem, bohaterem i wizjonerem. Prezydent Donald Trump już wcześniej w nagraniu wyemitowanym podczas konferencji CPAC w Budapeszcie nazwał go „fantastycznym facetem" i zadeklarował swoje poparcie dla „ojca chrzestnego" światowej alt-prawicy.

W Polsce większym echem odbiła się wizyta nad Dunajem prezydenta Karola Nawrockiego, lecz prorządowe media węgierskie nie poświęciły jej wiele uwagi. Dla nich Nawrocki jest rusofobem, a polski rząd – pomagierem Kijowa. Tymczasem negatywny stosunek do Ukrainy jest jedną z nielicznych kwestii, które godzą Węgrów. Lider opozycji Péter Magyar unika gestów poparcia wobec Ukraińców; potępił też niefortunną wypowiedź prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, który na początku marca zagroził, że przekaże adres premiera Węgier „swoim ludziom z Sił Zbrojnych", jeśli ten nie przestanie blokować zaciągnięcia przez państwa UE pożyczki dla Ukrainy w wysokości 90 mld euro.

Orbán uczynił konflikt z Ukrainą osią kampanii wyborczej Fideszu. Oskarża Zełenskiego o celowe zablokowanie dostaw taniej rosyjskiej ropy na Węgry, a Magyara nazywa marionetką Kijowa i Brukseli i straszy, że w razie zwycięstwa przywódca opozycji wciągnie kraj w wojnę z Rosją. Tymczasem w ubiegłym tygodniu „Washington Post" doniósł, że Rosjanie zaoferowali węgierskim partnerom sfingowanie zamachu na premiera, by zwiększyć jego szanse w wyborach. Zaś dziennikarz śledczy Szabolcs Panyi ujawnił, że węgierski minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó zdradza szefowi rosyjskiej dyplomacji Siergiejowi Ławrowowi treść rozmów na szczytach UE. I że węgierskie służby specjalne już latem 2025 r. próbowały zinfiltrować system informatyczny opozycyjnej partii TISZA.

Władze w Budapeszcie oskarżyły dziennikarza o szpiegostwo na rzecz Kijowa. Jego informatora z policji zwolniono ze służby. Péter Magyar zapowiedział, że jeśli policjantowi spadnie choćby włos z głowy, ukarze winnych po wygranych wyborach.

Według najnowszego sondażu instytutu Median Fidesz może liczyć na poparcie 35 proc. zdecydowanych wyborców, a opozycyjna TISZA na 53 proc. O wyniku rozstrzygną głosy kilkuset tysięcy niezdecydowanych, o podziale mandatów zaś – forująca rządzącą partię ordynacja wyborcza. Opozycja musi wygrać miażdżącą różnicą głosów, by po 16 latach odsunąć wreszcie skorumpowany rząd Viktora Orbána od władzy.

ALEKSANDER KACZOROWSKI Z BUDAPESZTU

Ocieplanie Łukaszenki

Donald Trump nie może się doczekać spotkania z Aleksandrem Łukaszenką. Dla białoruskiego dyktatora byłoby to nie lada wyróżnienie, bo od dojścia do władzy w 1994 r. nigdy nie spotkał się w cztery oczy z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Trump zdaje się jednak zrywać z amerykańską konsekwencją dyktowaną standardami białoruskiej demokracji. Zaprasza Łukaszenkę na najbliższe posiedzenie swojej Rady Pokoju (wtedy mogliby się umówić na osobne rozmowy), chwali w internetowych wpisach (nazywa „Szanownym Prezydentem") i kusi perspektywą wspólnych interesów.

Kilkakrotnie wysyłał do Mińska swojego przedstawiciela, zaprzyjaźnionego prawnika Johna Coale'a, by negocjował zwolnienie możliwie dużej grupy więźniów politycznych. Dyktator ułaskawił ponad pół tysiąca więźniów, m.in. 19 marca wypuszczono 250 osób. Według Centrum Obrony Praw Człowieka Wiosna za kratami pozostaje jeszcze 907 więźniów politycznych, w tym przetrzymywany od ponad pięciu lat Andrzej Poczobut, dziennikarz „Gazety Wyborczej" i działacz mniejszości polskiej. Intensywność ocieplenia podpowiada, że Łukaszenka jest Trumpowi potrzebny do czegoś więcej niż ożywienie niemrawej dotąd Rady Pokoju. Chodzi też o sposób nacisku na Unię Europejską (co objaśniałoby brak Poczobuta na liście uwolnionych).

Białoruś produkuje spore ilości nawozów, ostatnio drożejących w związku ze wzrostem cen energii na skutek wojny w Iranie. Rząd Trumpa dopiero co zniósł sankcje na nawozy potasowe (narzucone w 2021 r. po sfałszowaniu wyborów przez Łukaszenkę), a mecenas Coale z coraz większym animuszem naciska na Litwę, by przywróciła możliwość słania ich w świat przez port w Kłajpedzie. Litwini objaśniają, że nawozy są objęte unijnymi sankcjami i sami stawiają warunki. Domagają się, by Łukaszenka przestał puszczać przez granicę balony z papierosową kontrabandą, przepychać migrantów i zwrócił zaaresztowane litewskie ciężarówki. Na liście białoruskich oczekiwań jest poluzowanie restrykcji na przejściach granicznych z Polską.

Łukaszenka jest zachwycony. Przyznaje, że Trump bardzo mu się podoba. Zapewnia też, że podczas żadnych rozmów nie pojawiał się wątek „oderwania Białorusi od Rosji", a tu zbliżenie przyjmowane jest ze zrozumieniem.

Na razie białoruski uzurpator wciąż jednak objęty jest szczelnym kokonem izolacji. Od lat wizyty zagraniczne składa głównie w Afryce i w Azji. Właśnie wrócił z totalitarnej Korei Płn. **Kim Dzong Un przyjmował Aleksandra Łukaszenkę** z pełną celebrą i salwami armatnimi. Obiecali sobie zacieśnienie więzów gospodarczych, pewnie głównie na polu przemysłu zbrojeniowego, i wymienili się prezentami.

eprasa.pl 7cd57e2719

Pyłkami wiosna się zaczyna

ILUSTRACJA **BARTOSZ TROJANOWSKI**

Już 12 mln Polaków zmaga się z wiosennymi alergiami. Gdy konwencjonalna medycyna oferuje lata leczenia, gabinety naturopatów obiecują odczulenie bez igieł i bólu. Dlaczego łatwiej uwierzyć w magię niż w naukę?

PAWEŁ WALEWSKI

Wiosna w Polsce to nie tylko kwitnące magnolie i pierwsze grille. To także pora, gdy powietrze gęstnieje od pyłków leszczyny, brzozy i topoli, a tysiące alergików zaczynają kichać i przecierać załzawione oczy. Zamiast biegać po aptekach po doraźne krople, postanowiliśmy sprawdzić, jak wygląda diagnostyka uczuleń w jednym z gabinetów biorezonansu – metody niepotwierdzonej rzetelnymi badaniami naukowymi, a mimo to cieszącej się dużą popularnością jako szybki sposób na rozpoznawanie i leczenie alergii. Takiej gwarancji nie dają tradycyjne gabinety, gdzie lekarze od progu uprzedzają, że odczulanie trwa latami i wymaga wytrwałości. Medycyna niekonwencjonalna obiecuje coś innego – ekspresowy efekt za pomocą czarodziejskiej różdżki (dosłownie, o czym za chwilę).

Jak pokazują mapy Google, w większości miast działa po kilkanaście gabinetów biorezonansu. Wybieram jeden w modnej,

eprasa.pl 7cd57e2719

zielonej dzielnicy Warszawy. Mieści się w przestronnym mieszkaniu na parterze apartamentowca: trzy pokoje zabiegowe, recepcja z poczekalnią. Na ścianach pysznią się certyfikaty i dyplomy. – *To nie będzie tradycyjne badanie* – podkreśla jedna ze współwłaścicielek, „mistrzyni naturopatii", i zaprasza do wypełnienia ankiety. Standard: pytania o przebyte operacje, choroby przewlekłe i przeciwwskazania (pierwszy trymestr ciąży, rozrusznik serca, chemioterapia).

Podpisuję klauzulę, że nie otrzymam diagnozy lekarskiej, lecz usługę, która „ma na celu wsparcie naturalnych procesów regeneracyjnych i poprawę samopoczucia". To osobliwe rozgraniczenie w miejscu obwieszonym medycznymi laurami – dyplomami branżowego konkursu „Orły Medycyny" i rekomendacjami pediatrów z Płocka i Kraśnika (których lokalne izby lekarskie już dawno powinny za to ukarać).

Między matą a biotensorem: łaskawa diagnoza

Zanim maszyna Bicom Optima Plus – ósma generacja cudownej technologii – zaczęła badać moje biopole, musiałem podpisać oświadczenie, że rozumiem, iż wyniki mogą się różnić od tych z laboratoriów (czytaj: mogą nie mieć z nimi nic wspólnego) oraz że zegarek lub biżuteria zaburzają odczyt. Tutaj, gdzie wszystko jest impulsem elektromagnetycznym, mój Apple Watch najwyraźniej mógłby udawać alergię na brzozę.

Właściwy spektakl zaczyna się w gabinecie numer dwa: fotel, biurko, fototapeta z długim molo wbiegającym w lazurowe morze. Na parapecie prorocza lektura: Jürgena Thorwalda „Dawna medycyna", Louise Hay „Sekrety zdrowia". Gdy lewą dłoń kładę na mosiężnej płytce, aparat podłączony czarnym kablem zaczyna przyjemnie szumieć, a zielona dioda przesuwa się po tajemniczej skali. Najpierw program podstawowy na 12 minut – „terapia z własnym wzorcem częstotliwościowym", jak fachowo tłumaczy terapeutka. Kiedy pytam, dlaczego nic nie czuję – żadnych prądów ani metafizycznej komunii z maszyną – uspokaja, że to normalne: – *Mało kto coś odczuwa, choć bywają tacy, którzy mają mrowienie.*

Wywiad jest profesjonalny, dopóki nie skręca w stronę modnego glutenu i teorii o mleku, które ponoć jest „śluzotwórcze". Na czarnej liście lądują też banany, bo „mocno wychładzają organizm" – a to, jak słyszę, może być powodem reakcji na pyłki. Prawdziwa diagnostyka zaczęła się, gdy pani wyjęła biotensor – metalową strzałkę na sprężynce, która w rękach wprawnego operatora ma wykrywać konflikty częstotliwości. Musiałem pochylić się do przodu, by nie dotykać „ważnej maty" na oparciu fotela. Pani machała tym przyrządem za moimi plecami, przykładając drugą ręką przewody do ampułek z „odpowiednikami częstotliwościowymi" alergenów. – *Proszę mnie nie pytać, jak powstały, bo my tego nie robimy – my to sprowadzamy* – zostałem uprzedzony. Logika jest prosta: jeśli w moim biopolu jest taka sama informacja jak w ampułce, biotensor zmieni położenie. Pani zapewniała, że nie jest medium jak radiesteci, bo pracuje „w oparciu o częstotliwości". Oto technokratyczna magia – różdżka zasilana semantyką fizyki kwantowej.

Po 20 minutach machania strzałką, za co zapłaciłem 200 zł, usłyszałem werdykt: „Nie ma pan uczuleń mocno wyrażonych. Delikatne na brzozę, leszczynę, olchę, bylicę". Do tego standardowy zestaw – źle reaguję na gluten, pszenicę i drożdże. Choć testy nie wykazały silnej reakcji, i tak zasugerowano mi odczulanie biorezonansem (minimum pięć sesji po 120 zł każda, wtedy dostanę podczas terapii do trzymania metalowe kulki). Jak głosi ulotka – Bicom Optima ma ponad 1 tys. gotowych programów na wszystko: od pasożytów, poprzez tajemnicze geopatie, aż po nałogi i „regulację zaburzeń hormonalnych".

Między magią a nauką: protokół z pogranicza

Wychodząc, minąłem czterech kolejnych pacjentów w poczekalni. Gdy pyłki atakują, a konwencjonalna medycyna oferuje tylko zastrzyki lub tabletki, Polacy masowo wybierają coś, co brzmi jak magia z certyfikatem. Nie tylko biorezonans, ale też akupunkturę, testy IgG (wykrywające pseudoalergie na składniki pokarmowe), Oberon czy Alcat – aparaturę obiecującą „wsparcie" i poczucie, że „coś się dzieje". Nawet jeśli to tylko szum zielonej diody.

– *To fascynujące, że w XXI w. można kupić sobie bilet do świata, w którym skomplikowana biologia ustępuje miejsca „sztuce leczenia na wielu płaszczyznach" za pomocą kolorowych kabli* – komentuje dr hab. Piotr Dąbrowiecki, alergolog z Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie. Dla niego fenomen popularności biorezonansu to studium przypadku, w którym skomplikowana immunologia przegrywa z obietnicą szybkiego i bezbolesnego cudu.

Problem jest gigantyczny: dotyczy jednej trzeciej populacji, czyli w Polsce ponad 12 mln osób, z których połowa ma potwierdzoną alergię, a reszta i tak będzie szukać wyjaśnienia dla swojego kaszlu i kataru. To idealna pożywka dla gabinetów oferujących „regulację zaburzeń" za pomocą igieł, płytek i kulek. Wedle Polskiego Towarzystwa Alergologicznego co piąty uczulony na coś Polak ma alergiczny nieżyt nosa. – *Wywołany alergenami całorocznymi: roztoczem kurzu, sierścią zwierząt, pleśniami* – wylicza prof. Marek Jutel, kierownik Katedry Immunologii Klinicznej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. – *Najczęściej są to jednak pacjenci uczuleni na pyłki roślin – zwykle traw i drzew.*

W ujęciu procentowym wygląda to następująco: za najwięcej, bo ok. 23 proc. alergii wziewnych odpowiadają pyłki traw; bylica i brzoza – za ok. 17 proc., a leszczyna i olcha – za ok. 15 proc. przypadków. Rzadziej szkodzą alergeny zwierzęce – sierść kota i psa (9–11 proc. alergii) oraz pleśnie (5–8 proc.), choć jedne i drugie nasilają objawy pyłkowe. I warto tu zastrzec, że powyższe dane mają charakter orientacyjny, ponieważ od ponad 20 lat nie przeprowadzono w Polsce nowych badań epidemiologicznych, które pozwoliłyby je zweryfikować.

Według dr. Dąbrowieckiego aż jedna trzecia pacjentów wychodzi z gabinetów medycyny niekonwencjonalnej zadowolona, ponieważ odczuwa poprawę wskutek działania efektu placebo lub przypadkowego potwierdzenia rzeczywistej alergii. A większość „uleczonych" jej po prostu nie ma! Natomiast pozostali, którym aparaty nie pomogły, trafiają wcześniej czy później do jego gabinetu, bogatsi o frustrację i biedniejsi o kilkaset złotych. Dr Dąbrowiecki zbiera ich historie jak trofea: wydruki z „testów", krzyżyki na płucach, opisy w stylu „nowotwór wykryty przy okazji". Prawdziwa immunoterapia to nie trzymanie kulek i wiara w częstotliwości! On sam, 55-latek z astmą alergiczną od drugiego roku życia, odczulał się już czterokrotnie. – *Za każdym razem miałem po tym kilka lat spokoju immunologicznego* – twierdzi. Żadnych geopatii, pasożytów ani „regulacji hormonalnych" za pomocą kabli.

Aktor Artur Barciś, który jest pacjentem dr. Dąbrowieckiego i mierzy się z alergią na pyłki od 30 lat, też dał się raz nabrać na biorezonans, ale było to na początku jego utrapienia. – *Człowiek ima się różnych sposobów, żeby sobie pomóc. I jeżeli czytasz,* ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ *że istnieje „genialna metoda" na uczulenie, to po prostu idziesz – każdy tak robi. Dziś weryfikacja takich rewelacji zajmuje chwilę, ale kiedyś to była nowość. Zastanawiałem się wtedy pragmatycznie: po co się kłuć przez cztery lata, skoro można potrzymać jakieś kulki i mieć problem z głowy?*

Więcej nie wrócił, za to rzeczywiście przez cztery lata, od listopada do połowy stycznia, wytrwale dwa razy w tygodniu przyjmował zastrzyki podskórne z odczulającą szczepionką. Na tym właśnie polega to właściwe leczenie: aby przyzwyczaić organizm do obecności pyłków, choremu podaje się serię preparatów zawierających coraz większe dawki alergenu – i w ten sposób oswaja go z uczulającymi substancjami. Leczenie powinno zaczynać się już jesienią, by móc je skończyć przed sezonem pylenia. Systematyczność przyniosła u Barcisia wymierne rezultaty – z roku na rok reakcje na wiosenne pyłki słabły, a finałowe testy wykazały, że organizm przestał na nie reagować. – *Mimo sukcesu w walce z pyłkami pewne echa pozostały w postaci reakcji krzyżowych, szczególnie w przypadku surowych owoców* – zaznacza jednak pan Artur. Aktor do dziś wspomina incydent na planie filmowym, gdy dotknięcie twarzy krojonym jabłkiem wywołało tak gwałtowny obrzęk i zaczerwienienie, że zdjęcia trzeba było przerwać na kilka godzin. Choć dzięki terapii może dziś bez przeszkód spożywać produkty poddane obróbce termicznej, surowe jabłka i czereśnie pozostają na liście owoców, których – mimo upływu lat i skutecznego odczulenia na pyłki – wciąż nie odważa się tknąć.

Wspomnienia z lat szkolnych u Roberta Gądka, dyrektora Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie, też łączą się z odczulaniem. Mieszkał wtedy w Kamiennej Górze. – *Od ósmej klasy podstawówki, przez całe lata licealne, jeździłem na te zabiegi do Wałbrzycha. Schemat był niezmienny: w każdą końcówkę zimy, co trzy tygodnie, przez trzy miesiące, stawiałem się na kolejny zastrzyk. W całym cyklu przyjmowałem ich cztery lub pięć.*

30 lat temu proces ten wyglądał zupełnie inaczej niż dzisiaj – wymagał nie tylko czasu, ale i ogromnej logistyki: preparaty odczulające nie były dostępne od ręki, sprowadzano je z zagranicy dla konkretnego pacjenta. – *Przez pierwsze trzy lata nie widziałem poprawy. Wciąż męczyły mnie napady duszności, łzawienie oczu i cieknący nos* – opowiada. Dopiero w okolicach matury i na pierwszym roku studiów zaczął odczuwać ulgę. Dziś, w wieku 55 lat, choć w jego najbliższym otoczeniu nie brakuje silnych alergenów, takich jak rosnące pod domem akacje, ma pełny komfort życia. Co prawda w apteczce przechowuje zapas leków przeciwhistaminowych i spraye ze sterydem, ale część z nich wyrzuca po upływie ważności, bo nie musi ich używać. Chyba że profilaktycznie, na przykład przed wycieczką rowerową.

W odczulaniu kluczowa jest konsekwencja – nawet jeśli na początku wydaje się, że organizm nie reaguje na leczenie. Dziś w arsenale alergologów są już nie tylko zastrzyki podskórne, ale także podjęzykowe tabletki lub krople (pacjent za testy alergiczne ani za odczulanie nie płaci, bo refunduje je NFZ). Współczesność przyniosła luksus wyboru, pozwalając dopasować terapię do rytmu życia. Choć klasyczna droga wciąż wiedzie przez gabinet lekarski – wymagając początkowo cotygodniowych wizyt, a później comiesięcznych zastrzyków przypominających – alternatywa doustna przenosi ciężar leczenia do własnego domu. To tam, codziennie, pacjent samodzielnie aplikuje sobie preparat pod język, co wymaga żelaznej dyscypliny, a czasem niedogodności – choć nowa metoda uwalnia od strzykawek, skutkuje nieraz świądem podniebienia i warg, co dla niektórych staje się ceną nie do zaakceptowania. – *W mojej praktyce zainteresowanie obiema metodami rozkłada się pół na pół* – informuje dr Dąbrowiecki. – *Osoby przytłoczone reżimem codziennej aplikacji szukają ratunku w rzadszych zastrzykach, podczas gdy ci, którzy nie znoszą regularnych wizyt w przychodni, z ulgą wybiorą rutynę z tabletką.*

Między ambrozją a otyłością: wszystko szkodzi

Dzięki tej elastyczności odczulanie przestało być wyrokiem uwiązania – alergologia zdaje się dostosowywać do tempa współczesnego świata, wiedząc, że czeka ją coraz więcej wyzwań. Jeszcze pół wieku temu uczulenia na pyłki były w Europie chorobą elitarną – niedogodnością kilku procent populacji, którą lekarze opisywali raczej w podręcznikach niż w statystykach zdrowia publicznego. Dziś przypomina epidemię – to, co niegdyś było krótkim epizodem, pod wpływem ocieplenia klimatu zmieniło się w maraton: sezon pylenia zaczyna się wcześniej, trwa dłużej i bywa bardziej intensywny, ponieważ łagodniejsze zimy przyspieszyły wiosenną wegetację roślin.

Jak zaznacza prof. Marek Jutel, rozkład geograficzny pyłków pozostaje u nas względnie stały, ale dochodzą nowe, dawniej obecne tylko poniżej Karpat – tak dzieje się obecnie np. z ambrozją, której pyłki są lekkie i potrafią przemieszczać się setki kilometrów. – *Ten agresywny alergen na Bałkanach, w Czechach i Słowacji sieje większe spustoszenie niż trawy, ale zaczyna coraz pewniej rozgaszczać się i w polskim klimacie* – ostrzega prof. Jutel. Choć nie jest jeszcze standardem w zestawach testowych, dane sugerują, że ok. 2–3 proc. naszej populacji może być już na nią nadwrażliwa.

Druga przyczyna częstszego rozwoju alergii to zatrucie środowiska. Od lat 60. XX w. – jak przypomina prof. Jutel – weszliśmy w kontakt z ok. 250 tys. nowych substancji chemicznych. Niektóre z nich mogą działać jak czynniki drażniące lub wzmacniać reakcję immunologiczną na alergeny. To nie jest prosty związek przyczynowo-skutkowy, raczej sieć zależności, w której mieszają się zanieczyszczenia powietrza, mikroplastik, nanocząstki i cała chemiczna infrastruktura współczesnej cywilizacji.

Trzeci powód nasilenia alergii: styl życia, który dla immunologów bywa eksperymentem społecznym na wielką skalę. Pandemia covid – z jej obsesyjną dezynfekcją, izolacją społeczną i sterylną higieną – mogła w pewnym sensie przyspieszyć proces, który już wcześniej się rozpoczął. – *Układ odpornościowy człowieka ewoluował w świecie pełnym bakterii, wirusów i pasożytów; nagle znalazł się w środowisku, gdzie większość tych bodźców została drastycznie ograniczona* – ocenia profesor. Dezynfekcja była konieczna, by chronić się przed koronawirusem, ale jednocześnie stworzyła warunki, w których układ odpornościowy miał znacznie mniej okazji do treningu. Komórki, które przez miliony lat uczyły się rozpoznawać realne zagrożenia, w takiej sytuacji mogą zacząć reagować przesadnie na bodźce zupełnie nieszkodliwe. A pyłek brzozy czy traw jest jednym z najczęstszych celów.

Coraz większą rolę przypisuje się też zmianom mikrobiomu – czyli zbioru drobnoustrojów żyjących w naszym ciele. Dieta bogata w wysokoprzetworzoną żywność, antybiotyki, brak kontaktu z naturalnym środowiskiem czy nawet tryb życia spędzany głównie w zamkniętych pomieszczeniach wpływają na skład bakterii jelitowych. A te, jak pokazują badania, mają zaskakująco duży wpływ na funkcjonowanie układu odpornościowego. Dlatego Europejska Akademia Alergologii i Immunologii

eprasa.pl 7cd57e2719

Sesja biorezonansu i aparatura do „odczulania". Na zdjęciu obok widoczne kulki, które otrzymuje pacjent podczas „odczulania".

Klinicznej zaproponowała rozszerzenie klasycznego podziału reakcji nadwrażliwości i do czterech ich typów dołożono piąty i szósty, o szczególnym znaczeniu dla alergii na pyłki. Pierwszy z nich dotyczy uszkodzenia bariery nabłonkowej w miejscach kontaktu organizmu ze środowiskiem – w nosie, drogach oddechowych, jelitach i skórze: w zdrowych tkankach komórki są ze sobą szczelnie połączone, jeśli jednak te połączenia zostaną osłabione, to alergeny mogą łatwiej przenikać do wnętrza organizmu i uruchamiać reakcję zapalną, a następnie alergiczną. Drugi mechanizm dotyczy zaburzeń metabolicznych, takich jak otyłość i cukrzyca, które łączą się ze zmianą mikrobiomu i w ten sposób zwiększają podatność na alergie.

Między wiedzą a ignorancją: lekarzu, lecz!

To podejście przesuwa punkt ciężkości w myśleniu o uczuleniach. Zamiast pytać w kółko, jak ktoś reaguje na konkretny pyłek, lekarze zaczynają drążyć: co sprawia, że organizm w ogóle stał się podatny na nadmierną reakcję? Innymi słowy: alergia przestaje być tylko problemem alergenu. Staje się problemem całego ustroju. Ale jeśli o problemach mowa – jest jeszcze jeden, bardziej kłopotliwy: nawet medycy nie zawsze traktują z należytą powagą objawy, z którymi trafiają do nich umęczeni wiosną pacjenci. W gabinetach podstawowej opieki zdrowotnej diagnoza bywa szybka i wygodna: proszę iść do apteki po lek przeciwhistaminowy (histamina to substancja uwalniana podczas reakcji alergicznej i odpowiada za dokuczliwe objawy: wodnisty katar, świąd i pieczenie oczu). Takie podejście często kończy diagnostykę, zamiast ją rozpoczynać – a w wielu przypadkach należałoby rozważyć immunoterapię i skierować chorego do alergologa. Paradoks polega na tym, że znaczna ich część w ogóle nie prowadzi odczulania – jakby choroba kończyła się na przepisaniu recepty. – *Trafiają do mnie osoby z przewlekłym zapaleniem zatok, po kilku operacjach, a nikt wcześniej nie zlecił im testów alergicznych* – przyznaje dr Dąbrowiecki. – *Co się dziwić, że taka niefrasobliwość popycha chorych w stronę pseudomedycyny!*

Jak tłumaczy, część problemu wynika z tego, że współczesna medycyna zbyt łatwo rozczłonkowała pacjenta na oddzielne narządy. Astmatyk z katarem trafia do pulmonologa, który skupia się na płucach, a zatkany nos traktuje jako problem poboczny. Z kolei laryngolog zajmuje się zatokami, nie zawsze pytając o świszczący oddech czy kaszel. – *A przecież to często jest jedna choroba – alergia* – mówi nasz ekspert. Jeśli nos pozostaje niedrożny, pacjent zaczyna oddychać ustami, co utrudnia skuteczne leczenie astmy i podtrzymuje stan zapalny. Rolą alergologa jest więc w pewnym sensie złożenie tego medycznego puzzla z powrotem w całość: znaleźć alergen, potwierdzić reakcję organizmu i – jeśli to możliwe – rozpocząć odczulanie. Bez takiego całościowego spojrzenia kuracja zamienia się w serię doraźnych interwencji, które jedynie łagodzą pojedyncze objawy.

Z drugiej strony, jak zauważa prof. Jutel, system paraliżuje brak doświadczenia i holistycznego spojrzenia, co skutkuje tym, że nawet połowa skierowań do alergologów okazuje się bezzasadna. Lekarze masowo zlecają testy laboratoryjne, kiedy rzetelny wywiad pozwoliłby od razu wykluczyć tło alergiczne. Prawdziwa alergologia wymaga bowiem wyczucia i wiedzy, której nie da się zastąpić podręcznikowymi schematami ani źle dobranymi testami. A wszelkie zaniedbania popychają pacjentów w świat magii.

W tej sytuacji wiele osób wraz z pierwszymi oznakami wiosny wpada w panikę. Tymczasem wystarczy podjąć kilka prostych kroków, by skutecznie wyprzedzić objawy, zanim sezon rozpocznie się na dobre. Zacznijmy od mieszkania: wietrzenie najlepiej planować po deszczu, gdy stężenie pyłków jest niższe. Pomocne mogą być oczyszczacze powietrza, klimatyzatory lub jonizatory (pod warunkiem regularnej wymiany filtrów). Po powrocie ze spaceru warto od razu zmienić ubranie (najlepiej poza sypialnią), częściej myć włosy, a odzież wierzchnią przechowywać w zamkniętej szafie. Dodatkową barierę ochronną stworzą okulary przeciwsłoneczne oraz nawilżanie skóry, która stanie się szczelniejszą barierą dla alergenów. Równie ważne jest planowanie aktywności: lepiej unikać porannych spacerów po suchej i wietrznej nocy; bezpieczniej wychodzić wieczorem lub tuż po deszczu. Na urlop warto wyjechać w regiony, gdzie sezon pylenia już minął (unikając przy tym trawiastych dolin górskich). Dobrym nawykiem będzie też dopilnowanie, by trawa w okolicy została skoszona, zanim zakwitnie. Choć na cykl natury nie mamy wpływu, to od naszego przygotowania zależy, czy wiosną odetchniemy pełną piersią.

PAWEŁ WALEWSKI

© GETTY IMAGES (2)

eprasa.pl 7cd57e2719

O co pokłócimy się przy stole?

Wojna z Iranem i polityka Donalda Trumpa to główne tematy rozmów Polaków z najbliższymi. Prezydent USA rozsiądzie się przy wielkanocnych stołach jako gość wyjątkowo niechciany. To zła wiadomość dla PiS.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl

„To jest kanister. On jest dzisiaj przedmiotem troski przy kuchennym stole" – mówił podczas wiecu w Staszowie Przemysław Czarnek, pokazując wpatrzonej w niego publiczności zielony baniak na benzynę z naklejonym wielkim zdjęciem Donalda Tuska i ceną 10 zł, którą „już za chwilę" zobaczymy według polityka PiS na stacjach paliw.

Użyta przez Czarnka figura kuchennego stołu nie jest szczególnie oryginalna – to kalka z angielskiego *kitchen table issues*, sformułowania, które od późnych lat 80. XX w. funkcjonuje w amerykańskiej polityce jako symbol „zwykłych spraw zwykłych ludzi". W tym rozumieniu kuchenny stół to miejsce, gdzie nie rozmawia się o wielkiej geopolityce, wojnach, sporach światopoglądowych, tylko o rachunkach za energię, cenach w sklepach, wydatkach na lekarzy etc.

Między jajeczkiem a babką

Odwoływanie się do *kitchen table issues* służy zawsze jako poręczny wihajster w politycznych opowieściach: gdy Demokraci lub Republikanie mają problem z nadmiernym zideologizowaniem przekazu, wtedy empatyczne pochylenie się nad przeciętnym obywatelem i (zwłaszcza) obywatelką, liczącą z marsową miną kolejne rachunki przy kuchennym stole, staje się narracyjną potrzebą chwili. W Polsce z podobnym mechanizmem mieliśmy do czynienia w pierwszych latach rządów PiS po 2015 r., gdy programy społeczne rządu Beaty Szydło i wizerunek szefowej rządu jako zwyczajnej kobiety bliskiej przeciętnym Polakom tworzyły zasłonę dymną osłaniającą autorytarną, ustrojową rewolucję wdrażaną przez Jarosława Kaczyńskiego.

Trzeba powiedzieć, że uszyty akurat Czarnkowi kostium lidera wrażliwego na codzienne ludzkie niedole to ekscentryczne przebranie dla polityka specjalizującego się od lat w oderwanych od rzeczywistości ideologicznych i kulturowych wojnach. Ta kostiumowa tragifarsa pachnie wpływem Jacka Kurskiego, który według prawicowego „Do Rzeczy" ma blisko współpracować z kandydatem PiS na premiera. Ale przede wszystkim to część desperackiej walki PiS o miejsce przy stole świątecznym.

To przy nim dwa razy do roku wykuwają się opinie Polaków, zderzają perspektywy, pękają internetowe bańki i miękną algorytmy społecznościowych platform. To na ten stół między sałatkę warzywną a babkę wielkanocną politycy starają się wrzucać swoje narracje, by zdominować rodzinne dyskusje.

A więc o co będziemy się kłócić przy wielkanocnym śniadaniu? I czy w ogóle jeszcze chce nam się dyskutować o polityce?

– *Instytucja świątecznego stołu jest ciągle istotnym doświadczeniem społecznym, momentem rodzinnego miszmaszu: ludzie, którzy na co dzień żyją w różnych miejscach i rytmach, nagle siadają obok siebie, krzyżują ze sobą różne doświadczenia i poglądy. Choć był taki moment pod koniec rządów PiS, kiedy w badaniach było szczególnie widać, jak bardzo rośnie zmęczenie kłótniami. Tym ciągłym przerzucaniem się opowieściami: że Tusk, że Kaczyński, że Niemcy, że ruscy agenci* – mówi badacz opinii i analityk polityczny Marcin Duma, założyciel Fundacji IBRiS. – *Ale wyczerpanie tymi tematami nie oznacza, że wielkanocne rozmowy nagle staną się od nich wolne. Czy raczej monologi: brat wygłosi swoje oświadczenie, ciotka swoje i na tym się skończy. Natomiast to, o czym będziemy naprawdę dyskutować, to już jest zupełnie inna historia. To wojna na Bliskim Wschodzie i chwiejący się w posadach świat są tematami, które poruszają ludzi i są źródłem niepokojów.*

Jego hipotezę potwierdza marcowe badanie CBOS, w którym Polki i Polaków zapytano o najczęściej ostatnio poruszane tematy rozmów w ich najbliższym otoczeniu. Na pierwszym miejscu znalazły się sytuacja w Izraelu i konflikt na Bliskim Wschodzie (67 proc. wskazań, niemal dwukrotny wzrost w porównaniu z jesienią 2025 r.), później wysokie ceny i inflacja (66 proc., niewielki wzrost od jesieni, ale 10 pkt proc. mniej niż wiosną 2024 r.), a na trzecim stopniu podium badani wskazali politykę Donalda Trumpa (61 proc., pierwszy raz w zestawieniu). Ponad 50 proc. wskazań mają jeszcze trudności w dostępie do lekarzy i usług medycznych (60 proc.) oraz bezpieczeństwo militarne Polski (57 proc.). Zwraca uwagę, że gwałtownie z tematów naszych rozmów wyparował temat migrantów (spadek o 16 pkt proc. w porównaniu z jesienią 2025 r.) i problemów z uchodźcami z Ukrainy (spadek o 15 pkt proc.). Na drugą nóżkę – umiera też kwestia rozliczenia rządów PiS, która zajęła ostatnie miejsce, notując rok do roku spadek zainteresowania o 17 pkt proc.

Wygląda więc na to, że w tym roku przy wielkanocnym stole Polaków rozsiadł się wygodnie przede wszystkim Donald Trump. – *Z tym że o Trumpa kłócić się nie będziemy* – precyzuje Duma. – *Nieważne, czy jesteś pisowcem, platformersem, lewakiem, peeselowcem czy konfederatą, twoje postrzeganie Trumpa będzie podobne. To gość, który w oczach większości Polaków odgrywa rolę Jokera z „Batmana": siewcy chaosu i niszczyciela światów. To pierwszy prezydent USA po 1989 r., który nie jest figurą dającą nam poczucie bezpieczeństwa.*

Ten społeczny konsens to nie jest dobra wiadomość dla PiS, który w chwili triumfu Trumpa bezkrytycznie i zbiorowo założył czerwoną czapeczkę z napisem „Make America Great Again", splatając się z nową administracją amerykańską na dobre i złe jako jej polski, syjamski brat. Wszystko w przekonaniu, że historia się skończyła, a na fali sukcesu światowego bossa populistycznej prawicy niechybnie uniesie się również partia Kaczyńskiego. Dziś fala zmieniła się w złowrogi, chaotyczny sztorm, a PiS stanął przed karkołomnym zadaniem przekonania Polaków, że ma niewiele wspólnego z groźnym piromanem zza oceanu.

PiS już nie narzuca narracji

Tak wracamy do Czarnka i jego występu z kanistrem. Istotny wzrost cen paliwa tuż przed świętami to idealnie wystawiona piłka dla opozycji, problem jednak w tym, że przez swoje ścisłe związki z ekipą Trumpa PiS musi szukać sposobu na wrzucenie tematu do wielkanocnego menu Polaków, cierpiąc przy tym na ogromne deficyty wiarygodności. W opowieści Czarnka jest troska, jest gniew oraz żądanie, by rząd zmniejszył podatki paliwowe i ulżył zwykłym Polakom – to klasyczna opowieść w takiej sytuacji. Ale jednocześnie w narracji o wysokich cenach benzyny PiS udaje, że nie dostrzega słonia w pokoju: wywołanej przez USA oraz Izrael wojny z Iranem. A tam, gdzie PiS z własnej woli zasznurował sobie usta, korzystają konkurenci po prawej stronie.

Najlepszym przykładem jest Konfederacja i jej lider Sławomir Mentzen, który wrzucił do sieci filmik przedstawiający wykres z rosnącymi cenami ropy na tle pamiętnego wybuchu entuzjazmu posłów PiS z 6 listopada 2024 r., gdy radośnie skandowali w Sejmie: „Donald Trump! Donald Trump!", świętując wyborcze zwycięstwo swojego idola. Bezczynny nie pozostaje również rząd, który wyszedł z ekspresowo procedowanym w parlamencie pakietem zmian, obniżającym VAT i akcyzę na paliwa, co dodatkowo komplikuje opowieść partii Kaczyńskiego. ▶

© GULCIN RAGIBOGLU/SHUTTERSTOCK, ANITA WALCZEWSKA/EAST NEW, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, FILIP NAUMIENKO/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ – *PiS już nie kreuje i nie narzuca narracji, tylko goni rzeczywistość, próbując ograniczać straty* – wskazuje Marcin Duma. – *Na początku marca, zaraz po rozpoczęciu wojny z Iranem i po pierwszych podwyżkach ropy, zapytaliśmy w IBRiS, kto odpowiada za ten wzrost cen. Stany Zjednoczone wskazało 41 proc. badanych, rząd – 27 proc., Izrael – 14 proc., a 18 proc. nie wiedziało, jak odpowiedzieć. Wniosek jest taki, że PiS-owi trudno będzie przykleić rządowi główne sprawstwo problemów z cenami paliw. A jeśli to się nie uda, w oczach opinii publicznej odpowiedzialność poniesie również partia Kaczyńskiego jako wasale Trumpa.*

Zaskakująco nieporadna reaktywność polityczna PiS nie dotyczy tylko cen benzyny. Bezwzględne i cyniczne narzucanie tematów debaty, które kiedyś było specjalnością PiS, przeistoczyło się w komunikacyjne bezkrólewie, wzmagające niepewność partyjnej bazy najtwardszych zwolenników. Zamiast dostać amunicję z argumentów, gotową do użycia w rodzinnych i przyjacielskich dyskusjach, dostają rozsypane narracyjne puzzle.

Gdy po agresywnym przemówieniu Czarnka w Krakowie wydawało się, że partia Kaczyńskiego obrała jednoznaczny kurs na rywalizację ze skrajną prawicą, do mediów kilka tygodni później ruszyli politycy PiS (choćby Krzysztof Szczucki czy Paweł Jabłoński) zapewniający, że polexit to populizm i katastrofa, obecność Polski w UE to nasza racja stanu, a Unię po prostu trzeba zmieniać na lepsze. Efekt? Koalicja rządząca i tak zarzuca Prawu i Sprawiedliwości dążenie do wyjścia z Unii, zwolennicy PiS gubią się w meandrach sprzecznych tez swoich reprezentantów, a sympatycy Konfederacji i Korony Grzegorza Brauna dostali kolejny dowód, że partia Kaczyńskiego to farbowani chwilowi radykałowie, którzy powiedzą wszystko, byle tylko wrócić do władzy.

Na ratunek PiS-owi przychodzi jedynie prezydent Karol Nawrocki, który pomimo kompulsywnego wetowania rządowych ustaw i hiperaktywności na granicy politycznego awanturnictwa wciąż okupuje pierwsze miejsce w badaniach zaufania. Najwyraźniej jego poza twardego gracza, „silnego człowieka na trudne czasy", który nie waha się przed porachowaniem kości politycznych przeciwników, pozytywnie rezonuje w dużej części opinii publicznej. I choć Nawrocki jest postacią silnie polaryzującą, jeśli jesteś jego zwolennikiem, nie wstydzisz się stanąć w rodzinnej dyskusji w jego obronie. Czego nie da się powiedzieć o partii, która wysunęła go na najważniejszy urząd w państwie.

Wielkanocne prezenty dla władzy

Gdyby premier Donald Tusk był człowiekiem ponadnormatywnie uprzejmym, powinien podziękować PiS-owi za szczodre prezenty. Bo większość angażujących tematów do rozmowy przy świątecznym stole koalicja rządowa może zręcznie opowiedzieć dzięki nieudolności największej partii opozycyjnej. Nie trzeba też do tego nadzwyczajnej zręczności, obóz władzy może poruszać się w obrębie dobrze od lat rozpoznanego i przećwiczonego narracyjnego schematu. Składają się na niego sprzeciw wobec krzykliwego, destrukcyjnego populizmu w Polsce i na świecie oraz proeuropejska postawa. Zwolennicy koalicji dostają do dyspozycji spójną, prostą historię, w której wzrost cen benzyny jest winą szaleństw sojusznika PiS Donalda Trumpa, a rząd robi, co może, obniżając paliwowe podatki; ekipa Tuska w niepewnych czasach z determinacją dba o nasze bezpieczeństwo, mimo histerii opozycji w sprawie programu SAFE; a do tego tylko obecnie rządząca ekipa jest gwarantem, że Kaczyński, Mentzen, Bosak i Braun nie wyprowadzą Polski z Unii.

Nie jest to przekaz szczególnie wyszukany, ale odpowiada na podstawowe lęki, a przy tym hałas generowany przez geopolityczne tąpnięcia i efektowną szamotaninę PiS pozwala zagłuszyć tematy rzeczywiście dla rządu niewygodne, zwłaszcza kwestię ochrony zdrowia. Gdy coraz trudniejszy dostęp do usług medycznych i zamykania kolejnych porodówek staje się częstym tematem rozmów Polek i Polaków, szef rządu wprowadza w telewizji opinię publiczną w błąd w sprawie zamknięcia jednego z oddziałów (za co później przeprasza rzecznik rządu), a Ministerstwo Zdrowia komunikuje się z obywatelami w tej sprawie z wdziękiem bezdusznego, humanoidalnego robota.

To byłby przepis na polityczną katastrofę, gdyby nie fakt, że infosfera jest obecnie po brzegi wypełniona innymi tematami. Na korzyść rządu działa też fakt, że opinia publiczna zdaje się skłonna wywiesić w tej sprawie białą flagę, coraz mocniej podzielając przekonanie, że w ochronie zdrowia było źle, jest źle i dalej będzie źle, ktokolwiek by rządził.

Wesołe święta dla Brauna?

O co w nadchodzące święta raczej się nie pokłócimy? Badanie CBOS wskazuje, że w rozmowie z najbliższymi rzadziej poruszamy dziś tematy migracji, uchodźców ukraińskich w Polsce i wojny w Ukrainie w ogóle. Co z kolei mogłoby wskazywać, że popularność Korony Grzegorza Brauna, ufundowana przecież na podsycaniu strachu przed wojną i niechęci do Ukraińców, może nieco wyhamować.

Marcin Duma studzi ten optymizm: – *Politycznie żywi Brauna nie tylko przekaz antywojenny na kremlowską modłę, ale również sprzeciw wobec Unii w wersji hard i antysemityzm. Zaczynając od końca – wojna Izraela i USA z Iranem przekaz antysemicki bardzo dopala. Temat wylał się już poza elektorat Brauna, w mniej lub bardziej zakamuflowanej formie można go znaleźć w każdej grupie wyborców. Nieco hiperbolizując, sprowadza się do zdania, że Amerykanie nakierowani przez Żydów podwyższyli nam ceny ropy.*

– *Niestety, chcemy tego czy nie, Braun zmienia się dziś w trendsettera polskiej polityki, zwłaszcza tej prawicowej: negatywny stosunek do Izraela, do Ukrainy, do Unii – wszędzie to Braun był pierwszy i pozostaje wiarygodny* – dodaje Duma. – *Przez 20 lat to Jarosław Kaczyński był postacią, która decydowała, o czym będzie polityka, ale ta rola prezesa dobiegła końca. Dzisiaj decyduje o tym Braun.*

Jeśli nawet uznać tezę Dumy za publicystycznie przesadzoną, faktem jest, że to kolejne już święta, które spędzimy w warunkach przeczuwanego kryzysu, niepewności i rozedrgań. I że na wiele z nich Braun ma receptę w postaci jednej ze swoich spiskowych teorii. Co więcej, sam dokłada się do sumy naszych lęków swoim nieskrępowanym radykalizmem. Masowego poparcia zapewne nigdy nie zdobędzie, ale najpierw skutecznie infekuje nas nieufnością i politycznym napięciem, a później na nim żeruje.

W przytaczanym wcześniej badaniu CBOS 46 proc. badanych stwierdziło, że w ciągu ostatnich tygodni w ich otoczeniu krytykowano rząd i jego działalność, a 41 proc. – że krytykowano opozycję. Z kolei rząd chwalono tylko w obecności 16 proc. ankietowanych, natomiast opozycję w otoczeniu 18 proc. Wynika z tego, że prawie każdy i każda z nas nie lubi kogoś na scenie politycznej, za to wyraźna mniejszość ma dobre zdanie o kimkolwiek. Cóż, wygląda na to, że tematów do kłótni w te święta nam nie zabraknie, ale niechęć do klasy politycznej może skutecznie nas pogodzić i połączyć. I nie jest to szczególnie optymistyczna puenta.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 7cd57e2719

Idźcie, ofiara spełniona, enter

ILUSTRACJE **ADAM WÓJCICKI**

Rozmowa z dr hab. Martą Kołodziejską o duchowości w sieci, internetowych mszach i księżach-robotach. I o tym, co na to wszystko Kościół.

JOANNA PODGÓRSKA: **– W opowieściach księży często pojawia się motyw, że jako dzieci bawili się w odprawianie mszy. Czy dzieciaki robią to teraz w rzeczywistości wirtualnej?**

MARTA KOŁODZIEJSKA: – Tak, dzieci i nastolatki organizują sobie na przykład msze na Robloksie. To się działo już przed pandemią, ale w jej trakcie nabrało rozpędu. Nie można było pójść do kościoła, no i z wolnym czasem trzeba było coś zrobić. Roblox to online'owa platforma, gdzie można grać w gry, a także oddolnie je tworzyć. Uczestnicy tych mszy organizują wirtualne parafie, sami budują kościoły, co jest dość pracochłonne. Gdy oglądałam te msze, uderzyła mnie ogromna dbałość o detal. Wnętrza, ołtarze, ornaty są możliwie bliskie rzeczywistości. Oczywiście trochę wypikselowane, podobnie jak w Minecrafcie, ale widać, że włożono w to mnóstwo czasu, energii i pomysłów. Msze odbywają się zgodnie z wyznaczonym przez Kościół porządkiem – niemalże od A do Z. Czasem trwają nawet po dwie godziny. Kazań dzieci nie wymyślają same, biorą gotowe teksty.

Dlaczego dzieci czy nastolatki wolą msze wirtualne od kościelnych?

Na Robloksie są też osoby bardzo zaangażowane religijnie. Częścią mszy jest platforma Discord, która służy budowaniu społeczności; można się wymieniać komentarzami, umawiać ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ na spotkania. Są tam streamingi dla osób, które uczestniczą w tych mszach. Gdy śledziłam ich dyskusje, część osób mówiła, że dla nich to zachęta do pogłębiania wiary. Dlatego ostrożnie bym podchodziła do stwierdzenia, że robloksowe msze to alternatywa dla tych kościelnych. Myślę jednak, że ciekawe i kuszące dla młodych może być to, że choć ich msze są zgodne z literą prawa kanonicznego, to mimo wszystko kontrolę nad tym procesem mają sami uczestnicy. Nie ma „narzuconego" proboszcza, bo funkcję tę pełni chwilowo np. 16-letni Marek. To daje poczucie większego sprawstwa. Głos należy do młodych.

A co na to Kościół?

Nie ma jasnego stanowiska. Wypowiadali się na ten temat pojedynczy księża. Jedni uznali, że to wspaniała rzecz, mówili o tym wręcz z entuzjazmem, inni twierdzili, że to nic dobrego, a wręcz zagrożenie profanacją. Oficjalnego stanowiska Kościół nie sformułował. Nie angażuje się w to poprzez swoich oficjalnych reprezentantów. Nie słyszałam też, żeby jakaś polska parafia te robloksowe msze wspierała. Na pewno księża na nich bywają, ale raczej z ciekawości, żeby zobaczyć, jak to wygląda, a nie żeby je legitymizować czy nadawać wymiar oficjalny. Przy czym trzeba dodać, że Kościół w ogóle rzadko angażuje się w tego rodzaju online'owe inicjatywy.

Jak pani zdaniem instytucjonalny Kościół odnajduje się w świecie wirtualnym? Zawsze potrafił wykorzystywać media.

Jak najbardziej potrafił wykorzystać i radio, i telewizję. A świat online? Kościół katolicki to jednak nie jest Facebook czy Google i zawsze będzie w innym miejscu, jeśli chodzi o tempo innowacji. Ale moje badania wskazują, że aktywnie angażuje się w działania internetowe. Nawet ostatnie dyskusje o sztucznej inteligencji, w których uczestniczy papież Leon, pokazują, że jednak Kościół jest zainteresowany tym, co się dzieje w sieci. Watykan nie ma oficjalnego konta na TikToku, ale jego strona internetowa przeszła niedawno lifting i jest dużo lepsza niż kiedyś. Wiele parafii jest obecnych w mediach społecznościowych, choć raczej po to, by ułatwiać ich funkcjonowanie, niż podążać za modą.

Jednak obecność w sieci Kościoła instytucjonalnego jest nakierowana na biernego odbiorcę. On ma zostać poinformowany, a nie wchodzić w interakcje. Czy dla młodych to nie jest zbyt archaiczna forma?

Na poziomie Kościoła jako struktury hierarchicznej faktycznie to tak wygląda. Może konto papieża na serwisie X jest pewnym wyjątkiem, choć tam też nie ma za wiele interakcji. Jednak trochę zmienia – parafie, wspólnoty czy organizacje kościelne coraz lepiej wykorzystują media społecznościowe i wchodzą w interakcje z odbiorcami.

Twierdzi pani jednak, że polski Kościół nie w pełni wykorzystał pandemiczną szansę.

Pandemia wymusiła przyspieszenie pewnych procesów. Parafie siłą rzeczy były zmuszone, żeby funkcjonować online. To nie były działania skoordynowane centralnie. Były transmisje robione świetnie, dynamicznie i fachowo montowane. Na innych nie było prawie nic widać czy słychać. Gdy pandemia się skończyła, liczba mszy w internecie spadła. W oczach hierarchów uczestnictwo w nabożeństwie online jest postrzegane jako coś gorszego w porównaniu z fizyczną obecnością na mszy. Internet nie jest według nich równorzędną przestrzenią, bo daje mniejszą formę kontroli nad wiernymi. To się pewnie prędko nie zmieni. Prędko nie zmieni się też katalog możliwych form przyjmowania sakramentów – wymagają fizycznej obecności. Nawet spowiedź przez telefon wciąż nie jest możliwa. Przez internet tym bardziej.

Ocenia się, że po pandemii do kościołów nie wróciło ok. 30 proc. wiernych. Ten odpływ dotyczy głównie młodych ludzi.

W większości tych, którzy uczestniczyli w nabożeństwach z przymusu, bo rodzice każą. A w pandemii okazało się, że można w niedzielę nie iść do kościoła i nic się z tego powodu nie dzieje. Nawet kard. Grzegorz Ryś przyznał, że w pandemii ci niezdecydowani czy letni stracili argument, żeby iść na mszę. Nastąpiło tąpnięcie, po którym sytuacja już chyba nie wróci do poprzedniego poziomu. Zwłaszcza że wielu młodym po prostu nie odpowiada jakość kościelnej wspólnoty. Postrzegają ją jako miejsce, gdzie nie ma dialogu, trzeba wysłuchać i odklepać swoje. To ich nudzi. I ci młodzi raczej nie wychowają swoich dzieci na wiernych, którzy co niedzielę meldują się na mszy.

Wiadomo, dokąd odpłynęli ci młodzi? W jakieś wirtualne duchowe przestrzenie?

Nie ma dokładnych badań na ten temat, ale nie sądzę, żeby ci, którzy nie wrócili do kościołów, masowo oglądali msze w internecie. Ale też nie jest tak, że wszyscy nagle stracili wszelkie potrzeby duchowe. Część szuka w sieci bardziej indywidualnych wymiarów takich praktyk. Internet z jednej strony daje taką możliwość, a z drugiej pomaga budować pewną wspólnotowość. Dotyczy to bardzo wielu wymiarów, nie tylko potrzeb duchowych. W sieci łatwo znaleźć osoby, które mają podobne cechy czy czują podobnie. Podczas pandemii tę duchową lukę zaczęli intensywnie wypełniać internetowi influencerzy od ezoteryki czy mindfulness. W social mediach powstawały związane z nimi kanały, np. tarot na TikToku. To dla wielu ciekawsze i bardziej atrakcyjne niż kazania czy papieskie encykliki. Zwłaszcza że nie tylko mogę oglądać, jak ktoś tego tarota stawia, ale uczestniczyć w tym livie, wrzucić komentarz, na który ktoś odpowie. A to zaspokaja też fundamentalną potrzebę wspólnotowości.

10 lat temu prowadziła pani badanie wirtualnych wspólnot katolickich, powstałych na forach internetowych. Nie znalazła tam pani potencjału wywrotowego, raczej chęć pogłębienia wiary. Czy nadal to tak wygląda?

Nie śledzę ich już tak dokładnie. Wiem, że dwa z trzech forów, które badałam, nadal istnieją. Wówczas były swoistym fenomenem, bo umożliwiały spotkanie osób o bardzo różnych zapatrywaniach w ramach katolicyzmu, ale również niewierzących. To była – i wciąż jest – przestrzeń, gdzie ludzie mogli godzinami dyskutować, wymieniać się wiedzą, interpretować zapisy Biblii, prawa kanonicznego, pisma Ojców Kościoła. Zdarzało się nawet, że niewierzący tłumaczyli wierzącym, w co wierzą. Mimo braku formalnej kontroli kościelnej, te wspólnoty kontrolowały się same. Gdy ktoś zaczynał wypisywać głupoty, był szybko upominany. Czy coś się zmieniło? Przede wszystkim to, że dziś fora są przestrzenią bardzo niszową. Ruch przeniósł się na media społecznościowe i grupy na Facebooku. Wśród młodych ludzi mało kto siedzi na forach, może poza Redditem. A na socjalach rozbudowane, wielogodzinne dyskusje nie są częste. To inna formuła, obowiązują limity znaków. Wydaje mi się, że to także kwestia demografii. Uczestnikami forów były już wtedy osoby starsze niż dziś np. na Instagramie – po 25. czy 30. roku życia.

A inne oddolne inicjatywy katolików online?

Dla mnie fenomenem jest o. Adam Szustak, który od lat na YouTube prowadzi kanał „Langusta na palmie". Tworzy profesjonalne treści z religijnym przesłaniem. Mówi o wierze, wartościach, emocjach, relacjach z ludźmi i Bogiem językiem zrozumiałym i przyjaznym.

eprasa.pl 7cd57e2719

Ale jego popularność chyba przygasa. Przed laty odcinki „Langusty" miały po kilka milionów wyświetleń. Teraz kilkaset, a nawet kilkadziesiąt tysięcy.

Ale jego kanał wciąż subskrybuje prawie milion osób. Zresztą to może być też kwestia demograficzna. O. Szustak jest głównie na YouTube, a odbiór przesuwa się na inne nośniki. Najmłodsi są bardziej skłonni oglądać Instagram i TikToka. A na TikToku mamy np. zakonnice, które kręcą śmieszne filmiki o tym, jak wygląda klasztorne życie od środka; filmują, jak odśnieżają alejki, gotują obiad, piją kawę. Księży i sióstr obecnych online jest całkiem sporo, a media społecznościowe pozwalają wybić się osobom, które w inny sposób nie byłyby wypromowane, a ujmują ludzi swoją osobowością. Pokazują się nie tylko jako osoby duchowne z autorytetem, ale żyją codziennym życiem. Nawet Archidiecezja Warszawska poszła tą drogą, publikując filmy, jak abp Adrian Galbas uprawia jogging. Ot, znak czasów. W tradycyjnych formułach to nie byłoby możliwe.

Faktycznie, od wielogodzinnych dyskusji na forach do picia kawy droga daleka. Trywializacja religii?

W mojej ocenie to raczej uwypuklenie pewnych aspektów religii. Wielogodzinne debaty i pokazywanie gotowania w zakonnej kuchni służą innym celom, odwołują się do innych wymiarów, tj. bardziej intelektualnego, związanego z rozumieniem i tego, który łączymy z emocjami, codziennym przeżywaniem wiary. Uczestnictwo w rozbudowanych dyskusjach wymaga czasu, wiedzy, zaangażowania, a filmiki w social mediach mogą być bardziej przystępne, mają niższy „próg wejścia". W socjologii są koncepcje, które wskazują, że przez obecność w mediach religia się banalizuje, tzn. staje się zasobem kulturowym, często oderwanym od sakralnych korzeni, ale inni badacze podkreślają, że obecność religii w sieci mobilizuje i angażuje wiernych, ułatwia im praktykowanie.

A do czego służą aplikacje modlitewne?

Niektóre np. po to, by studiować Biblię, zrobić rachunek sumienia, pomagają w modlitwie czy medytacji. Inne religie, np. świadkowie Jehowy czy buddyści też mają swoje aplikacje. W katolicyzmie fenomenem jest amerykańska aplikacja Hallow, bardzo popularna także u nas, bo ma polską wersję językową. Oferuje np. sesje tradycyjnych modlitw, modlitw kontemplacyjnych, medytacji katolickich, muzyki chrześcijańskiej. Można powiedzieć, że jest tam wszystko, co pomaga kompleksowo zaopiekować się swoją wiarą i zaangażowaniem religijnym. Wydaje mi się, że z czasem takich aplikacji może pojawiać się coraz więcej, bo odpowiadają na zmieniające się potrzeby wierzących we współczesnym dyskursie. Język aplikacji Hallow jest dość podobny do języka aplikacji służących medytacji mindfulnessowej; bardziej nowoczesny, strawny dla współczesnych wiernych. W sieci pojawia się też coraz więcej, podanych w przystępny sposób, treści religijnych dla najmłodszych. Jest np. gra, w której z klocków Lego układa się biblijne postaci.

A czym jest katolicki Netflix?

To portal dominikanie.pl, teologiczno-kaznodziejsko-duszpasterska platforma wideo, która formą graficzną jest bardzo podobna do Netflixa. Layout jest niemal identyczny. Filmiki można przesuwać w prawo i lewo, wybierając rodzaj treści typu wykłady, konferencje, rekolekcje, czytanie Biblii. Jest też sekcja dla dzieci. Nazywanie tego katolickim Netflixem to trochę żart, ale pokazuje, że dominikanie, podobnie jak jezuici, mają bardzo silną pozycję w internecie.

Dr hab. **Marta Kołodziejska**, socjolożka, adiunktka na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, kierowniczka kierunku Socjologia Cyfrowa. Bada wpływ korzystania z mediów i technologii cyfrowych na instytucje religijne, autorytet i wspólnoty. Przewodnicząca Research Network Sociology of Religions w Europejskim Towarzystwie Socjologicznym.

W życie duchowe włączyła się też sztuczna inteligencja. W 2024 r. publikowaliśmy w POLITYCE reportaż Edyty Gietki z poznańskiej kaplicy, gdzie została zainstalowana sztuczna inteligencja, z którą wierni mogą rozmawiać o każdej porze dnia i nocy. Reporterka wdała się z nią w rozmowę i stwierdziła, że jest bardziej ludzka i wrażliwa niż niejeden proboszcz. Wierni też sobie chwalą. Nie jest wścibska, nie gromi, potrafi doradzić. Księża powinni zacząć się bać?

Myślę, że na razie nie. Zwłaszcza że niektórzy księża korzystają z czata GPT do pisania kazań, co ostatnio skrytykował papież Leon. Wydaje się, że w Kościele katolickim ksiądz jest na razie niezastępowalny. Chociaż w świątyniach buddyjskich w Japonii są już mnisi roboty. Prowadzą na przykład pogrzeby. Poznań to raczej przypadek jednostkowy. Tam trzeba było włożyć sporo pracy w to, by wytrenować tę sztuczną inteligencję tak, aby odpowiadała zgodnie z nauką Kościoła. Wcześniej był jeszcze jeden podobny przypadek na warszawskim Bemowie – robot Santo, który wyglądał jak malutki ksiądz i odpowiadał na pytania wiernych. To była prostsza forma AI, bo katalog pytań ograniczony był do spraw wiary. Trwało to kilka miesięcy, na zasadzie ciekawostki. Teraz robota można oglądać w Centrum Nauki Kopernik. Sztuczna inteligencja może wydawać się bardziej sympatyczna, troskliwa i wspierająca niż niejeden proboszcz, ale nie potrafi stawiać nam wyzwań, skłonić do zmiany myślenia, wejść w spór, negocjować. Nie do tego została zaprojektowana, dlatego nie wydaje mi się, żeby została zastosowana w kościołach na masową skalę. Do tego, by sprowokować w nas jakąś niewygodną myśl, potrzebny jest żywy człowiek; w tym przypadku osoba duchowna.

Może dla młodych, którzy – jak mówi się w języku poppsychologii – nie lubią wychodzić ze strefy komfortu, ksiądz chat może być bardziej atrakcyjny niż proboszcz, który potrafi wyprowadzić z równowagi?

Może faktycznie będą woleli księdza chata. Pewnie w przyszłości staniemy przed takim wyzwaniem. Na razie to fenomen niszowy, choć zapewne z czasem stanie się jakąś częścią naszej rzeczywistości. Co ciekawe, sama AI może się stać obiektem kultu. W polskim kontekście ten wątek nie jest jeszcze zbyt często poruszany, ale w światowej literaturze już tak. Istnieje na przykład Kościół Turinga (Turing Church) – grupa osób wyznających wartości transhumanistyczne, które postrzegają AI jako inteligencję transcendentną, emanację boskości. Oczywiście boskość rozumieją inaczej niż np. Kościół katolicki. Nie wierzą, że ChatGPT jest Bogiem, ale są przekonani, że możemy w zostać „zbawieni" poprzez technologię, którą powinniśmy współkształtować. Brytyjska badaczka Beth Singler analizuje sposoby, w jakie ludzie mówią o sztucznej inteligencji. Okazuje się, że bardzo łatwo adaptuje się do tego słownictwo religijne. Tak się mówi o rzeczach, które są tajemnicze, niezrozumiałe, których się boimy. Myślę, że wraz z rozwojem AI będzie się to potęgowało; być może doczekamy się nowego języka technoreligijnego.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 7cd57e2719

Dwór prezydenta

„Zluzuj zbroję" – mawia Karol Nawrocki do swoich współpracowników, zaniepokojonych wizerunkowymi konsekwencjami jego ostatnich zachowań. Ale jego otoczenie, nawet to z politycznym doświadczeniem, też jest zagubione i popełnia zaskakujące błędy.

ANNA DĄBROWSKA

Prezydent Karol Nawrocki w otoczeniu swoich ludzi w Sejmie. Od lewej: Marcin Przydacz, Zbigniew Bogucki, Sławomir Cenckiewicz, Rafał Leśkiewicz, Paweł Szefernaker.

Najgłośniejszy przykład z ostatnich dni to nerwowa reakcja po wspólnej konferencji z prezydentem Węgier, kiedy dziennikarz TVN24 Mateusz Półchłopek zapytał Nawrockiego: „Czy panu już nie przeszkadza zażyłość Viktora Orbána z Władimirem Putinem?". Chodziło o to, że jeszcze w listopadzie Nawrocki odwołał spotkanie z Orbánem, argumentując, że szef węgierskiego rządu właśnie spotkał się z Putinem. Pytanie dziennikarza o ten, najłagodniej mówiąc, brak konsekwencji polskiego prezydenta było więc absolutnie zasadne.

Karol Nawrocki już po skończonej konferencji prasowej wrócił na scenę, zwracając się do swojego rzecznika prasowego: „Daj mi go" (co można wyczytać z ruchu warg), „Czy ktoś tu pytał? Gdzie jest ten pan redaktor?". Mówiąc o sobie w trzeciej osobie, skierował palec na reportera: „O co chce pan dopytać? Pan nie słuchał konferencji prasowej? Robiliście materiały o tym, że mnie ściga Putin?" – pytał wyraźnie rozdrażniony prezydent. „Pan redaktor się ogarnie i słucha, co mówi prezydent Polski" – mówił prezydent. A potem pojechał na godzinne spotkanie do Orbána. Z wizytą Nawrocki się nie afiszował, ale i tak dał jasny sygnał, także na Kreml, że szef węgierskiego rządu chwilę przed wyborami ma poparcie polskiego prezydenta.

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

Prawdziwy mężczyzna

Znaczący polityk PiS: – *To jest elementarz. Rzecznik prasowy powinien wziąć Karola za rękaw i powiedzieć: »Schodzimy ze sceny«. Jakby z Nawrockim stał tam Paweł Szefernaker, to by na takie zachowanie w stosunku do dziennikarza, nawet TVN, nie pozwolił, bo to nie wyglądało dobrze.* Nasz rozmówca zwraca uwagę, że akurat szef gabinetu prezydenta na X przemilczał sprawę, opublikował jedynie kilka sekund z konferencji, kiedy Nawrocki deklaruje: „Są też sprawy, w których zgadzamy się, że się nie zgadzamy. Polacy kochają Węgrów – nienawidzą Władimira Putina".

W PiS ustalono, że trzeba tę sytuację trywializować, że właściwie tak jak Karol zachowałby się każdy „prawdziwy mężczyzna", co wygląda na puszczanie oka do sympatyków Konfederacji. Na oficjalnym kanale Kancelarii Prezydenta na YouTube można dziś oglądać relację z tej konferencji, ale zakończoną w momencie, gdy Karol Nawrocki trzyma jeszcze nerwy na wodzy.

Za to szef BBN Sławomir Cenckiewicz opublikował właśnie tylko tę ostatnią część popisu „siły" Nawrockiego „Brawo, Karol!" i podając komentarz internauty: „I tak się powinno wyjaśniać TVN(y). Prezydent Nawrocki wrócił do funkcjonariusza TVN, bo ten był głuchy...". Szef prezydenckiej kancelarii Zbigniew Bogucki w TVN24 tłumaczył, że to, co zrobił Nawrocki, to było „bardzo zdrowe, racjonalne, mądre zachowanie", a Półchłopek „zachowuje się nie jak półdziennikarz, tylko jak ćwierćdziennikarz".

Doświadczony w prowadzeniu kampanii politycznych poseł PiS łapie się za głowę, patrząc na to, co robi otoczenie Nawrockiego: – *Próbują grać w tej sprawie na dwóch fortepianach, ale słabo im idzie. Zbyszek Bogucki znów chciał retorycznie zabłysnąć, by budować siebie, bo jest zasmucony tym, że nie został kandydatem PiS na premiera* – zauważa nasz rozmówca. O prezydenckim rzeczniku mówi wprost, że wykazuje się totalnym brakiem doświadczenia w komunikacji politycznej: – *Przecież Rafał Leśkiewicz był rzecznikiem prasowym Karola w IPN. Naprawdę czym innym jest ogłaszać w IPN uroczystości z okazji rocznicy wojny czy jakiejś bitwy, a czym innym jest zarządzać komunikacją u prezydenta.*

W zarządzaniu tym, co się dzieje w Kancelarii Prezydenta, przeszkadzają konflikty, które wynikają z wygórowanych ambicji osobistych niektórych ministrów i z braku politycznego doświadczenia samego prezydenta.

Ambitni kandydaci

Prezydent ma w pałacu dwóch byłych kandydatów na prezydenta z krótkiej listy prezesa, którzy przegrali z nim w przedbiegach. I obaj są przekonani, że gdyby prezes na nich postawił, to oni siedzieliby dziś na miejscu Nawrockiego. To Marcin Przydacz, szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej. Tym samym zajmował się przez jakiś czas u Andrzeja Dudy, ma dobre kontakty na świecie, zna języki. Odszedł z pałacu na wiceministra w MSZ w rządzie Morawieckiego. Drugi – Zbigniew Bogucki, także ▶

prasa.pl 7cd57e2719

▶ niedoszły kandydat na premiera PiS, który przegrał z Przemysławem Czarnkiem – to były wojewoda zachodniopomorski i poseł PiS. Bogucki stanął na czele kancelarii zamiast Czarnka. Szefa gabinetu – Pawła Szefernakera – Nawrocki wybrał sobie sam, za zgodą Nowogrodzkiej. Osoba z otoczenia prezesa PiS: – *Paweł był szefem sztabu prezydenckiego i złapał dobry kontakt z Karolem. Jako jedyny z najbliższego otoczenia Nawrockiego rozumie dużą politykę i jest w ciągłym kontakcie z Jarosławem, podobnie jak Bogucki.*

Ktoś z zaplecza opowiada, że Szefernaker był przeciwny temu, by to Boguckiego ogłoszono kandydatem PiS na premiera. I bynajmniej nie dlatego, że nie chciał tracić z boiska frontmena, który nieźle wypada w mediach. Szef gabinetu prezydenta ma Boguckiego w swojej pałacowej drużynie i ma nad nim kontrolę. – *To Paweł jako wiceminister w MSWiA sprawował nadzór nad wojewodami i zrobił ze swojego kolegi ze Szczecina wojewodę zachodniopomorskiego. Wtedy kariera Zbyszka bardzo przyspieszyła. Szefer obawiał się, że jak Bogucki odejdzie z pałacu, to szefem kancelarii zostanie ktoś, nad kim nie będzie miał takiej władzy* – twierdzi dobrze zorientowany polityk PiS.

Ostatnio Bogucki zbiera cięgi w PiS za to, że decydując o zawetowaniu nowelizacji Kodeksu postępowania karnego, nie położył na stole żadnego projektu, który by udobruchał kibiców. Pokazał go dopiero dwa tygodnie później, w dniu, w którym Sejm nie zdołał odrzucić prezydenckiego weta. Ustawa rządowa dotyczyła m.in. złagodzenia przepisów o tymczasowych aresztach. Na tym zależało kibolom, którzy mają zatargi z prawem. Szybko w zorganizowanej akcji przekazali prezydentowi, co o tym myślą, co było zresztą do przewidzenia, a wywołało jednak szok w pałacu. Teraz można tu usłyszeć, że znając już konsekwencję weta, Nawrocki podpisałby nowelizację.

Karol się zna

Ktoś opowiada, że Szefer jest szalenie ambitny i chętnie widziałby siebie w roli wicepremiera przyszłego rządu PiS. Mówi się o nim, że jest wyważony i kreuje się na specjalistę od politycznych strategii, ale niektórzy nasi rozmówcy twierdzą, że tą, po którą najczęściej sięga, jest sprawianie na rozmówcy wrażenia, że trzyma właśnie z nim. – *Sam byłem świadkiem, jak rozgrywa jednych przeciwko drugim. Każdego zapewnia, że jest po jego stronie, a jak zamkną się za kimś drzwi gabinetu, to nadaje na niego do jego przeciwników. Taki ma styl. A nauczył się tego od swojego mistrza Jarosława Kaczyńskiego. Pojętny uczeń* – zauważa polityk PiS, bywalec Nowogrodzkiej.

Sporo energii kosztuje Szefernakera obniżanie napięcia pomiędzy szefem BBN Sławomirem Cenckiewiczem a szefem Biura Polityki Międzynarodowej Marcinem Przydaczem. Panowie rywalizują o to, który z nich będzie ważniejszy w relacjach z administracją Donalda Trumpa. Obaj polecieli z Nawrockim w pierwszą zagraniczną podróż do USA na początku września minionego roku. Przydacz uważa, że to jego ministerialna domena, bo dotyczy polityki międzynarodowej, ale Cenckiewicz nie ustępuje pola, bo jako szef BBN odpowiada za prezydencką politykę bezpieczeństwa. – *Marcin opowiadał kiedyś, że w USA tytułują go Security Advisor, czyli doradca ds. bezpieczeństwa, na co Cenckiewicz bardzo się irytuje* – opowiada z rozbawieniem bywalec gmachu przy Krakowskim Przedmieściu. Na początku prezydentury Nawrocki bardzo liczył się ze zdaniem Marcina Przydacza i choć teraz też go poważa, to podobno ostatnio zaczął nabierać przekonania, że sam już dobrze odnajduje się w polityce zagranicznej. – *To klasyka, tak samo było z Dudą. Wystarczy spotkanie z prezydentem USA, a potem kilka z innymi przywódcami, i obrastają w piórka, że się znają i ogarniają. I Sławek Cenckiewicz utwierdza Karola w tym przekonaniu, aby obniżyć rangę Marcina Przydacza, który ma duże doświadczenie* – przekonuje rozmówca POLITYKI obserwujący wojenki pałacowe.

Bez wątpienia Nawrockiemu bliżej do szefa BBN. Cenckiewicz jest przekonany, że to on lata temu wykreował Nawrockiego na szefa IPN, skąd była krótka droga do prezydentury. – *Cenckiewicz podszeptuje Nawrockiemu, że inni z jego otoczenia grają tylko na Kaczyńskiego i nie do końca może im ufać* – irytuje się polityk PiS znający kulisy pałacu. Dodaje, że awantura wokół niepodpisania przez prezydenta awansów na pierwszy stopień oficerski w służbach, dopóki ich szefowie nie stawią się u Nawrockiego, to gra Cenckiewicza. I to powodowana osobistą wendetą, gdyż szef BBN jest w konflikcie z szefami Służby Kontrwywiadu Wojskowego, bo cofnęli mu certyfikat dostępu do informacji niejawnych.

Nowe twarze

Ostatnio w otoczeniu prezydenta eksponowanych jest kilka nowych osób, które mają być dowodem na to, że Nawrocki dysponuje szerszym zapleczem. Jedną z nich jest Wanda Buk, którą już w sierpniu, a więc na początku swojej prezydentury, Nawrocki powołał na społeczną doradczynię. Po dwóch latach, w 2020 r., jedna z najmłodszych wiceministrów w rządzie PiS (prywatnie żona Janusza Cieszyńskiego, również wiceministra w rządzie PiS) z resortu cyfryzacji poszła na cztery lata do zarządu Polskiej Grupy Energetycznej.

Ostatnio występuje w pałacu w sprawach energetyki. Tydzień po tym, jak Przemysław Czarnek, już kandydat PiS na premiera, żądał wyjścia Polski z ETS, Buk przekonywała na konferencji u prezydenta: „To system najgorszy ze wszystkich wprowadzonych w ramach Zielonego Ładu, który będzie ogromnie bolesny dla polskiej gospodarki i polskich odbiorców". Pytań od dziennikarzy nie było, co Buk skomentowała z szerokim uśmiechem: „To znaczy, że tak dobrze wyjaśniłam", co spowodowało lekką konsternację. W minionym tygodniu na kolejnej konferencji prasowej u prezydenta mówiła o rosnących cenach energii, wyliczała, ile przeciętnie Polacy więcej za nią zapłacą. – *Wanda jest prawniczką, sprawnie mówi i do tego jest kobietą, więc przemawia do kobiet, które pilnują w domu rachunków. To dobre posunięcie otoczenia Karola, aby na nią postawić. Będzie jej coraz więcej* – mówi poseł PiS.

Razem z nią stanął przy mikrofonie Karol Rabenda – podsekretarz stanu odpowiedzialny za obszary energetyki, rozwoju oraz projektów strategicznych. Wywodzi się z Porozumienia Jarosława Gowina, ale ostatecznie wybrał współpracę z Kaczyńskim.

W rządzie PiS Rabenda był podsekretarzem w resorcie aktywów państwowych. Zna się z Nawrockim ze studiów. Już w Gdańsku współpracowali przy okazji różnych historycznych rocznic. Kiedyś wspominał, że gdy Nawrocki przemawiał jako dyrektor Muzeum II Wojny, pomyślał, że to „prezydencki format". W kampanii w sztabie wyborczym zajmował się działalnością Marty Nawrockiej, ale nie miał na to dobrego pomysłu. Często podróżuje z Nawrockim. – *Teraz jest decyzja, aby Rabenda wykazał się w sprawach „rachunków grozy", a często podróżuje, bo Karol traktuje go jako takiego swojego asystenta, podobnie jak Mateusza*

eprasa.pl 7cd57e2719

Koteckiego. Zrobił z nich podsekretarzy, ale daleko im do takiego formatu – opowiada polityk związany z pałacem.

Sprawdziliśmy, że Kotecki też często uczestniczy w prezydenckich podróżach. To minister ds. społecznych i działań interwencyjnych. Był asystentem Andrzeja Jaworskiego, polityka PiS, ulubieńca Tadeusza Rydzyka. Jest kolegą Nawrockiego z klasy w liceum, a zanim trafił do kancelarii, był szefem biura kadr w IPN. W kampanii dźwigał z Nawrockim dary dla powodzian i bywał ochroniarzem na spotkaniach wyborczych.

Marta na ocieplenie

W pałacu po niezbyt szczęśliwym wywiadzie Marty Nawrockiej w TVN 24 nikt się nie zniechęca. W minionym tygodniu poleciała do Białego Domu na spotkania w ramach szczytu „Kształtujemy razem przyszłość", który zorganizowała Melania Trump. Nawrocka wygłosiła tam przemówienie w towarzystwie innych pierwszych dam. – *Była przygotowana i w tych kontrolowanych, bezpiecznych warunkach, w towarzystwie Adama Andruszkiewicza* (zastępca szefa kancelarii – przyp. red.) *poszło całkiem dobrze* – cieszy się osoba z pałacu.

Do początku tego roku za aktywność Nawrockiej odpowiadał jeden z najbliższych ludzi Jacka Sasina – Ryszard Madziar. Sasin za rządów PiS ulokował przyjaciela w kilku spółkach i jako doradcę za miliony w Pekao SA. Po zmianie władzy nie miał się gdzie podziać, więc wylądował w pałacu. Marta Nawrocka długo z nim nie wytrzymała, była poirytowana, że jest skupiony głównie na promocji siebie, z czego jest zresztą znany w PiS. Na początku tego roku jego nazwisko zniknęło ze strony kancelarii, ale Madziar bynajmniej nie zniknął z pałacu.

Czym się zajmuje? Trudno powiedzieć, wszyscy cieszą się, że zniknął z pierwszej linii. – *Miałem nadzieję, że to już koniec Madziara, ale widać Karol i ludzie, którzy reprezentują tu interesy Nowogrodzkiej, boją się go zwolnić. Nie wiem, czym on się teraz zajmuje, na pewno nie jest już dyrektorem* – twierdzi nasz rozmówca z pałacu.

Za krótki na prezesa

Ostatnie dni pokazały, że interesy Nowogrodzkiej są w pałacu dobrze zabezpieczone i wygląda na to, że prezydent doszedł do wniosku, że jest – jak mówią w PiS – „za krótki na Kaczyńskiego". Plany bycia ojcem całej prawicy odłożył na półkę.

Początkowo wcale nie było takie pewne, że prezydent zawetuje program SAFE, w pałacu ścierały się różne pomysły. W końcu pojawił się pomysł zawarcia sojuszu z prezesem NBP Adamem Glapińskim i narracja o „polskim SAFE 0", aby dać coś w zamian za weto. Dwa dni przed jego ogłoszeniem prezes Kaczyński pojechał do pałacu i odbył z Nawrockim rozmowę. – *Do takich spotkań dochodzi regularnie. Karol jest uświadamiany, że bez poparcia partii nie będzie miał reelekcji. Bez naszych pieniędzy, ludzi w kancelarii i struktur, które zawsze staną za Jarosławem, może tylko pomarzyć o kolejnej kadencji. No i teraz wyrósł mu jeszcze poważny konkurent, którym prezes może go rozgrywać* – mówi polityk PiS znaczący na Nowogrodzkiej.

Chodzi o Przemysława Czarnka, który miesiąc temu został kandydatem PiS na premiera, choć do tego droga daleka. Kilka dni temu spotkał się z Nawrockim w pałacu i zawarli taktyczny sojusz. Czarnek wie, że w otoczeniu Nawrockiego są tacy, którym bliżej do Mateusza Morawieckiego (m.in. Marcin Przydacz, Adam Andruszkiewicz, Tomasz Matynia, szef biura analiz i strategii, a nawet nie jest do końca pewny Pawła Szefernakera), i obawiał się, że będą rzucać mu kłody pod nogi. Podobno Przemysław uświadomił Karolowi, że granie do wspólnej bramki obu im się opłaci – jeden ma szansę zostać premierem, a drugi na kolejne pięć lat w pałacu – i nawet może kiedyś spełni się jego marzenie o tym patronowaniu całej prawicy.

Nawrocki pamięta, że Czarnek harował przy jego kampanii i nazywał go publicznie swoim przyjacielem. Jest między nimi chemia. I tę synchronizację działań już widać, a to dopiero początek. Czarnek od początku swojej premierowskiej kampanii mówi o ETS i wysokich rachunkach za energię. Dosłownie w tym samym dniu, w którym Wanda Buk, doradczyni Nawrockiego, zapowiedziała list prezydenta do Donalda Tuska w sprawie ETS, Czarnek na swoim wiecu ogłosił: „Dzisiaj na tym kuchennym stole każdego domu kładę jeszcze jeden dokument. Pismo Pana Prezydenta Karola Nawrockiego skierowane do premiera Tuska, w którym Prezydent pisze wprost: Wychodzimy z ETS-u!".

Osoba, która od lat zna Kaczyńskiego, mówi, że rozegrał Nawrockiego: – *Teraz partia dużo będzie inwestować w Czarnka, będzie jeździł, budował popularność i to będzie dobry argument w rozmowach z Karolem. Jeśli nie będzie z nami współpracował, tak jak prezes sobie tego życzy, to jest kandydat na jego miejsce w kolejnych wyborach prezydenckich, o podobnym profilu i popularności.*

Po pierwsze, PiS

O spójność piarowego przekazu z Nowogrodzkiej z tym z pałacu dba Anna Plakwicz. Nawrocki poznał ją w czasie kampanii wyborczej i był pod wrażeniem rozmachu, z jakim organizowała konwencje, objazdy po kraju i jakie wymyślała spoty. Niemal na początku kadencji została szefową wydarzeń krajowych w kancelarii. Od lat była nazywana dyrektorem kreatywnym kampanii PiS, w tym także tej szkalującej sędziów „Sprawiedliwe sądy". Pomaga pisać przemówienia Nawrockiemu. Ostatnio wymyśliła spot na temat SAFE w stylu, z którego jest znana: Karol Nawrocki z dziećmi na rękach w kontraście do rozedrganych obrazków wściekłych czarnych oczu i Tuska przeliczającego banknoty euro. Hasło przewodnie: „Trwa wściekły atak obcego lobby na Prezydenta K. Nawrockiego za twarde nie dla upolitycznionej unijnej pożyczki SAFE i miliardów odsetek dla zagranicznych banków. Obrona suwerenności i przyszłych pokoleń jest dla naszego Prezydenta ważniejsza niż obce interesy!". Takich spotów będzie więcej.

Prezydent wciąż jest najpopularniejszym politykiem w Polsce, ale widać niekorzystny trend sondażowy. Od grudnia odsetek pozytywnych ocen jego działalności spada. Wiadomo, że im bardziej Karol Nawrocki angażuje się w twardą politykę i idzie z kursem PiS, tym mocniej traci. Mobilizuje przeciwników i zniechęca bardziej umiarkowanych. Ale decyzja już zapadła i z tego kursu nie zejdzie. Paweł Szefernaker na początku roku opublikował w magazynie „Wszystko Co Najważniejsze" tekst, swego rodzaju manifest polityczny, w którym napisał: „Hasło »Po pierwsze Polska, po pierwsze, Polacy« (...) zobowiązuje całe prezydenckie zaplecze do wyjątkowej dyscypliny. Każda wypowiedź, każde rozstrzygnięcie i każda decyzja muszą być oceniane przez pryzmat wpływu na codzienność zwykłych Polaków". To jasny przekaz dla Jarosława Kaczyńskiego, że Szefer będzie pilnował dyscypliny w pałacu, bo po pierwsze, prezes, po pierwsze, PiS.

ANNA DĄBROWSKA

eprasa.pl 7cd57e2719

Jarosław Kaczyński w 2001 r. i – na sąsiedniej stronie – obecnie

Ucieczka z Centrum

Równo 25 lat temu na polską scenę polityczną wkroczyło Prawo i Sprawiedliwość. Dokąd doszło?

RAFAŁ KALUKIN

Był poniedziałek 26 marca 2001 r. Tego dnia światowe agencje doniosły o kontrolowanym zniszczeniu na orbicie rosyjskiej stacji kosmicznej Mir, której szczątki spadły do Oceanu Spokojnego. W USA firma Apple ogłosiła premierę nowego systemu operacyjnego dla komputerów Mac, chociaż cała branża głównie jeszcze żyła skutkami pęknięcia giełdowej bańki w sektorze technologicznym. W Polsce tematem dnia były negocjacje w sprawie zakupu amerykańskich myśliwców F-16.

Na skromną imprezę w Białymstoku mało kto zwrócił uwagę, bo i nie było za bardzo na czym oka zawiesić. Ot, zebrało się paru miejscowych wiarusów Porozumienia Centrum, wtedy już zmarginalizowanej partyjki, która czasy świetności miała dawno za sobą. Odwiedził ich tego dnia Jarosław Kaczyński, dawny założyciel ugrupowania, ale wtedy już tylko honorowy prezes. Zaprosili na koniec dziennikarzy, żeby poinformować o powstaniu lokalnego komitetu pod niewiele jeszcze mówiącą nazwą Prawo i Sprawiedliwość.

W kolejnych tygodniach podobne komitety zaczną powstawać już w całej Polsce, budząc wreszcie zainteresowanie opinii publicznej. Okres embrionalny nowego ruchu politycznego potrwa do 29 maja, kiedy to odbędzie się kongres założycielski partii Prawo i Sprawiedliwość. Na jej czele stanie ówczesny minister sprawiedliwości Lech Kaczyński.

Jeszcze pod koniec poprzedniego roku ów szorstki w obyciu polityk wdrapał się aż na drugie miejsce w rankingu zaufania CBOS, wyprzedzając będącego przez długie lata mistrzem w tej konkurencji Jacka Kuronia, wtedy już jednak mocno schorowanego i mało aktywnego. Wyżej znajdował się tylko Aleksander Kwaśniewski, który w cesarskim stylu właśnie przedłużył prezydenturę, wygrywając wybory w pierwszej turze. Ale Kaczyński ustępował mu raptem o parę punktów. Ufało mu aż 70 proc. Polaków, przy niespełna 10-procentowej nieufności.

Trafił do rządu latem 2000 r. i był to pierwszy z długiej listy przypadków, które zdeterminowały polską politykę na najbliższe dekady. Akurat rozpadła się koalicja AWS-UW (Akcja Wyborcza Solidarność – Unia Wolności) i premier Jerzy Buzek musiał wypełnić wakaty po unitach. Jego najbliższa powiernica Teresa Kamińska zaproponowała Lecha Kaczyńskiego, bo miał opinię kompetentnego urzędnika i nie należał do żadnej z partii tworzących AWS. Wchodząc do rządu, nie naruszał więc skomplikowanej mozaiki.

Najwyraźniej nie docenili jednak talentów niepozornego polityka, który wkroczył z buta jak szeryf do salonu, by zrobić porządek. Co prawda głównie na pokaz, bo Kaczyński działał pod publiczkę, ingerując w prokuratorskie śledztwa dotyczące najbardziej bulwersujących spraw, podczas gdy prawdziwe reformy wprowadzał niemedialny szef MSWiA Marek Biernacki. Ale w tamtej, dobiegającej już końca, epoce reformatorskiej krzątaniny przeważnie nie zdawano sobie jeszcze sprawy z możliwości marketingowej kreacji.

Czas wyjątkowo sprzyjał szeryfom, bo Polska lat 90. rzeczywiście nieco przypominała Dziki Zachód. Wybuchały afery gospodarcze, gangsterzy w chwilach wolnych od mafijnych porachunków biesiadowali z politykami. Tyle że popularność Kaczyńskiego przez długi czas mimo wszystko wydawała się bardziej fenomenem społeczno-kulturowym niż

eprasa.pl 7cd57e2719

politycznym. I wbrew późniejszej legendzie nie była ona jedynym kamieniem węgielnym PiS. Na miano drugiego ojca chrzestnego zasługuje bowiem Donald Tusk.

„Nie jestem czynnym politykiem (…). Nie planuję kandydowania w następnych wyborach” – mówił jeszcze w styczniu 2001 r. Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla „Nowego Państwa”. Trochę nietypowe wyznanie jak na posła, który jednak od ponad trzech lat wiódł żywot politycznego singla, nie należał do żadnej parlamentarnej frakcji i w mediach występował najczęściej w roli komentatora. Kadencja dobiegała już końca, do wyborów zostało dziewięć miesięcy.

Prowadzący rozmowę Paweł Siennicki i Bogdan Rymanowski do końca nie dowierzali. Pytali, czy aby na pewno jest to ostateczna decyzja. „Tak. Tylko jakieś nadzwyczajne okoliczności mogą ją zmienić” – rozwiał wątpliwości ich rozmówca. Przekornie dodając: „Uważam, że w Sejmie jest tylko jedna miła chwila. Właśnie dzisiaj ją przeżyłem... poszedłem po pensję”. Taka szczerość w tamtych czasach to nie było nic niezwykłego. Szczególnie kiedy występowało się na zaprzyjaźnionych łamach, a takie właśnie było „Nowe Państwo”, będące wręcz organem PC.

Trochę to jednak zadaje kłam zdolnościom wielkiego stratega i politycznego wizjonera. Jarosław najwyraźniej nie miał pomysłu, jak skapitalizować nieoczekiwaną eksplozję popularności brata. Potwierdził to zresztą dekadę później w swoich wspomnieniach Ludwik Dorn, czyli ówcześnie najbliższy polityczny druh obu braci.

Dla Jarosława kariera Lecha z pewnością była źródłem osobistej satysfakcji. Wciąż nie umiał się pogodzić z klęską PC w 1993 r. oraz późniejszym wypchnięciem z AWS. Z jego politycznego środowiska pozostały rozsiane po Polsce nieliczne grupki najwierniejszych towarzyszy. „Przydałaby się jakaś rewolucja na prawicy, tylko ktoś musi realizować jej cele. I cały problem w tym, że nie widzę nikogo takiego” – wyznawał z wyraźną bezradnością w cytowanym wywiadzie.

Ukazał się on drukiem 12 stycznia 2001 r., czyli tydzień przed konferencją prasową w warszawskim Sheratonie, podczas której Andrzej Olechowski, Maciej Płażyński i Donald Tusk ogłosili powstanie Platformy Obywatelskiej. I jak można się domyślać, dopiero tamto wydarzenie sprawiło, że Kaczyński porzucił zamiar przejścia na polityczną emeryturę i zakasał rękawy, żeby zrobić coś podobnego.

© RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM, JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Jego stosunek do Platformy był na początku ambiwalentny. Niewątpliwie odczuwał schadenfreude, kiedy Tusk wyprowadzał do nowej formacji całe struktury Unii Wolności. Miał z Unią od zawsze na pieńku, a już zwłaszcza z liderem środowiska Bronisławem Geremkiem. Z drugiej strony deklarował w jednym z ówczesnych wywiadów: „Choć UW nie jest partią moich marzeń i ciągle robi rzeczy szpetne, to jednak w sporze z PO jestem po jej stronie”.

Bo w Platformie mierził go z kolei Olechowski. Szczególnie jego uwikłania z czasów PRL, ale też – na co istnieje wiele świadectw – od dawna zazdrościł temu politykowi światowego obycia, prezencji, postury. „Gdybym był tak wysoki jak Olechowski, byłbym w tym kraju kimś” – miał się zwierzać w zaufanym gronie. Tuska nie uznawał za postać szczególnie istotną, chociaż zapewne ukłuło jego ambicję, że to akurat niedoceniany polityk z Gdańska potrząsnął solidarnościową sceną. Do Platformy równolegle pukało już bowiem również spore grono poważnych postaci z AWS. Na scenie zaczynała się wędrówka ludów, z której Jarosław też postanowił skorzystać, wykorzystując pozycję brata.

I pod tym kątem wymyślona została nazwa nowego projektu, której autorem był Ludwik Dorn. Jak również zestaw założycielskich haseł skoncentrowanych wokół walki z przestępczością i oczyszczenia państwa z korupcji. Same się nasuwały, chociaż bracia nie tyle wymyślili sobie agendę, ile dostali ją na tacy. Opcja na „prawo i sprawiedliwość” była niemalże idealna, temat stał się politycznie nośny i nadawał się na polityczne otwarcie. Bo do tej pory Jarosław kojarzył się przede wszystkim z hasłami rozliczenia PRL, co przy takiej hegemonii SLD po 2000 r. było raczej kiepskim wehikułem. Z drugiej strony jeszcze w poprzednim politycznym wcieleniu dał się poznać jako przeciwnik dominującego w latach 90. trendu łagodzenia polityki karnej i osłabiania represyjności państwa. Obaj bracia uważali, że przy rosnących statystykach przestępczości jest to irracjonalne, a co najważniejsze, był to pogląd powszechny. Nie mieli więc żadnych obiekcji, żeby teraz wytoczyć najcięższe działa i domagać się przywrócenia kary śmierci.

Kolejną istotną nowinką było odejście od ideowego samookreślenia, nie tylko zresztą w nazwie, ale i programie nowego ugrupowania. Chociaż i tutaj inspiracja przyszła z zewnątrz, gdyż nieco wcześniej takiego rozmycia dokonali liderzy Platformy. Chodziło o to, żeby nie ograniczać się ideologią i budować ruch na nowe czasy: lekki, elastyczny, manewrujący. Przy okazji dawało to liderom narzędzie wewnętrznej kontroli, gdyż nie musieli już słuchać ortodoksów we własnych szeregach. Wystarczyło narzucić taktyczną ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ zmianę ideowego kursu, co od razu przestawiało wewnętrzną hierarchię.

Kaczyńskiemu było to szczególnie na rękę, bo w odróżnieniu od zdeklarowanego liberała Tuska sam nie był ani trochę ideologiczny. Od początku kariery pochłaniała go niemal wyłącznie polityczna technologia, co potrafił jakoś godzić z wyniesionymi z domu ogólnie patriotycznymi kodami. O ile więc z konieczności definiował wcześniej PC jako chadecję, gdyż takie były oczekiwania epoki, o tyle w PiS poprzestał na ogólnie prawicowym samookreśleniu oraz wąsko sprofilowanym programie politycznym.

Zawężenie programowe szło w parze z kadrowym. Kaczyński ani myślał robić bowiem kolejne pospolite ruszenie w stylu AWS, słusznie obawiając się niekontrolowanego napływu działaczy z idącego na dno obozu władzy. Zarazem nie mógł sobie jeszcze pozwolić na jawne odcięcie się od dogmatu prawicowej jedności, który stanowił istotną część solidarnościowej mitologii. Ciążył mu zresztą z poprzedniej dekady stygmat awanturnika i rozłamowca. No i jego brat był przecież ministrem w rządzie AWS...

Jeszcze zanim powstał białostocki komitet PiS, pod szyldem PC zorganizowano w Warszawie konferencję „Warunki sukcesu prawicy". Zaproszono jako gości wianuszek notabli z różnych nurtów AWS, których Kaczyński w kuluarach próbował sondować. Alternatywa była następująca: naprawiać Akcję czy może jednak lepiej budować nowy ruch? Dominował jednak oportunizm i jedynie wiceprezes ZChN Jacek Kurski miał nosa, dostrzegając szansę dla ewentualnej inicjatywy braci. Wcześniej czy później niemal wszyscy uczestnicy spotkania spotkają się zresztą w PiS.

Ale na razie Kaczyński wciąż pozorował dialog z liderami Akcji. Niby to składał im polityczną ofertę, stawiając zaporowe warunki. Po pierwsze, liderem obozu „z oczywistych względów" miał zostać Lech Kaczyński, zastępując w tej roli premiera Buzka. A po drugie, każdy kandydat na listy wyborcze miał dostać do wypełnienia specjalną ankietę, w której należało drobiazgowo wyspowiadać się z dotychczasowej działalności, stanu majątkowego, kontaktów, działalności gospodarczej bądź lobbystycznej, dostępu do publicznych pieniędzy. Weryfikacji miała dokonać bliżej nieokreślona komisja złożona z autorytetów, co oczywiście stanowiło fikcję, bo Kaczyński tak naprawdę nie zamierzał prawie nikogo wpuszczać. Jego plan był perfidny: AWS odrzuci dyktat, a wtedy on oskarży prawicową rywalkę o brak chęci do „oczyszczenia".

„Chcemy osuszyć to bagno" – grzmiał w tytule kolejnego wywiadu dla „Nowego Państwa". Ćwierć wieku przed Donaldem Trumpem! Ale czy poszedłby na tak radykalne zwarcie, gdyby po drodze nie wydarzył się kolejny przypadek?

W sukurs pospieszył braciom premier Buzek, który popełnił kolejny z serii katastrofalnych błędów, wyrzucając z rządu Lecha Kaczyńskiego. Była to oczywiście uzasadniona reakcja na połączenie lokalnych komitetów PiS w oficjalny już wyborczy pod tą samą nazwą, co miało miejsce w lipcu 2001 r. W istocie rybka połknęła zarzuconą przynętę, gdyż Kaczyńscy dostali pretekst do zmasowanego ataku. AWS z dnia na dzień przestała być solidarnościową siostrą, której trzeba było trochę pomóc w „samooczyszczeniu", stając się idealnym do napiętnowania „frontem obrony przestępców".

W jesiennych wyborach AWS nawet nie zdołała przekroczyć progu wyborczego. Na gruzowisku po obozie solidarnościowym umościły się dwie nowe partie: PO i PiS. Z wynikiem 9,5 proc. ugrupowanie Kaczyńskich wprowadziło 44 posłów. Ze zdobytego wówczas przyczółku w niedalekiej przyszłości wykluje się potężna formacja.

Podobno przypadki chodzą po ludziach, ale w historii politycznej Polski po 2001 r. ich stężenie powinno wręcz onieśmielać. I dotyczy to nie tylko PiS, ale też jej głównej w przyszłości rywalki, bo gdyby ludzie Tuska nie zostali pod koniec 2000 r. wycięci na zjeździe Unii Wolności, być może udałoby się utrzymać na dłużej jedność tamtej formacji. A wtedy Kaczyński zapewne już na dobre pozostałby w blokach, mając przed sobą trudniejsze do skruszenia mury solidarnościowego świata.

Można zresztą pociągnąć tę opowieść o wiele dalej. W końcu zapowiadana w kolejnej kadencji koalicja PO-PiS wcale nie musiała się rozpaść po podwójnych wyborach w 2005 r. Tusk popełnił wtedy straszny błąd, pozwalając swoim ludziom na zaatakowanie brudną intrygą Włodzimierza Cimoszewicza. Bo kiedy kandydat SLD został w efekcie przedwcześnie wyeliminowany z prezydenckiego wyścigu, na placu boju pozostali już tylko obaj z Lechem Kaczyńskim, co zmobilizowało tego ostatniego do wytoczenia armat przeciwko „Polsce liberalnej" Tuska i szukania poparcia populistów. Trwały podział został wykopany, chociaż PO i PiS więcej wtedy łączyło, a sporej części ich zwolenników nie robiło większej różnicy, który z kandydatów ostatecznie wygra.

Oczywiście po latach ten podział zrobił się zasadniczy. Nie wynikał jednak z pierwotnych tożsamości, które pojawiały się dopiero w roli uzasadniającej konflikt nadbudowy. I w dużo większym stopniu dotyczy to Kaczyńskiego, gdyż Tusk przy wszystkich swoich przebierankach trwał jednak przy ogólnej liberalnej i europejskiej tożsamości. Ewolucja PiS była dużo głębsza. Każde kolejne odbicie w stronę prawicowego populizmu na początku było bowiem taktyczne, bo trzeba było znaleźć jakieś dodatkowe głosy, utwardzić elektorat.

Najlepiej to widać na przykładzie stosunku Kaczyńskiego do UE. Jeszcze w 2002 r., przed decydującym referendum, zaczął podważać sens integracji, gdyż czuł na prawo od siebie oddech otwarcie eurosceptycznej Ligi Polskich Rodzin. Ostatecznie kazał jednak uciąć wątpliwości, gdyż zdecydowana większość Polaków była innego zdania. Obwieścił więc na kongresie PiS wiosną 2003 r.: „Decydujemy się na udział w eksperymencie, jakim jest członkostwo w Unii ze względu na bezpieczeństwo Polski i umocnienie jej pozycji międzynarodowej". Dodając, iż alternatywą byłoby „wpadnięcie w orbitę Rosji".

Dzisiaj to już jednak słowa nieaktualne, chociaż rosyjskie zagrożenie od tamtego czasu zmieniło się z hipotetycznego w realne. Tyle że Kaczyński nigdy nie obawiał się Rosji, tylko prawicowej konkurencji. A tak się niestety składa, że obie Konfederacje osłabiają teraz PiS w dużo większym stopniu niż dawniej LPR. I to się już pewnie nie zmieni, toteż nie należy się spodziewać, że Kaczyński kiedykolwiek jeszcze złagodnieje, choćby taktycznie.

Gdyby nie zbieg okoliczności sprzed ćwierć wieku, ówczesny centrowy polityk Jarosław Kaczyński musiałby szukać dla siebie miejsca w wojnie jakiegoś innego zapewne Tuska z innym Kaczyńskim.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 7cd57e2719

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

Na szkodę Ameryki

Ta wojna bardzo pomaga Rosji, Waszyngton praktycznie podłączył ją do finansowej kroplówki – mówi o interwencji w Iranie Michael McFaul, były ambasador USA w Moskwie i doradca Baracka Obamy.

MATEUSZ MAZZINI: **– Ile to jeszcze potrwa?**

MICHAEL MCFAUL: – Nie wiem. Wojna w Iranie skończy się po prostu wtedy, kiedy Donald Trump zdecyduje się ogłosić triumf Stanów Zjednoczonych. Przy czym militarna ocena tego „triumfu” ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ nie będzie miała większego sensu, bo Trump użyje innych ram pojęciowych. Będzie zapewne powtarzać, że Ameryka zrównała irański reżim z ziemią, unicestwiła jego przywódców, zniszczyła instalacje nuklearne – i że dzięki temu USA będzie teraz bezpieczniejsze, Izrael również – cały świat stanie się bezpieczniejszy.

Obecny bilans wojny nie wygląda tak optymistycznie.

To bez znaczenia. Konflikt kosztuje ogromne pieniądze, ale ciężko jest stwierdzić, czy takie wydatki są uzasadnione, czy nie, bo cele tej operacji według administracji Trumpa nieustannie się zmieniają. Jedyne, co pewne, to fakt, że Ameryka zmierza do rozbrojenia Iranu. Ale nie robimy nic, co zagwarantowałoby, że irański reżim nie zacznie się zbroić po wojnie na nowo. Dlatego uważam, że Stany Zjednoczone idą w kierunku permanentnej wojny, jakiegoś samonapędzającego się konfliktu, który co kilka lat trzeba będzie odgrzewać, bo przecież niebezpieczeństwo ze strony Iranu może wrócić.

A jak długo jeszcze USA będzie w stanie tę wojnę prowadzić?

Mówimy o wciąż najpotężniejszym kraju na świecie. Ale dziś nasza przewaga nad największymi autokracjami świata jest znacznie mniejsza niż nad Związkiem Radzieckim w czasie zimnej wojny. W praktyce oznacza to, że jako Ameryka nie możemy sobie stawiać tak ambitnych celów strategicznych, jak jeszcze na przełomie wieków. Nie mamy już takich zasobów. Zresztą w przypadku Iranu widać to jak na dłoni, co chwila pojawiają się doniesienia o potrzebie przenoszenia zestawów przeciwlotniczych z innych obszarów geograficznych albo o braku amunicji. A mowa przecież o wojnie z Iranem, a nie z Rosją czy z Chinami.

Ameryka już nie może być wszędzie?

Największe zagrożenie dla amerykańskiego bezpieczeństwa w średnim i długim horyzoncie czasowym stanowią jednak Rosja i Chiny właśnie, a nie inne kraje. Kiedy jeszcze służyłem w administracji prezydenta Baracka Obamy, pojawił się pomysł reorientacji naszej polityki na Azję – i bardzo ten pomysł wspierałem. Pierwsza administracja Trumpa, a potem ekipa Joe Bidena utrzymywały ten kurs. Teraz Trump rozpoczął wojnę, która jest całkowitym jego odwróceniem.

Tym bardziej że to wojna z wyboru. A przecież Trump szedł po władzę z obietnicą zakończenia takich konfliktów. Skąd ta zmiana?

Pyta mnie pan o psychologię decyzji Trumpa, a na ten temat nie mogę się wypowiadać jako ekspert. Ale zgadzam się z tezą, że to wojna z wyboru, a nie z konieczności. Iran nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla USA, irańskie rakiety nie doleciałyby do naszego kraju. Owszem, stanowiły zagrożenie dla Izraela, ale to jednak inna kalkulacja strategiczna. Administracja Trumpa nie zrobiła też nic, żeby przekonać Amerykanów, że do tego konfliktu musimy dołączyć. Jest tylko wersja mówiąca o tym, że Iran chciał zaatakować Izrael, a po odwecie ze strony Tel Awiwu i tak zostalibyśmy wciągnięci w tę wojnę, więc lepiej było zaatakować od razu. Ale to mało przekonujące.

Jakie konsekwencje dla USA będzie miała wojna z Iranem w światowej perspektywie?

Nie mam jednoznacznej odpowiedzi. Kiedy analizuje się debatę krajową wokół tej wojny, widać od razu, że wszyscy w USA koncentrują się na konsekwencjach krótkoterminowych, wręcz natychmiastowych. Jeśli jesteś przeciwko wojnie, skupiasz się na rosnących kosztach życia i cenach paliwa. Jeśli ją popierasz, mówisz, że Iran został rozbrojony. Ale w dłuższej perspektywie Stany Zjednoczone więcej tracą na tej wojnie, niż zyskują.

A konkretnie?

W tej chwili nasza interwencja bardzo pomaga Rosji. Moskwa zarabia miliardy dolarów na wyższych cenach ropy, Waszyngton praktycznie podłączył ją do finansowej kroplówki. Gdyby ktoś mnie zapytał na początku tego roku, jakie są perspektywy ekonomiczne dla Władimira Putina, powiedziałbym, że raczej słabe, bo jego gospodarka ledwo zipie, kończy się wzrost napędzany inwestycjami wojennymi. Teraz jednak jego sytuacja uległa znacznej poprawie – a to jest niekorzystne dla Ameryki, tak samo jak dla Polski i całej Europy czy w ogóle dla wolnego świata.

Można porównać obecną wojnę z interwencją w Iraku w 2003 r.?

To porównanie nie ma większego sensu. Wtedy decyzja o pójściu na wojnę była głosowana w Kongresie, wyraźna większość w obu izbach ją poparła. Zdecydowana większość obywateli USA była tego samego zdania. Administracja George'a W. Busha próbowała też przekonać ONZ, żeby Rada Bezpieczeństwa autoryzowała wojnę z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Uważam, że tamta interwencja była błędem, nie powinniśmy byli wchodzić do Iraku – także dlatego, że Irak zużył nasze zasoby i uwagę, którą trzeba było skierować na znacznie ważniejsze źródła zagrożenia, głównie na Chiny i Rosję.

Trump zachowuje się dziś zupełnie inaczej niż Bush wtedy. Z punktu widzenia krajowej polityki ta wojna nie ma żadnej legitymacji w społeczeństwie i w moim odczuciu osłabia nas jako państwo. W dodatku zwiększa polaryzację, a im bardziej jesteśmy skłóceni, tym słabiej jesteśmy w stanie radzić sobie z najpoważniejszymi zagrożeniami, jakimi są Moskwa i Pekin. W takim stanie konfliktu społecznego Ameryka nie jest zdolna do tworzenia efektywnych strategii obronnych.

Jak ta wojna wpływa na sojusze Ameryki?

Rozpoczynając ją, nie zasięgnęliśmy opinii żadnego z naszych sojuszników. Trump najpierw uderzył w Iran, a potem próbował wciągnąć partnerów w jego własne działania zbrojne, co z kolei tworzy olbrzymie napięcia w relacjach z państwami NATO oraz z naszymi sojusznikami w Azji. I to w momencie, w którym powinniśmy być zjednoczeni.

Wszystko to dramatycznie pogarsza odbiór USA na świecie. Niestety Amerykanie mało wiedzą o innych krajach i niespecjalnie poświęcają miejsce na zrozumienie, co się w nich dzieje. A to teraz duży problem, bo dla narodów Afryki czy Ameryki Łacińskiej to, co robimy w Iranie, stawia nas praktycznie w jednym szeregu z Rosją. Przecież Stany Zjednoczone nie zostały zaatakowane przez Iran, a my bombardujemy Teheran prewencyjnie. W tym momencie tracimy jakąkolwiek przewagę moralną nad Rosją.

Ale Ameryka to nie Rosja.

Zgadza się. Putin jest oczywiście imperialistycznym dyktatorem, który zaatakował Ukrainę, czyli inne demokratyczne państwo. USA to mimo wszystko wciąż demokracja, a nie brutalna dyktatura jak Rosja. To są olbrzymie różnice, nie można o nich zapomnieć, ale dla wielu milionów ludzi z tzw. Trzeciego Świata coraz częściej sprowadzają się one do niuansów.

eprasa.pl 7cd57e2719

Michael McFaul (ur. 1963 r.) – amerykański dyplomata, ekspert ds. stosunków międzynarodowych, bliski doradca prezydenta Baracka Obamy, były ambasador USA w Moskwie w latach 2012–14. Wykładowca Uniwersytetu Stanforda, związany również z Instytutem Hoovera. Wieloletni felietonista „The Washington Post". Jego najnowsza książka „Autocrats vs. Democrats: China, Russia, America, and the New Global Disorder" (Autokraci kontra demokraci: Chiny, Rosja, Ameryka i nowy globalny nieporządek) ukazała się w zeszłym roku.

Dla nich Stany Zjednoczone są po prostu kolejnym mocarstwem, które używa siły zbrojnej, gdzie i kiedy chce. Bardzo mnie to niepokoi, bo w dłuższej perspektywie pozycja Ameryki staje się w ten sposób słabsza, zwłaszcza względem Chin – bo Chiny, przynajmniej dotychczas, nie używają siły w sposób arbitralny. Obecnie pod kątem przestrzegania zasad międzynarodowego porządku wyglądem bliżej nam do Rosji niż do Chin.

Po co w ogóle Ameryce sojusznicy?

Osobiście uważam, że sojusze są ważne, wierzę w ich siłę. Moim zdaniem Winston Churchill miał rację, mówiąc, że jedyną rzeczą gorszą od pójścia na wojnę jest pójście na nią bez sojuszników. Teoretycznie walczymy teraz ramię w ramię z Izraelem, ale to przecież nie jest koalicja sojusznicza. To olbrzymi błąd, że Trumpa nie interesują sojusznicy, ludzi z jego administracji też nie. To są potężni, dogmatyczni unilateraliści. Trump przecież sam kilka miesięcy temu powiedział, że jego władza na świecie jest właściwie nieograniczona, przynajmniej w jego własnym mniemaniu. Być może właśnie teraz przekonuje się, że to nie do końca prawda. Jego dzisiejsze nawoływania pod adresem sojuszników, żeby wsparli go w odblokowywaniu cieśniny Ormuz, są dla mnie szokujące.

Dlaczego?

Trump cały czas opowiada Amerykanom, że odbudował potęgę amerykańskiej armii. Nieustannie słyszymy od niego, że mamy najpotężniejszą marynarkę wojenną w historii. Ale duża część tej marynarki jest w tej chwili zakotwiczona w okolicach Bahrajnu, a mimo to jakimś cudem nie jesteśmy w stanie odblokować ruchu w cieśninie bez statków NATO? Trump popada tu w ogromną sprzeczność. Powinniśmy byli jednak skonsultować się z sojusznikami przed atakiem na Iran, a nie zaciągać ich potem do wojny, której rozpoczęcia nie chcieli.

Jak Iran przekłada się na amerykańską politykę wewnętrzną? Sprawami zagranicznymi wyborów się nie wygrywa, nawet w USA, ale ta wojna jest niepopularna i pogłębia podziały w społeczeństwie.

Za wcześnie, żeby o tym przesądzać. Wszystko zależy od tego, ile ta wojna jeszcze potrwa, jak się zakończy i czy Trumpowi uda się wokół jej rezultatu zbudować narrację o zwycięstwie. Pamiętajmy, że on jest naprawdę doskonałym politykiem, co wciąż bywa niedoceniane. Wielu ludzi np. z Partii Demokratycznej ciągle uważa go za przeciętniaka, oddając mu w ten sposób pole. Nie jest wykluczone, że prezydent będzie jednak w stanie przekonać Amerykanów, iż cokolwiek stanie się w Iranie, ta wojna okaże się gigantycznym zwycięstwem dla nich i ich kraju.

Gorzej to wygląda dla Partii Republikańskiej. W tej chwili najważniejszym tematem w amerykańskiej polityce są koszty utrzymania, a na temat cen benzyny nie da się kłamać – wszyscy widzą, jakie są, bo każdy tankuje. Trump będzie tworzył przeróżne narracje, ale ich efekt okaże się ograniczony, jeśli kryzys paliwowy potrwa jeszcze dłużej.

Jak to się przełoży na wynik listopadowych wyborów częściowych do Kongresu?

Wiadomo, że twarde jądro elektoratu MAGA jest przeciwko wojnom jako takim, widać już republikańskich polityków, który próbują odcinać się od prezydenta. Z drugiej strony, jeśli spojrzeć na badania opinii, to ci, którzy wciąż identyfikują się jako członkowie bądź zwolennicy MAGA, popierają prezydenta i jego wojnę jednogłośnie.

Teoretycznie więc niewiele się zmieniło, choć to błędna interpretacja. Wiadomo, że wewnątrz MAGA Trump zachowuje poparcie, bo jeśli ktoś jest na niego wściekły, opowiada się przeciwko tej wojnie, to już nie powie ankieterom, że jest wyborcą spod znaku MAGA. Dlatego te badania są trochę samospełniającą się przepowiednią, ale ostatecznie więcej zaciemniają, niż odkrywają.

Gdzie po tej wojnie będzie Ameryka na arenie międzynarodowej?

To nie jest pierwszy kryzys w najnowszej historii USA, nawet nie pierwszy raz, kiedy kłócimy się z sojusznikami. Kryzys Sueski był poważnym problemem, a też dotyczył transportu morskiego i swobody żeglugi. Potem, w latach 80. XX w., mieliśmy awanturę o rozmieszczenie w Europie amerykańskich rakiet. Dalej był Irak i wiele innych momentów, kiedy system międzynarodowy był narażony na ataki, na niestabilność. On nigdy nie był idealny i nie ma sensu podchodzić do niego w sposób romantyczny.

Wciąż jednak uważam, że jakikolwiek system globalny czy podejście instytucjonalne do stosunków międzynarodowych są lepsze niż całkowita anarchia, w której liczy się tylko naga siła. Martwi mnie, że prezydent Trump nie zgadza się z tym twierdzeniem. A to działa na szkodę Stanów Zjednoczonych, trudno będzie to naprawić.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI

© ALEX WONG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7cd57e2719

Wyjście z piekła

Jak przystało na zmartwychwstanie, najpierw musi być śmierć. Darek planował się powiesić, ale uznał, że w święta nie wypada. W nowym, trzeźwym życiu zastał to, co zostawił w poprzednim – zgliszcza.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Dariusz, lat 61, ponownie narodził się 18 lat temu. Narodzinom tym towarzyszyły dramatyczne okoliczności, bo wcześniej właściwie już był trupem, tak był przepity. Ale trzeba było postawić kropkę nad i. Kropką miało być samobójstwo. Tyle że Darek uświadomił sobie, że stawianie kropki zbiegło się ze świętami. A tego to już nawet on nie chciał zafundować swojej rodzinie. Zresztą o tym, że to święta, zorientował się, gdy żona wyciągnęła nalewkę, której używała do pieczenia świątecznych ciast. Najpierw więc tę nalewkę po kryjomu wypił. Następnie już na alkoholowym luzie oświadczył, że chyba jednak pójdzie się zabić. Co w jego przypadku było właściwie formalnością, bo od tego picia był już na ostatniej prostej.

Tyle że kto nigdy nie zapijał się na śmierć, ten nie wie, jaka to ciężka robota. Prawda jest taka, że należy wykańczać jeden organ po drugim. Sama wątroba nie wystarczy. Jak masz pecha i mocne serce, to możesz się męczyć miesiącami, choć w środku będziesz jak wydrążone drzewo. Puste, bo ciało nie jest już w stanie przyjąć niczego poza alkoholem. Alkoholu zresztą też nie, jednak przyjmuje, bo wtedy w żołądku zamiast piekła masz to miłe coś, co alkoholicy nazywają błogością. Trzy, czasem cztery minuty takiej przyjemności, że nawet seks nie dałby większej. A później jest jeszcze gorzej, niż było. Ale kto by się przejmował tym później. U pijaków czas przyszły nie istnieje, dlatego tak łatwo obiecują, że od jutra się zmienią, od soboty nie piją, za tydzień pójdą z dzieckiem na mecz. Darek składał te obietnice innym milion razy. Ale teraz musiał obiecać coś sobie, bo ból w żołądku był taki, jakby połknął grudę środka do przetykania rur. To przez kwasy, które przepalały mu żołądek, a nie chroniła go już żadna warstwa ochronna. Oczy zapijających się na śmierć są bardzo dziwne, błyszczące. To nie jest dobra śmierć.

Piciorys

43-letni Darek – wrak człowieka – trafił w ostatniej chwili do Ośrodka Leczenia Uzależnień w Parzymiechach, bo z Częstochowy tam miał najbliżej. Z leczenia pamięta np. pisanie piciorysu, bo zwykli ludzie mają życiorysy, a pijacy tylko piciorysy. I niby każdy pojawił się w tym miejscu z tego samego powodu, ale po samych piciorysach widać, że nie tą samą drogą. Koledzy Darka przeliczali swoje życie na wypite litry. Jednostką miary najczęściej był basen. Nie dość, że to przykład obrazowy, to jeszcze pozwalał oddać skalę. Rekordziści liczyli w basenach olimpijskich.

© JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl 7cd57e2719

Inni przeliczali związki na butelki. Średnia na rozwód bywała różna. Ale malała. Jeden kolega policzył, że do pierwszego rozwodu doszedł po jakichś 6 tys. butelek wódki. W sumie szybko. Ale później związki rwały się jeszcze szybciej. Poza jednym, w którym pił razem ze swoją kobietą.

Darek swoje 30 lat chlania przeliczał na domy. Tyle że dom domowi nierówny. No i nie mógł sam ze sobą dojść do zgody, czy tych przepitych domów byłoby pięć, czy może sześć. Jego dziadek np. przepił nie tylko dwie kamienice w centrum Częstochowy, ale też firmę produkującą święte medaliki, którą na te kamienice zarobił. Po człowieku, który zatrudniał ponad 70 osób, rodzinie zostało tylko zdjęcie i trudne wspomnienia. No i może kłopoty Darka, bo to ponoć dziedziczne.

Na mitingach organizowanych w Parzymiechach usłyszał również zdanie, które zostało z nim do dziś, że alkoholik to taki człowiek, który nawet leżąc na trotuarze, potrafi patrzeć na wszystkich z góry. I było to zdanie bardzo o nim. A jednocześnie, kiedy pytano go, dlaczego pije, to nigdy nie umiał do końca odpowiedzieć. Intuicja podpowiadała mu, że to z powodu niskiej samooceny. A może z tej energii, która zawsze rozsadzała go od wewnątrz. Matce też oddaje część swoich win. Ojciec był człowiekiem wielkiego spokoju, a i on pod jej butem raz na pół roku wpadał w tygodniowy cug picia. Jak otrzeźwiał, to znowu słuchał się żony. Darek nikogo nie potrafił się słuchać. A może pił, bo był słaby, a wódka dawała mu poczucie siły. Ostatecznie mogło być i tak, że pił, bo lubił. Kto to wie.

Później pił, bo musiał. Nawet jak próbował nie pić, to rodzina sama nie wiedziała, czy się cieszyć, czy jednak smucić, bo był wtedy wredny i napięty. Co zresztą kończyło się tym, że żona sama do niego mówiła: – Idź się napić, bo już nie da się z tobą wytrzymać. Kiedy pił, to przynajmniej nikogo nie obrażał ani nie przerażał, bo i to potrafił. Na terapii, która w jego przypadku szła wyjątkowo dobrze, próbowano go zaopatrzyć w wiedzę, która miała być jego tarczą pozwalającą mu się bronić przed swoim największym wrogiem – nim samym w połączeniu z alkoholem. Delikatnie sugerowano, żeby po trzeźwości nie oczekiwał cudów.

Wiosna

Tyle że dla niego wszystko zaczęło być cudowne i zachwycające. Pamięta, że najbardziej szokujące było, gdy nagle dostrzegł, że wiosną zieleni się trawa. Jak pijesz 30 lat, to umykają ci nie tylko takie rzeczy. Ale ta wydała mu się wyjątkowo poruszająca. Odkrycie pór roku również go zachwyciło. Szczególnie spodobała mu się wiosna. Może dlatego, że poczuł, że i w jego życiu nastała po bardzo długiej zimie.

Krótko po powrocie z odwyku Darka zostawiła żona. Statystyki mówią, że wiele żon odchodzi od mężów, którzy przestają pić. Odpowiedź na pytanie dlaczego, to trochę tajemnica, a trochę zwykła psychologia. Żony chorowały razem ze swoimi pijącymi mężami. I jak już same trochę trzeźwieją, to nie mogą zrozumieć właściwie, po co to wszystko było. I wtedy często odchodzą. To jedna z pierwszych dosyć typowych historii. Mało zachęcająca do trzeźwości. Pewnie dlatego tak wielu ludzi nigdy się na tę trzeźwość nie decyduje.

Darka to nie złamało. Za dobrze pamiętał, czym było dla niego picie. Zaczął, kiedy miał 13 lat. I w zasadzie do odwyku nigdy nie przestał. Po prostu czasem kontrolował to bardziej, czasem mniej. Teraz opowie o mniej: – *Miałem warsztat ramiarski i bywałem tak napruty, że klienci wchodzili, a ja spałem oparty o stół krajalniczy. Jak tylko lekko trzeźwiałem, to znowu się upijałem. Nie zamykałem drzwi, nie kontrolowałem, kto wchodzi, kto wychodzi. Niczego nie kontrolowałem. Piłem* – opowiada. W tej opowieści można pewnie znaleźć elementy humorystyczne. To w sumie zabawne, jak przychodzisz po swój obraz, a zastajesz taki niecodzienny obrazek.

Tyle że zabawność szybko się kończy. Nawet Darek boi się mówić o tych momentach, kiedy nie kontrolował już zupełnie niczego. Kiedy dochodzi do takich opowieści, zawiesza się na chwilę. Jakby miał wskoczyć do bardzo głębokiego basenu i nie miał pewności, czy jest tam woda. – *Zniszczyłem życie moim dzieciom. Nie dzieciństwo, ale życie, bo to moje picie je naznaczyło. Mam 41-letniego syna i do dziś widzę w nim ślady mojego picia. Żałuję, że nigdy go porządnie nie przytuliłem. Nigdy nie powiedziałem mu, że go kocham. I nic z tym nie mogę zrobić, bo tych krzywd nie da się ani cofnąć, ani odkupić* – mówi Darek.

Krzyż

W jego zmartwychwstaniu jest zupełnie inaczej niż w tym z Chrystusem. Jezus zstąpił do piekieł. A Darek z piekieł wychodził. Jezus był tam trzy dni, a Darek 30 lat. Jezus niósł swój krzyż przed śmiercią, a Darek niesie po zmartwychwstaniu. Wszystko totalnie pomieszane. Groch z kapustą. Trzeźwość z pijanymi wspomnieniami.

Na dodatek z tych 30 lat nie wszystkie były przecież złe. Była zabawa, była radość, balangi, było poczucie, że jesteś królem życia. – *Jak mi zabrali prawo jazdy, to sobie kupiłem nowe. Zabrali mi to kupione, kupiłem kolejne, bo samochód był mi potrzebny, żeby zarabiać na życie i rodzinę. To właściwie cud, że ja nikogo nie zabiłem* – wspomina. Jak już poczuł, że musi się bardziej pilnować, to do dziś pamięta napięcie, które w nim rosło, kiedy wiedział, że już, już za chwileczkę będzie mógł się napić. – *Przyjeżdżam do Częstochowy, ale oczywiście po drodze sklep spożywczy i małpeczka. Przejeżdżałem przez bramę, nawet nie zdążyłem jej zamknąć i już piłem w aucie. Tak bardzo nie mogłem się tego doczekać* – opowiada ze szczegółami. Te szczegóły są ważne, bo to nie jest żadna barwna historia, tylko opowieść o nałogu, który już nawet nie kusi, ale żąda i wymaga. – *Nie potrafiłem sobie wytłumaczyć: dojedź, chłopie, do garażu, zaparkuj auto, przyjdź do domu, zjedz coś, napij się ten kieliszek, jak już tak potrzebujesz. Nie, ja już nie wytrzymywałem. Brałem ćwiarę i jednym gulem wypijałem ją w aucie* – opowiada. W pracy myślał tylko o piciu. – *Mówi się, że picie to piekło. Kto tam był, ten wie, że w tym nie ma żadnej przesady* – dodaje.

Happy end

Historia Darka w sumie jest powtarzalna jak odbita przez kalkę. Jeśli coś w niej dziwi, to upór, z jakim pozostał w trzeźwości. Kiedy w czasie pandemii kupił dwie butelki spirytusu do odkażania rąk, to dawni koledzy się ucieszyli, że jednak wraca do ekipy. Butelki stoją w szafce do dziś. Do dziś chodzi również na mitingi AA. Wyciąga z picia innych. – *Mówię im, jak będzie, bo picie to jest jeden scenariusz rozpisany na wielu ludzi. A ja już ten scenariusz mam za sobą* – dodaje. W trzeźwości nie złamał go ani rak, po którym schudł do 46 kilo, ani rozwalony kolejny związek, bo w związku to mu do dziś nie wychodzi. W zasadzie, jak pił, to było mu łatwiej. Szedł przez życie obojętny, skupiony na swoim piciu. Nie bardzo zainteresowany czymkolwiek innym. – *To będzie banalne, ale w życiu trzeba czuć, musi boleć* – mówi. I upiera się, że jego historia jest z happy endem. Po prostu nie wszystkie happy endy wyglądają tak samo. ■

eprasa.pl 7cd57e2719

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

Odebrane i oddane

Paweł przestał się ciąć i mówić o samobójstwie. Piotrek przestał się bać o Pawła. Ewa i Wiktor, ich rodzice zastępczy, przestali się bać, że sąd odbierze im biologicznego syna Iwa. Ale doświadczenie dwóch lat walki o dzieci zostanie z nimi już na zawsze.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Bliźniaki miały cztery i pół roku, kiedy trafiły do rodziny zastępczej, jaką postanowili stworzyć dla nich Ewa i Wiktor. Kiedy miały blisko 12 lat, sędzia w Środzie Śląskiej w trybie natychmiastowym wydała decyzję o odebraniu chłopców i przekazaniu ich do rodzinnego domu dziecka. Piotrek i Paweł wrócili do taty i mamy, bo tak nazywają swoich rodziców zastępczych, po blisko dwóch latach. Decyzją Sądu Okręgowego we Wrocławiu, który uznał, że sędzia Anna Tęcza-Paciorek, odbierając ich spod pieczy Ewy i Wiktora, nie kierowała się dobrem dzieci. A to powinno być nadrzędne.

Bliźniaki do wzięcia

Ewa: – *Tego się nie da opowiedzieć. Naprawdę. Kiedy przyjechała policja z kuratorem sądowym zabrać nam chłopców, runął mi cały świat i poczucie bezpieczeństwa. Chłopcom też, bo nie rozumieli, dlaczego są zabierani z domu, w którym dorastali przez osiem lat.*

To była świadoma decyzja Ewy i Wiktora – chcą założyć rodzinę zastępczą dla dzieci, które wymagają troski, opieki i wsparcia. Było dla nich oczywiste, że za decyzją pójdą testy psychologiczne, szkolenia, cała procedura, która ma ocenić, czy się do takiej roli nadają. Zaangażowali się nawet w działania fundacji Przystanek Rodzina.

Wiktor: – *Ludzi zaangażowanych w promowanie pieczy zastępczej nie ma dużo. To środowisko się zna. I któregoś dnia poprzez fundację dostaliśmy telefon z Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Ząbkowicach Śląskich z krótkim hasłem: „Są dzieci do wzięcia”.*

Bliźniaki były najmłodsze z rodzeństwa. I nikt nie ukrywał, że właściwie tylko one mają szansę na uratowanie i normalne życie. Choć budowa tego życia będzie od ich nowych rodziców wymagała ogromnego zaangażowania, bo u chłopców podejrzewano FAS, czyli alkoholowy zespół płodowy. Matka, odsiadująca w więzieniu wyrok m.in. za stręczycielstwo własnych dzieci, piła w ciąży.

Ewa (z wykształcenia nauczycielka wychowania przedszkolnego) i Wiktor zostali więc rodzicami bliźniaków. Rytm życia wyznaczały kolejne wizyty u psychologów i psychiatrów – potrzebowali diagnozy, żeby móc działać. Rehabilitacja przeplatała się z wycieczkami, wypadami na lody, wyjazdami na wakacje. Zdjęć z tych wycieczek, wypadów i wakacji jest mnóstwo, ale w krytycznym momencie nie były żadnym dowodem dla sądu.

Ewa i Wiktor jako rodzina zastępcza trafili pod opiekę PCPR w Środzie Śląskiej. Po kilku latach życia z bliźniakami zdecydowali się na swoje dziecko – Iwo dla Piotra i Pawła jest bratem. – *I tak się rozkręciliśmy w tej pieczy, że zdecydowaliśmy się wziąć kolejne dzieci. No i ukręciliśmy na siebie bat* – przyznaje Wiktor, bo z kolejną trójką już sobie nie poradzili. Może dlatego, że nie dostali wsparcia, kiedy okazało się, że Borys rysuje w zeszycie szubienice, planuje zabicie rodziców, czyli Ewy i Wiktora, i zgwałcenie nauczycielki? A młodszy od niego Kacper kopiuje wszystko, co zrobi brat. – *Było tak źle, że zaczęliśmy się bać o siebie, o bliźniaki i o Iwa* – przyznaje Ewa.

eprasa.pl 7cd57e2719

Ewa i Wiktor wnieśli do sądu sprawę o rozwiązanie pieczy zastępczej z Borysem i jego młodszym bratem. Ich siostra chciała z nimi zostać. Ten pozew otworzył puszkę Pandory, bo sędzia zdecydowała nie tylko o powrocie Borysa i jego brata do placówki opiekuńczej, ale też o odebraniu rodzicom zastępczym bliźniaków – bez wysłuchania chłopców, bez badań psychologicznych i na posiedzeniu niejawnym. I zostawiła z Ewą i Wiktorem siostrę Borysa, bo dziewczyna była już pełnoletnia i odejść nie chciała.

Oni są z domu dziecka

Mecenas Emilia Mądrecka: – *Przyszli do mnie już po odebraniu im Piotra i Pawła. Załamani. Bo ze sprawy o rozwiązanie pieczy zrobiła się sprawa o odebranie im chłopców, którzy tworzyli z nimi rodzinę przez osiem lat. A sędzia nie wykluczała odebrania im też ich biologicznego syna.*

W sprawie, która toczyła się przed Sądem Rejonowym w Środzie Śląskiej, nie miało znaczenia, że razem z Ewą i Wiktorem na rozprawy stawiali się ich przyjaciele, rodzina i sąsiedzi, gotowi zeznawać na ich korzyść. Nie miały znaczenia opinie ze szkoły, w której chłopcy dostawali wsparcie. Liczyły się za to opinie z podstawówki, w której nauczycielka potrafiła pierwszego dnia nauki postawić bliźniaki przed tablicą i powiedzieć pozostałym uczniom: „Zobaczcie, tak wyglądają dzieci z domu dziecka".

Wiktor przyznaje, że zna swoje prawa. I kiedy wiedział z PCPR w Ząbkowicach Śląskich, że pieniądze na wakacje dla bliźniaków trafiły do PCPR w Środzie Śląskiej, to się o te pieniądze upominał. A kiedy dostawał odmowę, szedł do Samorządowego Kolegium Odwoławczego, które przyznawało mu rację.

– *Nie wiemy, czy gdyby Ewa i Wiktor nie dopominali się o to, co im się należało, tej sprawy w ogóle by nie było. Faktem jednak jest, że w sądzie słyszeli, że kolekcjonują dyplomy ze szkoleń. A sędzia, odwołując się do dobra dzieci, ignorowała listy od tych dzieci, prośby wysyłane do sądu, w których chłopcy błagali o powrót do rodziców. Zastępczych. I jedynych, jakich mieli i którzy dali im miłość i troskę* – mówi Emilia Mądrecka. I dodaje, że dopiero na etapie tej sprawy podjęto działania związane z pozbawieniem biologicznej matki bliźniaków praw rodzicielskich, choć przepisy zobowiązują do tego odpowiednie instytucje w ściśle określonym czasie.

Wyrok i apelacja

W jawnej sprawie w pierwszej instancji sędzia uznała, że u dzieci z FAS i rozpoznanym ADHD kary w postaci napisania 100 razy w zeszycie „nie będę wyzywał i popychał brata" czy zrobienie 100 przysiadów po godzinie biegania wokół domu i przepychania się, który z bliźniaków jest sprytniejszy, to znęcanie się nad dziećmi. Biegłe powołane przez sąd uznały, że chłopcy wymagają odizolowania od rodziców zastępczych. Nie pomogło nawet to, że małżeństwo prowadzące rodzinny dom dziecka, do którego trafili Piotr i Paweł, stanęło murem za Ewą i Wiktorem.

– *To była prawdziwa wojna nerwów. Sędzia odmówiła rodzicom pani Ewy i pana Wiktora zgody na zabranie chłopców na święta, bo to przecież obcy ludzie, bez więzi biologicznej, a więc rodziną nie są... Oddalane były wnioski o powołanie biegłego psychiatry, choć stan zdrowia chłopców, czekających od rozprawy do rozprawy na powrót do domu, drastycznie się pogarszał* – opowiada adwokatka, dodając, że w walce o chłopców rodzice zastępczy dotarli do rzecznika praw dziecka. Jego przedstawiciel uczestniczył w sprawie w Sądzie Rejonowym w Środzie Śląskiej jako strona. A po wyroku rozwiązującym pieczę zastępczą, a więc odbierającym chłopców Ewie i Wiktorowi, rzecznik złożył od niego apelację. Tak jak rodzice zastępczy. I małżeństwo prowadzące rodzinny dom dziecka, gdzie chłopcy spędzili prawie dwa lata.

Sąd Okręgowy sprawę – dla dobra dzieci – utajnił. W sierpniu 2025 r., rok po wyroku średzkiego sądu i półtora roku po odebraniu chłopców, uznał, że sędzia Anna Tęcza-Paciorek, dysponując szerokim materiałem dowodowym i dokonując prawidłowych ustaleń co do faktów, jednocześnie ów materiał oceniła błędnie – pomijając dobro dzieci, zaangażowanie rodziców zastępczych i wytworzoną między nimi więź. Ceną za ten błąd było załamanie nerwowe i depresja Ewy, autoagresja Pawła, który trafił na leczenie na dziecięcy oddział psychiatryczny, zagubienie Piotra i strach Iwa. Ten wyrok zapadł, kiedy bliźniaki były z powrotem u Ewy i Wiktora.

5 lutego Ewa i Wiktor wysłali pismo do zastępcy rzecznika dyscyplinarnego w Sądzie Okręgowym we Wrocławiu sędziego Pawła Pomianowskiego. Chcieli, by wobec sędzi, która odebrała im chłopców, rzecznik rozpoczął postępowanie wyjaśniające, w którym zapoznałby się nie tylko z aktami sprawy, ale też z nagraniami rozpraw, jakie odbywały się w Środzie Śląskiej. W swojej skardze napisali m.in., że „chłopcy przez ponad 1,5 roku doświadczali poczucia niesprawiedliwości różnych instytucji państwowych, które odebrały im rodziców", cytując uzasadnienie wyroku, jaki zapadł po apelacji. Podkreślili, że rozumieją konstytucyjnie zagwarantowaną niezawisłość sądów i sędziów, ale sędzia, która ich osądziła jako rodziców, odebrała im poczucie godności, uznając za sadystów – wbrew obiektywnym dowodom. I wielokrotnie w korespondencji do Prokuratury Rejonowej w Środzie Śląskiej sugerowała potrzebę prowadzenia śledztwa przeciwko nim, choć prokuratorzy nie widzieli żadnych podstaw do ścigania ich za cokolwiek.

Rzecznik odpisał im po miesiącu, że nie widzi podstaw do podejmowania czynności dyscyplinarnych wobec sędzi: „Wskazywane w skardze zarzuty nie pozwalały na uznanie, iż po stronie sędzi doszło do rażącego i oczywistego naruszenia przepisów prawa, czy też uchybienia godności urzędu sędziego". W piśmie do Ewy i Wiktora sędzia Pomianowski napisał także, że analiza materiałów z postępowania w średzkim sądzie, w tym także przebiegu rozpraw, nie daje żadnych podstaw do stwierdzenia, że sędzia naruszyła godność uczestników postępowania czy ich obraziła, a zarzuty podniesione przez rodziców zastępczych nie są poparte „żadnymi obiektywnymi, skonkretyzowanymi okolicznościami". Sędzia Anna Tęcza-Paciorek pracuje obecnie w Sądzie Okręgowym we Wrocławiu – w ramach delegacji.

Ewa: – *Dla mnie najważniejsze jest, że chłopcy są z nami. Że po tym koszmarze powoli wracają do siebie. Przed nimi egzaminy ósmoklasisty. I to jest dla nas najważniejsze.* Wiktor: – *Nikt nawet nie tyle nam, ile chłopcom, nie zwróci straconego czasu. Nikt nikogo nie rozliczy z tego, co przeszli, choć nie musieli. Nie wiadomo zresztą w imię czego. Bo jeśli nikt nie chciał słuchać nas, to wystarczyło posłuchać ich, skoro to ich dobro było najważniejsze...*

Chłopcy w szkole podstawowej, do której wrócili we wrześniu 2024 r., radzą sobie dobrze. Są aktywni, uczestniczą w szkolnych konkursach. Paweł nie musi już brać leków. I przestał się okaleczać. ■

eprasa.pl 7cd57e2719

Cały na biało

Mleczarstwo może nie jest sexy, a wysoki, ugrzeczniony Andrzej Jarmasz nie wygląda na fightera. Opowieść o jego karierze to jednak istny rollercoaster.

ZBIGNIEW BOREK

Strzelecka Spółdzielnia Producentów Mleka, którą stworzył od podstaw w powiatowym mieście, wymieniana jest jednym tchem z gigantami branży. Zanim do tego doszło, doświadczył upadku, depresji, pomówień, zawiści. I nie wiadomo, czy więcej to mówi o nim, czy o Polsce.

– *Praca jest dla mnie powodem do satysfakcji. Nigdy karą. Nawet w najtrudniejszych chwilach* – mówi. Zaczynał w latach 90. w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej (jako technolog mleczarstwa) w 11-tysięcznych Strzelcach Krajeńskich, jednej z setek obsługujących lokalne rynki. Wolny rynek postawił ją na skraju przepaści, ale Jarmasz stopniowo awansował, a jako szef przez dziewięć lat dźwigał spółdzielnię z upadku. Podwoił zatrudnienie, dziesięciokrotnie zwiększył sprzedaż. Strzeleckie mleko, śmietana, kefir czy maślanka podbijały północno-zachodnią Polskę.

Wejście do UE zmieniło jednak reguły gry. Polskich hodowców zaczęły podkupywać przedsiębiorstwa niemieckie, a krajowe próbowały nadążać. Był wśród nich Rolmlecz z Radomia. Przejmował spółdzielnię za spółdzielnią, aż w końcu połknął mleczarnię w Gorzowie Wielkopolskim, zaledwie 27 km od Strzelec. Po czym postawił pod ścianą Jarmasza, który wspomina: – *Hasło „duży może więcej" było nośne nawet w polityce, wielkie sieci handlowe domagały się większych dostaw, nasi dostawcy naciskali na połączenie.*

Rolmlecz rysował świetlane perspektywy: w grupie ze spółdzielniami z Gorzowa i Strzelec miał skupić dostawców, a specjalizacjami w produkcji się podzielić. Jarmaszowi wydawało się, że chwycił Pana Boga za nogi i skorzystają na tym pracownicy, kontrahenci, miasto i on sam. – *Tak był tym nakręcony, że aż mu oczy błyszczały* – pamiętają dawni współpracownicy. Później zaczęły się schody.

To, co budował przez ostatnie lata, nikło w oczach, bo zamiast strzelecką spółdzielnię rozwijać, Rolmlecz ją zwijał. Jarmasz awansował wprawdzie na szefa połączonych spółdzielni w Gorzowie i Strzelcach, ale w praktyce nie miał już nic do gadania. Zarząd firmy podnosił ceny lokalnych produktów (skutek: 70 proc. spadku sprzedaży) i ciął kadry. Strzelce były wtedy w czołówce

© ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 7cd57e2719

krajowego bezrobocia, pracy nie miał co trzeci mieszkaniec, ludzie patrzyli więc na Jarmasza wilkiem, a w nim rosła frustracja: – *Nie spałem po nocach, serce mnie bolało, ale wciąż sądziłem, że prowadzimy restrukturyzację, żeby pozostali pracownicy mieli pracę, a rolnicy – odbiorców mleka. Człowiek nie jest w stanie prześwietlić od początku do końca tych, z którymi będzie współpracował. Okazało się, że oni od początku szli na zamknięcie, żeby zagarnąć nasz rynek* – mówi. Pracowników zwalniał osobiście. Łącznie 150 osób. Dla nich to był dramat, dla niego ciężkie chwile, wielu sam przecież zatrudniał.

Wkrótce zrezygnował z funkcji prezesa, a strzelecką spółdzielnię zrównano z ziemią (dosłownie). – *Byli pracownicy i mieszkańcy, którzy spółdzielnię traktowali z dumą, nie zostawili na nim suchej nitki. Pamiętają mu to nadal i wypominają przy każdej okazji, choć okazał się potem świetnym menedżerem, którego mogą nam pozazdrościć inne miasta* – mówi Mateusz Feder, wtedy młody współpracownik lokalnej gazety, obecnie burmistrz Strzelec. Obwiniony o całe zło Jarmasz wpadł w ciężką depresję. Źle sypiał, nie mógł dla siebie znaleźć miejsca. – *Ciężko to opisać słowami. Byłem przekonany, że nie popełniłem błędu. Nie mieliśmy wyjścia. Jednocześnie widziałem na własne oczy, jak cała moja praca obraca się w niwecz.*

Życiowo zbliżał się do pięćdziesiątki, zawodowo był zdewastowany, finansowo ledwo wiązał koniec z końcem. – *Ani przez chwilę nie pomyślałem jednak, żeby dać sobie z mleczarstwem spokój* – opowiada. – *Byłem pewny, że okoliczni rolnicy zostaną przez „obce" mleczarnie wyciśnięci jak cytryna i tym przejmowałem się najbardziej. W im głębszym tkwiłem dole, tym bardziej szukałem rozwiązań.*

Z depresji wyszedł po niemal dwóch latach, gdy wpadł na nowatorski, jak na tamte czasy, pomysł. – *Na Zachodzie sprawdzały się grupy producentów rolnych, którzy skupiają się, żeby wspólnie negocjować dobre warunki u odbiorców. Postanowiłem taką grupę stworzyć w Strzelcach, wykorzystując unijne dotacje.* Nowa spółdzielnia nie miała się zajmować – jak stara – przetwórstwem, lecz odbierać mleko od rolników i dostarczać je producentom. Zabrał się do roboty z zapałem, ale nie poszło jak po maśle. Dała o sobie znać łatka „likwidatora", za plecami szeptano, że jego nowa inicjatywa wiele wyjaśnia: poprzednią spółdzielnię celowo miał doprowadzić do upadku, żeby na jej gruzach wybudować własną.

– *Poznaliśmy czarny PR w wersji powiatowej. Antyjarmaszowa konkurencja rozsiewała plotki, że Bóg wie ile zarobił na likwidacji* – mówi Andrzej Kruszyna, hodowca z pobliskiego Górecka. – *Bali się go. Wiedzieli, że to tytan pracy, rynek mleka ma w małym palcu, i to od poziomu gminy aż po trendy globalne. Wiedzieli, że umie rozmawiać z rolnikami i prędzej czy później ich przekona.*

Na początku udział w nowej spółdzielni deklarowało 100 hodowców, a weszło do niej 20. Jak się nie skrzykniemy, to zginiemy – powtarzał. Do niektórych jeździł po kilka razy. Jak nie rano, to wieczorem. Jak go wyrzucali drzwiami, wracał oknem. – *Pracował od rana do nocy, każda rozmowa w domu schodziła na ten temat* – wspomina jego żona Joanna, która pracowała z nim w pierwszej spółdzielni, a w obecnej zajmuje się administracją. Według znajomych Andrzej ma „ciąg na bramkę". – *Jest nie do zatrzymania, ale niczego nie stawia na ostrzu noża. Operuje argumentami, korzyściami, ekonomią. Do skutku. Mimo upływu lat to się w nim nie zmienia* – twierdzi Kruszyna.

A Jarmasz nadal wyznaje zasadę, że z każdym przyjmowanym do spółdzielni hodowcą musi się spotkać osobiście. To niełatwe, bo Strzelecka Spółdzielnia Producentów Mleka rozrosła się do 580 członków.

– *Kompetentny, rzeczowy, nie zadziera nosa jak niejeden prezes, odbierze telefon o każdej porze, a jak nie może, to oddzwoni. Spółdzielnię poukładał, każdy wie, co ma robić, nie ma przypadkowych ludzi* – mówi o Jarmaszu Mateusz Seraszek, hodowca z wielkopolskiego Głuchowa, który do strzeleckiej spółdzielni należy szósty rok. Namówił do niej swojego szwagra i jeszcze kilku rolników. – *Spółdzielnia udziela też korzystnych pożyczek. Ja ich nie potrzebuję, ale mam to z tyłu głowy* – mówi Seraszek. Jarmasz: – *Nie wnikamy, czy na dojarkę, czy na samochód, bo hodowcy sami wiedzą, czego bardziej potrzebują. W ten sposób też budujemy wzajemne zaufanie.*

Strzelecka spółdzielnia znajduje się w krajowej czołówce spółdzielni skupowych, ma na koncie sporo nagród, ale branża bardziej niż jej nazwę zna nazwisko Jarmasza. Jako firma jest wyceniana na niemal 400 mln zł. Bez grosza kredytu wybudowała elegancki biurowiec na skraju miasta – za duży, ale celowo: zysk z wynajmu pomieszczeń wystarczy na utrzymanie całego budynku. To wszystko nie miałoby jednak znaczenia, gdyby nie oferowała atrakcyjnej ceny za mleko.

W zeszłym roku ceny mleka spadły na łeb na szyję poniżej granicy 2 zł za litr, wielu rolników zeszło poniżej kosztów produkcji. Jedna po drugiej upadają tradycyjne mleczarnie. W lutym 2026 r. produkcję zakończyła działająca od 80 lat Rokitnianka w Szczekocinach, kilka tygodni wcześniej po 70 latach zamknęła się mleczarnia w Myszkowie, a eksperci wieszczą dalszą konsolidację i eliminację kolejnych spośród ok. 120 istniejących jeszcze spółdzielni. Jarmasz jednak ze stoickim spokojem przekonuje: – *Strzelce się obronią. Rosną koszty energii i zatrudnienia w przetwórstwie, ale my się nimi nie zajmujemy. Kryzys przetrwamy także dzięki umowom z silnymi partnerami po obu stronach granicy.*

Ci, którzy go znają od lat, twierdzą, że się zahartował, ale stres nie spływa po nim jak woda po kaczce. Wspominają, jak w trakcie sporu z kontrahentem o kilka milionów złotych posiwiał z dnia na dzień. – *Niepowodzenia mnie nie złamały, z każdego się podniosłem* – mówi. – *Czy mam satysfakcję?* – powtarza pytanie. Lekko się uśmiecha: – *Tak, mam. Tylko wciąż nie mam czasu, żeby ją odczuwać.* Jak mówi, nie ma nic za darmo. Żałuje, że miał za mało czasu dla żony i czworga dzieci. I na tym samym wydechu zapewnia: – *Wiem, gdyby nie nasza spółdzielnia, od Świnoujścia po Wrocław produkcji mleka już by nie było.*

Żona mówi mu, że nie można tak ciągle pędzić. Że trzeba odpocząć, wreszcie pójść na emeryturę. Andrzej w wieku 69 lat też by chciał. Zapowiada to co roku, ale rada nadzorcza dała mu do zrozumienia, że najpierw musi uszykować następcę. Najlepiej syna Adama. Ma 36 lat, w spółdzielni odpowiada za współpracę z hodowcami i certyfikację mleka. Nie pali się do funkcji prezesa, bo wie, że to harówka i odpowiedzialność, ale ojciec uważa, że w tym jego zaleta. Namawia go i gwarantuje swoje doradztwo. – *Wcale się z tego nie cieszę, bo to oznacza, że emocjonalnie wciąż będę w pracy* – przyznaje. Rozpoznał jednak rynek menedżerów, znalazł chętnych we Wrocławiu i Poznaniu, ale nie chce, żeby spółdzielnią zarządzał ktoś, dla kogo to będzie takie miejsce pracy jak każde inne. ■

eprasa.pl 7cd57e2719

Gra się na sobie

Żal, gdyby miało nic nie być. To byłby żart – mówi aktor filmowy i teatralny Marian Dziędziel.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Jak się pan czuje?**

MARIAN DZIĘDZIEL: – Raz lepiej, raz gorzej. Gdy popatrzę, w którym roku się urodziłem, to rozumiem, że człowiek w moim wieku może mieć różne dolegliwości. Jakiś czas temu, leżąc w szpitalu, dowiedziałem się, że mam rozległy nowotwór i trzeba się szybko leczyć, żeby uratować jeszcze parę miesięcy. Nie bardzo w to wierzyłem, na wszelki wypadek zacząłem jednak chodzić na rehabilitację. Oszczędzałem żołądek. Zacząłem pić mniej kawy. W ogóle teraz prawie nie tykam piwa. Któregoś dnia, czekając z żoną na wyniki badań, widzę rozpromienioną panią doktor: Panie Marianie, zdrowy pan jest. Okazało się, że mam nie raka, tylko wrzody.

Od tamtego czasu nic złego pana nie spotkało?

O, dużo rzeczy mnie spotkało dziwnych. Ale nie będziemy o tym wszystkim opowiadać, bo to strasznie jest przygnębiające. Każda choroba jest po części straszna. Różne były. Na szczęście neurolodzy szybko rozwiali moje kłopoty. Chirurdzy wstawili co trzeba. Usunęli rzeczy, które były niepotrzebne. Dzięki nim chodzę, ruszam się. Nawet zagrałem parę filmów. Seriali też.

Przestał się pan bać?

Wtedy też się nie bałem. Byłem przygotowany. Miałem zakrzepicę, no i szczęście, że żona była w domu i kazała pielęgniarzom natychmiast zabrać mnie na pogotowie. Chociaż odgrażałem się, że moja noga nigdy więcej nie postanie w szpitalu. Nie pamiętam, jak dojechałem. Kiedy żona dotarła, powiedzieli jej, że leżę na oddziale operacyjnym. Ale wyszedłem z tego. Dosyć szybko. Mogłem zacząć pracować.

Ważna ta praca dla pana.

Daje radość. Jak człowiek dochodzi do tego, że może pracować, jest szczęście.

Za rok stuknie panu osiemdziesiątka i co pan na to?

Musi mnie pan obrażać? Dokuczać na starość? Niezbyt to miłe. Serio mówiąc, no fajnie jest mieć 80 lat. *(śmiech)*

Tak pan to sobie wyobrażał?

Zawsze myślałem, że nic złego mnie w życiu nie spotka, a jednak, jak to mówią, Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

W czym jest sprawiedliwy?

W tym, że każdemu się należy, co mu się należy. Widocznie musiało mnie to wszystko spotkać.

Pewnie dużo pan nagrzeszył.

Ja tego nie będę oceniał, natomiast niech to będzie w rękach tych, którzy są od tego. Było dobrze, jest dobrze i będzie dobrze.

Zawsze się tak mówi.

Niczego nie ukrywam. Nie musi mnie pan prowokować. Wszystko jest po dobrej stronie, na dobrej drodze. Znajduję się w miejscu, gdzie powinienem być.

Czuje się pan tym samym człowiekiem co 40 lat temu?

Sporo lat starszym. Na to nie ma rady. Kiedy byłem młody, inne siły mnie trzymały, mocniejszy się czułem, ale jestem tym samym Marianem Dziędzielem. Wiem, na co mnie stać, a czego nie mogę robić.

eprasa.pl 7cd57e2719

Marian Dziędziel (ur. 1947 r.) – jeden z najwybitniejszych i najpopularniejszych polskich aktorów. Urodził się w Gołkowicach, ukończył krakowską PWST. Od pięciu dekad związany z Teatrem Słowackiego. W kinie debiutował w „Soli ziemi czarnej" Kutza, a w telewizji rok wcześniej w „Stawce większej niż życie". Wystąpił w ponad 80 filmach fabularnych i dziesiątkach seriali, zdobywając liczne nagrody, w tym Orła („Wesele") i dwukrotnie nagrody aktorskie na festiwalu w Gdyni („Wesele", „Kret"). Na fot. **w roli gen. Jerzego Ziętka w serialu „Ołowiane dzieci"**.

© ROBERT PAŁKA/NETFLIX

Czyli te 40 lat niewiele pana nauczyło?

Każdy dzień, każda godzina czegoś uczą. Cały czas jesteśmy pod presją, żeby doświadczać i wyciągać z tego wnioski. Tylko czy to zmienia w istotny sposób charakter, osobowość? Jak pan uważa?

Myślę, że trochę jednak nas zmienia.

Musi, bo jesteśmy w innym miejscu w życiu, nie ma na to rady. Lecz z drugiej strony, czy rozwijając się, stajemy się definitywnie inni? Dużo przeżywamy różnych chwil i ten bagaż doświadczeń sam w sobie jest tym, co nas obciąża. Trudno powiedzieć.

Patrząc w lustro rano przy goleniu, widzi pan zawsze tego samego Mariana?

Tak. Niekiedy nawet rozmawiam z tym lustrzastym gościem: dobra facet, trzymaj się, tylko uważaj na siebie. Nie mam do niego pretensji specjalnie, chociaż nieraz należałoby go opierniczyć.

Za co na przykład?

Że się za mało szanował kiedyś.

A na przyszłość jak pan patrzy?

Z nadzieją, że będzie trwała jak najdłużej.

No ale nie będzie trwała.

Dlaczego? Już mnie pan chce pogrzebać? W życiu trzeba być optymistą. Ja wiem, że nie pożyję długo, ale chociaż tych parę lat by się zdało jeszcze.

Najserdeczniej tego panu życzę. Chciałem się tylko dowiedzieć, co pan myśli o odchodzeniu.

Są takie trzy cnoty boskie: wiara, nadzieja, miłość. Jeżeli z tym sobie dajemy radę, to będzie fajnie. Ale na co dzień staram się o tym nie myśleć.

W graniu liczy się to samo?

Aktorstwo to przyjemna sprawa. Wiele zależy od tego, jak się jest obsadzonym, jaka to rola, co jest do zagrania. Odpocząć można między jednym a drugim występem. Trochę się popracuje, coś przeczyta, znowu jakąś propozycję się dostanie. Człowiek pomyśli: aaa, nie chce mi się. Albo: wezmę to, zabawimy się, może jeszcze dam radę. I tak to idzie. W zasadzie całe życie tak to wyglądało.

Co w aktorstwie sprawia największą radość?

Bycie na scenie. Na planie filmowym stanie przed kamerą. Generalnie – że można coś od siebie powiedzieć ludziom. Ten zawód to taki ping-pong. Trudność polega na tym, żeby trafić precyzyjnie do widza. Powiedzieć, co się chce, a nie to, co ktoś pragnie usłyszeć. Nie chcę być szantażowany przez widownię, chcę być słuchany. Cieszy mnie, kiedy ludzie przychodzą i mówią miłe rzeczy, że wzruszają się, kiedy gram, że lubią mnie oglądać. Jeśli drugi raz przyszłoby mi wybierać, też bym postawił na aktorstwo. Natomiast to jest naprawdę trudny zawód. Trudny, ale przyjemny.

Niech pan o tej magii coś więcej powie.

Uwielbiam chwilę za kulisami, kiedy światła gasną powolutku na widowni, a scena się jeszcze świeci i czekamy. Kurtyna idzie w górę, widownia cichnie. Ten zanikający szum to jeden z najwspanialszych momentów, jakie istnieją. Oczywiście, że jest się wtedy naładowanym stresem i nerwami, ale to wszystko mija, to wszystko odchodzi, bo trzeba po prostu być z widzem. A kiedy aktor się odezwie, to już wiadomo, jaka to publiczność i jak się będzie grało, bo uszy wyłapują każdy oddech. To jest fantastyczne, to jest coś pięknego. Jakby się grało na instrumencie.

Instrumentem jest publiczność?

Nie, aktor. Gra się na sobie. Nie na publiczności. Jej można pomóc, by współgrała z aktorem. To też bywa niezwykłe. Najważniejsze, by wsłuchać się jednocześnie w widownię i w siebie. Dopiero wtedy może coś dobrego powstać. Ale ostateczny efekt zależy od wielu jeszcze innych czynników.

Na przykład czy się miało dobrą noc albo czy się z żoną pokłóciło?

Nie, nie, nie. O tym się zapomina, wchodząc na scenę. Życie prywatne idzie na bok. Liczą się sztuka, widownia i to, co się ma zdarzyć na scenie.

Każde pojawienie się na scenie przeżywa się tak samo?

Czy role się przeżywa? Najbardziej przeżywa się to, czy jest się zadowolonym z tego, co ma się do zaproponowania, do zagrania. A w trakcie grania, czy się przeżywa własne emocje, że żona mnie zdradziła albo że brat mi dał w pysk? To istnieje. Ale tego się nie pokazuje. Dla mnie aktorstwo to przedstawienie siebie w danej sytuacji. Świadomość, dlaczego postać, którą się gra, znalazła się w określonym położeniu. Bycie albo niebycie.

Pan trochę filozofuje, a niektórym się wydaje, że aktorstwo to łatwy zawód.

Kiedyś elektrycy w Teatrze Słowackiego się wkurzyli, słysząc przez głośniki, jak ktoś o aktorach powiedział lekceważąco: „przyjdzie taki, powie i pójdzie". Podeszli do niego, skoro to takie łatwe i proste – mówią – niech pan stanie z tyłu sceny, odwróci się tyłem do widowni, a jak ja powiem „teraz", to niech pan się odwróci do nas, podejdzie parę kroków do przodu. I powie: „dzień dobry państwu". Zgasili światło, potem włączyli lampy i krzyczą: „teraz". Znawca sztuki aktorskiej się odwraca, ale nie wie, gdzie ma iść. Podpowiadają mu: tu, do widowni. Teraz niech pan powie „dzień dobry". Stał przerażony, nie wiedział, co się dzieje. Inna świadomość w człowieku następuje. Jaki z tego morał płynie? Nie wolno się mądrzyć. Już wielu takich było, co udawali mistrzów. Szybko ich zapomniano. Natomiast dobry aktor musi być równocześnie zarozumiały i pokorny. Całkowicie oddany temu zawodowi.

Wajda o reżyserach mówił podobnie. Muszą mieć skórę nosorożca i duszę poety.

No bo to jest prawda. Mnie tego nauczył mój ojciec, który amatorsko bawił się w teatr. Reżyserował spektakle na wsi ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ w Gołkowicach. Czasami dopraszał kogoś z chóru, angażował strażaków, sąsiadów. Słuchaj, przestrzegał mnie, to nie jest zabawa. To jest trudny zawód – zapamiętaj. Dużo czytał. Po wojnie Czytelnik wydawał dramaty w broszurach. On to prenumerował, zbierał. A potem dawał mi do przeczytania.

Podobno był stolarzem.

Był nie tylko stolarzem. Pasjonował się sztuką. Miał dryg do aktorstwa. Jak przyjeżdżało do nas kino, zabierał mnie ze sobą. Organizował występy chóru i teatru. Jeździł po okolicy z przedstawieniami, chciał, żeby to miejsce żyło. Wie pan, co to jest bina?

Nie.

Taka mała scena na podwyższeniu, gdzie najczęściej sadzano orkiestrę. Więc jak była bina, mój ojciec mógł zapraszać muzyków. Wystawił m.in. „Zemstę", „Zaczarowane koło", „Nawróconego", operetki różne. Niesamowity był z niego organizator. Zarażał ludzi energią. A jak dostałem się do szkoły teatralnej, zrezygnował. Może był już za stary? Poza tym modne zaczęły być telewizory. Ludzie woleli patrzeć w szklany ekran i nie wychodzić z domu.

Ojciec zaszczepił w panu miłość do teatru?

Nie tylko on. Dzięki telewizji świat nagle się otworzył i rosła chęć skonfrontowania się z nim. Ciągnęło mnie do poznawania życia przez literaturę i aktorstwo. Do innej analizy niż na lekcji polskiego. W ten sposób dowiadywałem się o człowieku wielu rzeczy, które po prostu nie przychodziły do mnie same. Musiałem o to dbać, jakoś wyszarpać tę wiedzę, żeby się poczuć pewniej.

Co czyni aktora wielkim?

Wielkie role, skromność. To podstawa. Ale to nie jest łatwe. Czy aktorstwa można się nauczyć? Sam nie wiem. A czy talent można wypracować? Też nie wiadomo. Jasne jest tylko, że nie wolno iść na łatwiznę. Skoro utalentowany, to niech gra. Samym talentem tego się nie ugra. Natomiast kiedy już się coś umie, aktorstwo przestaje być trudne. Trzeba tylko ostro pracować.

Niedawno zagrał pan ducha w „Zapiskach śmiertelnika". Przekonał się pan, że jest coś po drugiej stronie?

Przekonywać się nie ma co, nie ma jak nawet. Bo to chyba kwestia wiary. Chociaż ocknąwszy się po operacji na zakrzepicę z dwoma prętami w głowie nie bardzo wiedziałem, gdzie przebywam. Wydawało mi się, że jestem tam. Jest taka pieśń kościelna: „Ze snu się przebudzi ziemskiego, wróci do ojca swojego". Żal mi się zrobiło, że nie zdążyłem się pożegnać z bliskimi. Zabrałem się za wyciąganie tych prętów, w porę powstrzymała mnie jednak pielęgniarka: Co pan robi, panie Marianie, chce się pan zabić? Wtedy dotarło do mnie, że nie umarłem.

Dla Ślązaków wiara jest ważna?

Nie wiem, jak dla Ślązaków, ale dla mnie tak. Bo daje pozytywną energię. Żal, gdyby miało nic nie być. To byłby żart.

W skali od jednego do dziesięciu – jeden to „nie wierzę", dziesięć to „wierzę bezwarunkowo" – gdzie się pan sytuuje?

Nie namówi mnie pan na zabawę w wyliczankę. Powiedziałem szczerze, wszystko można z tego wywnioskować. To zbyt istotna sprawa, ale nawet się przyjaźnię z księżmi, niekiedy bardzo wybitnymi. No, są też tacy, którzy niszczą zaufanie do tej instytucji. Oby nie zabrakło tych, którzy potrafią to naprawić.

Co pan sądzi o pedofilii w Kościele?

Oburzam się, i to bardzo. Nie toleruję takich zachowań. Jak sobie wyobrażam, że ktoś dotyka mojego wnuka albo wnuczkę, która niedługo trzy latka skończy, i to jakiś, nie daj Panie Boże, duchowny, to mnie roznosi. Bardziej zniechęca mnie do Kościoła to, że oni nic nie chcą z tym zrobić. Ostro muszą postąpić z tymi dewiantami, bo nie może tak być, żeby się człowiek bał. W dzieciństwie służyłem do mszy. Byłem ministrantem, nikt mnie nie obmacywał, nie molestował. Dopiero po przeprowadzce do Krakowa różne na ten temat chodziły słowa. Ale bardzo to uciszali.

Nie niszczy to w panu wiary?

Wszystko zostawia jakiś uszczerbek. Jakby pan spytał alkoholika, czy picie nie niszczy jego zdrowia. Niszczy, ale pije nadal.

Co dla pana znaczy być Ślązakiem?

„Być Ślązakiem, być Ślązakiem, kochać marzyć, będąc dzieckiem" – wyjechałem ze wsi śląskiej, z Gołkowic, z gminy Godów, mając 18 lat. Zaraz po dostaniu się do szkoły teatralnej. Od 61 lat mieszkam w Krakowie, dlatego ciężko mi mówić, skąd jestem. Mam lekko zakłóconą tożsamość. Śląskość, polskość, to się tak różni jak Mazowszanie od Mazurów, Kaszubi od Ślązaków. Inna gwara, inna mentalność, inny sposób przyjmowania świata. Urodziłem się nie w centrum Górnego Śląska, tylko przy granicy czeskiej. Niedaleko Jastrzębia-Zdroju i Wodzisławia, gdzie chodziłem do liceum. Moi dziadkowie walczyli w powstaniach śląskich. To wyznacza odpowiedzialność, definiuje człowieka.

W serialu „Ołowiane dzieci" zagrał pan gen. Jerzego Ziętka, legendarnego działacza politycznego i samorządowca, odsuniętego od władzy w 1975 r., któremu Ślązacy postawili pomnik w Katowicach dwie dekady temu. To było ważne dla pana doświadczenie?

Bardzo ciekawa postać, administrator regionu, dbał o ludzi, omijał biurokratyczne bariery, kierował się pragmatyzmem, a nie ideologiczną lojalnością. Znałem człowieka. Ale byłem wtedy bardzo młody, a później już nie miałem okazji. Zagrałem Ziętka, jakiego zapamiętałem. Myślę, że chyba ta rola przypadła do gustu Ślązakom.

Nie tylko im. Pięknie pan go zagrał.

Nie przeceniałbym jednak tej ważności. Nie da się sensownie opowiedzieć, co się czuło, grając czy dostając tę rolę. Wie pan, ile kilogramów musiałem nosić na sobie, żeby się do niego upodobnić? Jaki to był wysiłek? Z przyjemnością zagrałem tę historyczną postać – tyle mogę powiedzieć. A pan by chciał wydusić ze mnie, że byłem szczęśliwy, że zagrałem Georga Ziętka, że cały tydzień nie spałem i myślałem o tym, ile dać mu ciepła, żeby nie zniechęcić do niego Ślązaków. Przecież nie będę takich głupot opowiadał.

Odebrałem to jako prawdę.

Nie, zagrywałem się przed panem. Już powiedziałem, nie lubię oceniać. Niech każdy obejrzy i samodzielnie pomyśli. Dla mnie najważniejszy jest scenariusz. Postać Ziętka była tak napisana, że można było coś grać. I niech tak zostanie.

Myślał pan kiedykolwiek o przyjęciu do szkoły teatralnej w kategorii cudu?

Bóg jeden wie, jak to się stało. Szczegółowo wyglądało to tak, że po egzaminie konkursowym, na którym zaśpiewałem po śląsku „W letni dzionek o poranku", o pierwszej w nocy dwóch profesorów przechodziło korytarzem, jeden mnie chwycił za barki. Proszę pana, zostanie pan przyjęty, tylko proszę obiecać, że nauczy się pan mówić po polsku z prawidłowym akcentem. Prof. Stankiewicz będzie panu pomagał w dykcji. Nauczy się pan? Ja taki szczęśliwy, że już wiem, że się dostanę, zanim na tablicy wywieszą oficjalną

eprasa.pl 7cd57e2719

listę, odpowiedziałem bez wahania: ja, nauczo sie.

Było więcej takich nadzwyczajnych wydarzeń w pana życiu?

Ręka Boga jest wszędzie, jeżeli w takich kategoriach mamy myśleć. Gdybym oblał egzaminy do szkoły teatralnej, prawdopodobnie zostałbym księdzem. Nie bardzo było co robić. Wiedziałem, że na kopalnię nie pójdę, a miałem zamiary takie. Po studiach groziło mi, że wiecznie będę obsadzany w rolach amantów. A to najgorsza rzecz, jaka aktora może spotkać. No i w Teatrze Słowackiego, gdzie debiutowałem po szkole, zagrałem na początek amanta w „Kuligu" Wybickiego.

Spotkanie ze Smarzowskim to też był cud?

Czy to był przypadek? Dziwna sprawa w ogóle. Zjawiskowa. Grałem wtedy w „Grach ulicznych" Krzysztofa Krauzego. Miałem tylko jeden dzień zdjęciowy. Zastanawiałem się, czy w ogóle to brać, bo zaplanowaliśmy z żoną w tym czasie wakacje nad morzem. Krauze to był dobry reżyser, więc się zgodziłem. Wróciliśmy wcześniej z Wybrzeża i pierwszą osobą, jaką poznałem na planie, był Wojtek, który przyjechał na zastępstwo za operatora mającego kręcić making of. Jakiś czas potem dostałem informację, że próbuje się ze mną skontaktować, bo ma dla mnie robotę.

To było „Wesele"?

Nie, najpierw zrobiliśmy „Małżowinę", potem była „Kuracja". W ten sposób się poznawaliśmy. Równocześnie on pisał scenariusz „Wesela", bo chciał wyreżyserować najpierw „Dom zły", ale mu nie pozwolili, więc zaczął pracować nad „Weselem", na które miał pomysł. No i tu już działaliśmy wspólnie, chociaż zastanawiało mnie, czy on się w ostatniej chwili nie rozmyśli i nie powierzy zadania innemu aktorowi. Miałem wtedy prawie 60 lat. W kinie uznawano mnie za mistrza drugiego planu. Ale on postanowił dać mi szansę.

A jak było z Kingą Dębską przy „Moich córkach krowach"?

Zaproponowała, żebym przyjechał na rozmowę do biura WFDiF na Chełmską. Przywitałem się z producentem Zbyszkiem, jak się później okazało, jej mężem. Zabrali mnie do kawiarni. Okazało się, że mam zagrać jej ojca. Opowiedziała wszystko w detalach. A z detali wyszła poważna sytuacja, konkretna. I było bardzo sympatycznie. Bardzo.

To ona panu uświadomiła, jak ważne są te pana niebieskie oczy?

Może tak, może nie, nie wiem. Bardziej się zastanawiam nad tym, co mam do powiedzenia jako aktor. Takie opowieści jak ta z oczami to męcząca sprawa. Trzeba pracować cały czas, walczyć o swoje, nie poddawać się.

To jakie miał pan dotychczasowe życie?

Cudowne. Role były po to, żeby mieć satysfakcję i utrzymać rodzinę. Z czego jestem najbardziej zadowolony? Że jestem. Że cały czas na chodzie. Że mam wspaniałą żonę, wspaniałe córki. To powoduje inne uwarunkowania wobec życia. Również wobec samego siebie. I coraz bardziej uszczęśliwia.

A marzenia?

Żeby jak najdłużej zdrowie dopisywało. „A jak będzie słońce i pogoda, słońce i pogoda, pójdziemy se razem do ogroda, pójdziemy se razem do ogroda". Wie pan, z czego to jest?

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

REKLAMA

ZALEŻY MI

Autorytaryzm i kryzysy nie zaczynają się od wielkich wydarzeń.
Zaczynają się tam, gdzie słabnie obywatelska czujność.
Dlatego wzmacniajmy głos obywateli i ludzi, którzy reagują jako pierwsi.
Często jeszcze zanim zareaguje państwo.

Przekaż 1,5% na Fundusz Obywatelski i wspieraj aktywnych obywateli.

Fundacja dla Polski KRS: 0000039342 www.funduszobywatelski.pl

Fundusz Obywatelski im. Ludwiki i Henryka Wujców

eprasa.pl 7cd57e2719

Tygrysy kontratakują

Wojenne minipowieści z emblematem tygrysa były fenomenem wydawniczym PRL. Do 1989 r. sprzedało się ich ponad 96 mln egzemplarzy. Legendarna seria właśnie powróciła na front księgarski i walczy o odzyskanie wpływów.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Inne czasy – inne słowa. Dziś zamiast legendarne mówi się kultowe, a emblemat to logo. Strefę wpływów zastąpiły wzięte z internetowych socjali zasięgi. Tygryski – nazywane tak od logo z żółtym ryczącym tygrysem – wydawane w latach 50. i 60. zeszłego wieku też miewają kłopoty ze słowami i trzeba je tłumaczyć na dzisiejszość, aby nowy czytelnik nie potykał się na różnych „zaplutych karłach reakcji" lub „kręgach rewanżystowskich".

Tylko rynek bardziej przypomina bitewny front niż w PRL, kiedy książki wydawały firmy państwowe, bo innych nie było. Telewizor był rarytasem, a internet futurologią, więc ludzie czytali. Teraz książka walczy o grymaśnego klienta, ale akurat tygryski mają metodę marketingową, która się nie zestarzała. Jak to sentencjonalnie ujął recenzent serii w 1974 r.: „poważny temat podany w sposób prosty i atrakcyjny jest powszechnie akceptowany".

Sentymenty

Michał, rocznik 1970, właściciel kilkudziesięciu tygrysków, wspomina je jako blockbustery podstawówek. W latach 70. i 80. były walutą w szkolnym handlu wymiennym obok resoraków Matchbox i Majorette, komiksów „Tytus, Romek i A'Tomek" i tych o kapitanie Żbiku.

Cena wiązała się z dojrzałością: za jednego obitego Matchboxa, którym siódmoklasista już się nie bawił, mógł dostać trzy tygryski od drugoklasisty, który świsnął je rodzicom z półki. Zdarzało się, że ten były drugoklasista, spotkany po latach, miał pretensję, że został oszukany, bo tymczasem już sam wpadł w szpony tygrysków.

– *W tamtych czasach nikt z dorosłych nie zwracał uwagi, kiedy bandy uzbrojonych w zabawkową broń chłopaków „zabijały się" na podwórkach* – opowiada Michał. – *Druga wojna światowa była naszą pasją, chciało się o tym wiedzieć wszystko, a tygryski tej wiedzy dostarczały. Kiedy odkryłem teksty źródłowe i naukowe opracowania, pojąłem, że zachwycaliśmy się literaturą popkulturową, zbeletryzowaną i sensacyjną.*

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7cd57e2719

Opamiętanie było frustrujące – ok. 15. roku życia, odkrywając w tygryskach dialogi spisane na tajnych naradach u Hitlera czy wśród japońskich kamikadze, Michał nabrał podejrzeń: jak polski autor tomiku się tam dostał? Czy znał japoński? Jak udało mu się ujść z życiem? Później przyszły wątpliwości polityczne: dlaczego w Warszawie gromi Niemca głównie Armia Ludowa? Dlaczego Rosjanie są tacy sympatyczni, a Niemcy to prawie wyłącznie idioci?

Jednak to od tygrysków wszystko się zaczęło – pasja Michała, a później jego syna, który skończył historię i nawet bawił się w drugowojenne grupy rekonstrukcyjne. Dziś kolekcja ma swoje dożywotnie miejsce na półce w garażu.

Początki

Pierwsza książka serii – „Wielki dzień Dywizjonu 303" Bohdana Arcta – ukazała się w 1957 r. Politycznie panował w Polsce, jak wtedy mówiono, klimat popaździernikowy – otwarcie krytykowano stalinowski „okres błędów i wypaczeń", poluzowano cenzurę. Po 1945 r. temat wojenny obsługiwała literatura. Po 1948 r. wolno było pisać wyłącznie propagandowo, gloryfikując rolę Armii Czerwonej. Po śmierci Stalina i „odwilżowym" październiku 1956 r. wydawane przez Ministerstwo Obrony Narodowej tygrysy miały pokazywać drugą wojnę w sposób rzetelny, „wolny od schematów poprzednich lat" – taki był mit założycielski.

Za serię odpowiadała w MON Redakcja Wydawnictw Masowych. Jak na wczesny PRL pomysł edytorski też był nowatorski i odwilżowy, bo ściągnięty z Ameryki: format kieszonkowy, niewiele tekstu, dynamiczna komiksowa okładka, sensacyjny tytuł, cena 5 zł, ekspozycja w kioskach Ruchu obok najbardziej chodliwych towarów, czyli gazet i papierosów. Wszystkie etapy produkcji i sprzedaży gwarantowane przez państwowe instytucje – tygryski nie mogły nie odnieść sukcesu.

– *Drukowano je w Domu Słowa Polskiego w Warszawie, czyli tam, gdzie „Trybunę Ludu", kolportaż do 10 tys. kiosków był zapewniony z marszu, nakład podstawowy w latach 50. i 60. to 240 tys. egzemplarzy, a niektóre tomiki z serii, np. „Cyrk Skalskiego", sięgały ponad miliona* – wylicza Krzysztof Adamski, redaktor naczelny wydawnictwa Bellona, które dziś wydaje tygrysy. – *To się przekładało na tantiemy. Córka jednego z autorów wspominała, że rodzina jako pierwsza na klatce schodowej miała w latach 50. telewizor Wisła – kupiony z honorarium za tygrysa.*

Wśród pierwszych twórców tygrysów byli lotnicy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie: Bohdan Arct, Janusz Meissner, Wacław Król. Sam Arct napisał ok. 15 tytułów, kilka pod pseudonimami. To dzisiaj najbardziej poszukiwane wśród kolekcjonerów wydania, zwane lotniczymi. Nazwiska autorów też świadczyły o „odwilżowości" – niektórzy po powrocie z Zachodu do Polski w drugiej połowie lat 40. poddawani szykanom teraz stawali się ważnymi świadkami drugowojennej historii.

Kolejną falą piszących tygryski byli dziennikarze, wśród nich późniejsi opozycjoniści, jak Leszek Moczulski czy Andrzej Drawicz. Ale i ludzie tacy jak autor innego bestsellera „Czterej pancerni i pies" Janusz Przymanowski, który w okresie stanu wojennego pokazywał się w mediach jako oficer LWP. Właśnie ta grupa miała wkrótce przejąć serię – cykl wydawniczy był szybki, gazetowy, pisało się na akord, bo czytelnicy czekali na regularne nowości; zawodowcy lepiej się w tym pędzie odnajdywali. Dziś widać, jak to przejęcie zmieniło styl tygrysów – nagle autor-narrator stawał się wszechwiedzący, opisywał akcję z obu stron wojennej barykady, wymyślając dialogi i stosując urywany, sensacyjny montaż treści. Może i było to ze szkodą dla faktów, ale nie dla sprzedaży. Na przełomie lat 50. i 60. tygryski były już wedle dzisiejszych kryteriów kultowym bestsellerem na masową skalę.

Jednak w miarę rozwoju serii autorzy częściej decydowali się nie chwalić swoją pracą. Jak pisał Bogdan Klukowski w POLITYCE z 1974 r., wśród piszących tygryski blisko 40 osób posługuje się już jednym lub kilkoma pseudonimami. Byli też tacy, którzy używali obco brzmiących nazwisk, by podbić sprzedaż. W ówczesnej Polsce pisarz zachodni był przez czytelników poważany (w domyśle – bardziej bezstronny niż polski), a więc i chętniej kupowany. Dopiero po latach w przypadku kilku tygrysów wyszło na jaw, że ukryci za zachodnimi nazwiskami autorzy plagiatowali publikacje amerykańskie lub brytyjskie. Książki szły jak ciepłe bułeczki – jak się wtedy mówiło – można było na nich nieźle zarobić, a plagiat kusił bezkarnością. Bo komu miałby się pożalić w Polsce za czasów żelaznej kurtyny amerykański pisarz okradziony z książki? Wydziałowi Prasy Komitetu Centralnego PZPR?

Dzisiaj Bellona szuka sukcesorów kilku pseudonimów, których nie udało się powiązać z prawdziwymi nazwiskami.

Sentymenty

Na początku lat dwutysięcznych Krzysztof, rocznik 1973, zostawił wielką torbę ze swoją kolekcją tygrysów, wyprowadzając się do innego mieszkania. Zrobił to specjalnie – uznał, że z nich wyrósł i nie chciał już zabierać ze sobą. Pamięta, że były tam głównie wydania z początku istnienia serii, te w nieco większych formatach.

– *W latach 80. kradłem je ciotce, kiedy ją odwiedzaliśmy z rodzicami* – wspomina czasy największej tygrysowej pasji. – *Niestety, przesadziłem z chciwością i kiedy na półce za szkłem zrobiło się już bardzo pusto, wybuchła awantura. Przeprosiłem z płaczem, a ciotka zachowała się wspaniałomyślnie i podarowała mi także te, których jeszcze nie zdążyłem zabrać. Pamiętam, że moja popularność w szkole dzięki tygrysom wzrosła. Pożyczałem je kolegom za opłatą, prowadziłem specjalny rejestr biblioteczny.*

Ulubione tytuły Krzysztofa: „Przez druty Oświęcimia", „Operacja Midway", oczywiście bestsellerowy „Cyrk Skalskiego" Bohdana Arcta oraz „Zamach na Kutscherę" Marka Dunina-Wąsowicza. Wyrośnięcie z tygrysków polegało na tym, że już w latach 90. pasjonaci historii w Polsce mieli swobodny dostęp do poważniejszych, lepiej udokumentowanych opracowań. Na przykład nastąpił wysyp książek o zbrodni katyńskiej i ataku ZSRR na Polskę – oryginalne tygrysy tych tematów nawet nie dotykały aż do 1990 r.

Ale że Krzysztof ma smykałkę do interesów, natychmiast sprawdza w telefonie, po ile dziś chodzą wydania serii. Na Allegro tygrysy z epoki – głównie poniżej 20 zł za egzemplarz. Kolekcje wydań z lat 70. cenią się po 10 zł za sztukę.

Nagle Krzysiek zastyga – bardzo zniszczony egzemplarz „Zamachu na Kutscherę" z 1958 r., cena 60 zł.

Wiwisekcja

Bogdan Klukowski, który na 17. rocznicę serii opublikował w POLITYCE artykuł „W paszczy »Tygrysa«", był wybitnym księgarzem z pasją (dziś: specjalistą rynku wydawniczego). Jego analiza fenomenu serii wydawanej przez MON nawet po ponad 50 latach wydaje się w punkt (wystarczy odsiać fragmenty publicystycznej ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ nowomowy charakterystyczne dla epoki). Klukowski poszedł w szczerości tak daleko, że aż musiał interweniować cenzor.

Seria jest „ewenementem wydawniczym", przyznaje Klukowski, ale tygrysy łączą fakt i fikcję „bez pogłębienia wiedzy i prowokowania do refleksji". Przeciętny tomik buduje się wokół sensacyjnej akcji „obfitującej w elementy ryzyka". Najczęściej występujące narodowości to po kolei: Niemcy, Polacy, Rosjanie, Anglicy, Francuzi, Amerykanie i Japończycy – wszyscy pokazani szablonowo. Większości Niemców, pisze recenzent, „można przypisać takie określenia, jak pijak, zboczeniec, morderca, hochsztapler polityczny, dużego kalibru kombinator". Z kolei Polacy: „patriotyczni, zdolni, wytrzymali, gotowi do najwyższych poświęceń, pomysłowi, często ryzykanccy". Metody literackie stosowane przez autorów są publicystyczne – akcję dopowiada się komentarzem odautorskim, żeby czytelnik nie pogubił się w interpretacji.

Cenzor wyciął taki fragment: „Lewica polska czasu wojny jest przedstawiona w serii jako ideologiczny monolit, a ludzie jako moralny wzór. Szlachetnością i umiejętnością prawidłowej oceny sytuacji politycznej i militarnej cechują się ludzie pochodzący z nizin społecznych lub będący na niższych szczeblach hierarchii wojskowej. Dotyczy to i armii polskiej na zachodzie, i armii aliantów zachodnich, i ugrupowań Armii Krajowej. Wydaje się, że jest tu dużo projekcji naszych doświadczeń i przemyśleń późniejszych na wydarzenia wojenne (...)" (za „Czarną księgą cenzury PRL" Tomasza Strzyżewskiego).

Do 1973 r. ukazało się 270 tytułów serii (łączny nakład ponad 50 mln egzemplarzy). W sondażu na temat tygrysów, w którym przepytano 3 tys. respondentów, znalazło się tylko 180 kobiet. Największą grupą czytelników okazali się uczniowie (30 proc.), po nich robotnicy (24 proc.) i inteligenci (8 proc.). Bogdan Klukowski doradzał wydawcy zmianę konwencji w przyszłości, bo seria stała się zbyt schematyczna.

Kontratak

Wydawca nie posłuchał ani wtedy, ani przez następne 15 lat, w myśl zasady, że nie psuje się dobrego. Tygryski miały, tłumacząc na dzisiejsze, rozpoznawalny produkt, mocne logo, wierną grupę odbiorców, świetny kolportaż i masowe nakłady – wszystko gwarantowane przez państwo. Że począwszy od mitu popaździernikowej otwartości, podlegały po kolei klimatom politycznym PRL i oprócz wybitnych zdarzały się tomiki modelujące obraz historii według obowiązującej propagandy partyjnej? Młodzieżowy i robotniczy czytelnik miał się nie zorientować i wchłaniać nowe treści polityczne jako wychowawcze oddziaływanie najpopularniejszej serii w kraju. Nie przewidziano tylko, że czytelnik się zmieni, bo dostanie dostęp do wiedzy o drugiej wojnie także z innych, całkiem niezależnych źródeł. A już kompletnie nie dało się przewidzieć, że upadnie PRL.

Marek, Krzysztof i inni dawni amatorzy tygrysków, dziś w średnim wieku, pamiętają koniec lat 70. i lata 80., kiedy kolejne tomiki serii pokutowały na wystawach kiosków Ruchu aż do zupełnego wyblaknięcia od słońca.

W 1990 r., po zmianie władzy w Polsce na demokratyczną, na bazie Wydawnictwa MON powstało wydawnictwo Bellona (dziś należy do spółki Dressler Dublin). W 1990 r. ukazało się jeszcze kilkanaście tygrysków, kilka w 1997 r. – i to był już koniec. Seria zamarła wobec braku powodzenia. Łącznie wydano 671 tytułów.

– *Ludzie w Polsce zachłysnęli się wtedy nagłą dostępnością wszystkiego z Zachodu* – mówi Krzysztof Adamski, naczelny Bellony. – *Tygrysy po prostu w tym zniknęły. A przecież trudno im odmówić, że – pomijając nachalną czasem propagandę – przez lata były takim małym okienkiem do historii dla wielu osób.*

W czerwcu 2024 r. Bellona wznowiła kultową serię. Był to – mówi Adamski – „wewnętrzny pomysł wydawnictwa". Bazujący na dawnej legendzie, tytułach i logo, ale skrojony już pod nowoczesny rynek księgarski, gdzie tygryski walczą z tysiącami innych tytułów ze swojego historycznego segmentu. Kolportaż – przez własną sieć sprzedaży, sklepy dyskontowe i internet. E-booki i audiobooki do ściągnięcia z netu. Pięć tygrysków co miesiąc – wznowienia i nowe tytuły. Nakład: ok. 10 tys. egzemplarzy. Cena książki papierowej: od 10 do 13 zł. Z badań fokusowych wynikło, że seria ma największe powodzenie wśród ludzi 60+ i takich między 18. a 25. rokiem życia. Prenumeratę kupiło 3 tys. osób. W socjalach powstały kanały – fani wymieniają się opiniami o tygryskach. Wspomagani internetem mają profesjonalną wiedzę o faktach z drugiej wojny światowej, są w stanie wypomnieć najdrobniejsze niedociągnięcie (w jednej z klasycznych książek Arcta wytropili niewłaściwy numer taktyczny samolotu).

Zdarzają się tygryski, które nie pójdą do druku – zbyt przechylone propagandowo za czasów PRL. Inne obrastają dziś w wyjaśnienia kontekstów (jak ten o radzieckim jeńcu, który ukradł Junkersa, uciekł nim na alianckie lotnisko i został bohaterem ZSRR – owszem, został, ale najpierw 10 lat przesiedział w łagrze). Ale są też czytelnicy, którzy domagają się oryginalnych wersji tekstów z PRL jako znaku czasu. Każdy tom jest przeglądany i uzupełniany pod kątem prawdy historycznej, robi to osobiście naczelny Bellony oraz zespół historyków. Wśród autorów nowych tytułów również są historycy. Z tym że ich prawdziwe nazwiska pozostać muszą do wiadomości wydawnictwa. Pracują incognito i pod pseudonimami z różnych powodów, także dlatego, że są związani etatami gdzie indziej i nie powinni dorabiać pisaniem tygrysów.

– *Cieszę się, że seria wróciła* – „blurbuje" Krzysztof Adamski. – *To pierwsza przepustka do historii dla młodych ludzi. Ale zainteresuje też tych, którzy wychowali się w PRL i pamiętają tygrysy sprzed lat.*

Od czerwca 2024 r. ukazało się 140 tygrysków. Nakład: 1,4 mln egzemplarzy.

Sentymenty

Jarosław, rocznik 1963, syn oficera Ludowego Wojska Polskiego, opowiada, że kiedy miał z 10 lat, ojciec dał mu kilka zaczytanych prawie na śmierć książek z emblematem żółtego tygrysa i polecił przeczytać. Były to głównie opowieści obozowe oraz pierwsze, „kanoniczne" wydania lotniczych tomików Bohdana Arcta. Stary podsuwał kolejne: „Kamikaze lotnicy śmierci", „Cyrk Skalskiego", „Cichociemni" „USS Indianapolis nie wraca do bazy". – *To tak wciągało, że czytałem nawet przy jedzeniu* – wspomina Jarek. – *Potem szukałem tygrysów na własną rękę i raz ojciec zobaczył mnie z jednym i zamarł. Opanował się, zabrał mi tę książkę i mówi: tego nigdy nie czytaj, to podyktowało NKWD.*

Jarek idzie do pokoju, gdzie trzyma swoje tygrysy, ale tego tytułu akurat nie znajduje.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl 7cd57e2719

Na każdy temat z każdej strony
tokfm

eprasa.pl 7cd57e2719

Urlop czasem beztroski? To już nieaktualne. Teraz w cenie są ubezpieczenia, które nie wygasną z chwilą pierwszych strzałów, a o tym, dokąd można wysyłać wycieczki, zdecyduje MSZ.

CEZARY KOWANDA

Wakacje między wojnami

Od czego zacząć planowanie zagranicznego wyjazdu? Odpowiedź na to pytanie raczej nie zachęca do podróżowania – zwłaszcza od kiedy państwa na Bliskim Wschodzie, powszechnie uważane za bezpieczne, z dnia na dzień stały się strefą wojenną. Teraz ważniejsze od szukania promocji na stronach biur podróży czy linii lotniczych powinno być sprawdzenie mało przejrzystego serwisu Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Każde z państw ma tam swoją zakładkę, a w niej określony jest poziom zagrożenia. W tych uchodzących za najbezpieczniejsze (poziom pierwszy) MSZ radzi zachować zwykłą ostrożność – jak w Polsce. W bardziej ryzykownych (poziom drugi) należy według resortu też zachować ostrożność, ale za to szczególną. Nie bardzo wiadomo, co to oznacza, jednak do takich miejsc biura podróży nadal mogą bez ograniczeń organizować wyjazdy. Inaczej jest przy dwóch najwyższych poziomach ostrzeżeń. W przypadku jednego z nich (poziom trzeci) odradzane są wyjazdy turystyczne, a do miejsc uchodzących za szczególnie niebezpieczne

eprasa.pl 7cd57e2719

(poziom czwarty) MSZ przestrzega przed jakimikolwiek podróżami, także służbowymi.

Zmora dodatkowych noclegów

Zaraz po ataku Stanów Zjednoczonych i Izraela na Iran najwyższy poziom ostrzeżeń dotknął szereg popularnych wśród turystów krajów Bliskiego Wschodu, jak Zjednoczone Emiraty Arabskie, Oman, Katar czy Jordania (Izrael i Iran już wcześniej były na cenzurowanym). Rozpoczęła się ewakuacja 14 tys. polskich turystów, którzy znajdowali się tam w chwili wybuchu wojny. Ok. 8 tys. osób zostało wywiezionych przez biura podróży (głównie przez Egipt lub Oman), po inne wysłano rządowe samoloty, za co zapłacili podatnicy. Taki chaos może się powtórzyć, bo nie istnieją żadne prewencyjne rozwiązania.

Biura podróży tłumaczą, że sprzedają wycieczki, sprawdzając na bieżąco ostrzeżenia Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jeśli resort nie mówi jasno, że do konkretnego kraju nie należy podróżować, touroperatorzy i linie lotnicze nie odwołują zawczasu wyjazdów. Bo wówczas nie tylko musieliby zwracać pieniądze klientom, ale jeszcze płacić odszkodowanie za wycieczkę anulowaną w ostatniej chwili.

Poważny problem pojawia się wtedy, gdy wojna wybucha w miejscach, które miały być bezpieczne, więc podróżowano do nich bez ograniczeń. Turyści nie mogą wrócić do Polski zgodnie z planem, bo zamknięta jest przestrzeń powietrzna z powodu ataków rakietowych czy dronowych. Jeśli pobyt za granicą się wydłuża, zgodnie z przepisami biura podróży muszą ponieść koszty maksymalnie trzech dodatkowych noclegów. Podczas ostatniego zamieszania touroperatorzy w trosce o własną reputację nie stosowali rygorystycznie tej zasady (płacili za wszystkie dodatkowe dni pobytu), ale to była tylko ich dobra wola.

Kto podróżuje na własną rękę i nie może skorzystać z odwołanych lotów, ten jest uzależniony od swojego przewoźnika. Zgodnie z unijnymi przepisami powinien on pokryć koszty dodatkowych noclegów i wyżywienia. Ale ta ochrona nie obejmuje lotów rozpoczynających się poza obszarem Unii, gdy realizują je przewoźnicy mający siedzibę w kraju nienależącym do Wspólnoty. Na przykład linie z Zatoki Perskiej, jak Etihad Airways, Emirates czy Qatar Airways, których kłopoty sparaliżowały ostatnio ruch lotniczy między Europą a Azją, co m.in. utrudniło powrót do kraju tysiącom turystów przebywających w Tajlandii czy Wietnamie.

Meandry funduszu pomocowego

Dodatkowe koszty przedłużonego pobytu to tylko jeden problem. Drugi, być może nawet poważniejszy, to pytanie o ubezpieczenie podróżne. Część polis wygasa natychmiast, gdy turysta znajdzie się na obszarze objętym działaniami wojennymi. Nawet jeśli te go zaskoczyły w miejscu uchodzącym dotąd za bezpieczne. Są jednak także ubezpieczyciele, którzy stosują korzystniejsze rozwiązania dla turystów. Polisy są ważne jeszcze przez kilka dni (najczęściej siedem) po wybuchu wojny. To czas, w którym podróżny powinien opuścić niebezpieczne terytorium.

– *Kupując ubezpieczenie, warto sprawdzić, czy zawiera ono taką klauzulę, dającą dodatkową ochronę. Trzeba jednak pamiętać, że nie wolno nam aktywnie uczestniczyć w zamieszkach czy działaniach wojennych. Kto w tym czasie chce dalej zwiedzać albo przebywać w ryzykownych miejscach, ten nie może liczyć na zwrot kosztów leczenia, jeśli spotka go coś złego. Ubezpieczyciele wymagają, aby w miarę możliwości zadbać o własne bezpieczeństwo* – podkreśla Grzegorz Demczyszak, ekspert portalu ubezpieczeniowego rankomat.pl.

Dziś wiele osób, które mają wkrótce zaplanowane wyjazdy w miejsca ogarnięte działaniami wojennymi, zastanawia się, czy dojdą one do skutku. Czekają na decyzje biur podróży, a te z kolei czekają na decyzje rządowe. Chodzi oczywiście o pieniądze. Wszystkie wyjazdy do krajów Półwyspu Arabskiego zostały odwołane najpierw do końca marca, a touroperatorzy mogą korzystać z Turystycznego Funduszu Pomocowego. Składają się na niego od pięciu lat wszyscy klienci biur podróży, płacąc składkę doliczaną do każdego wyjazdu (zazwyczaj to 15 zł od osoby). Dzięki temu w tym funduszu zgromadzono ponad 440 mln zł.

Teraz biura podróży mogą w jego ramach uzyskać dostęp do korzystnych pożyczek – przeznaczają je na zwrot ▶

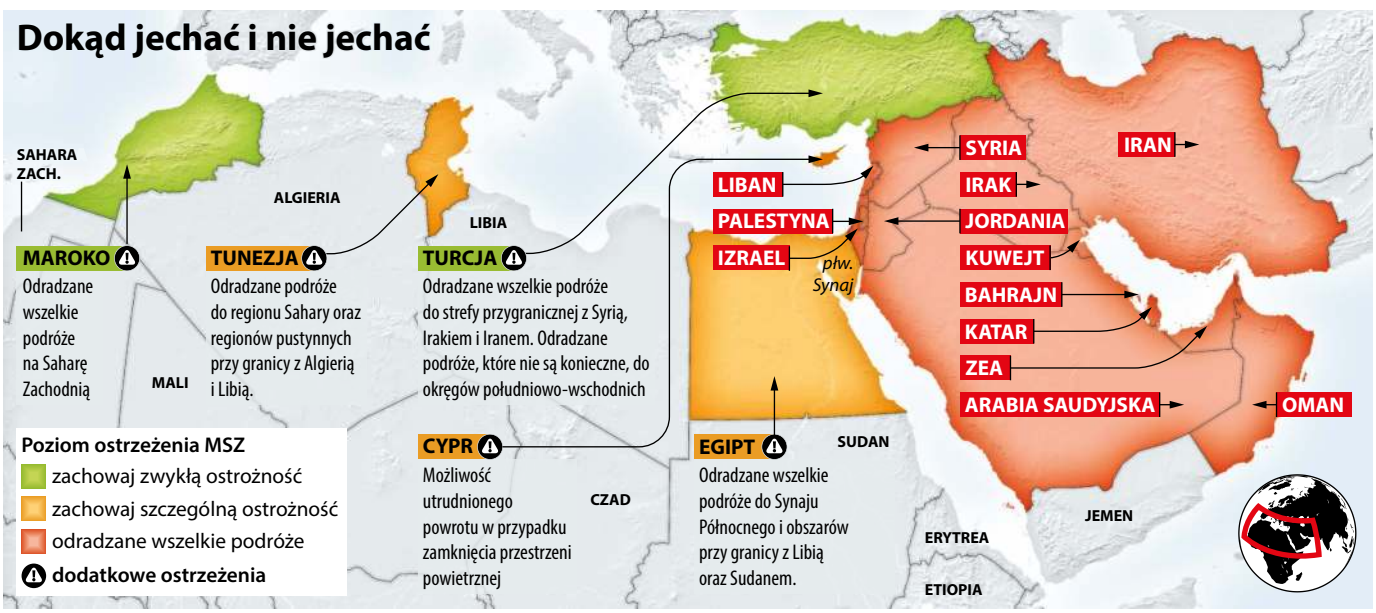

Źródło: MSZ

© FADEL SENNA/AFP/EAST NEWS, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ pieniędzy klientom, których wycieczki zostały odwołane lub przerwane. Dzięki temu touroperatorzy mają uniknąć kłopotów z płynnością, które mogłyby zaszkodzić innym klientom – tym, których wyjazdy odbywają się normalnie. Wniosek do tego funduszu muszą złożyć równocześnie poszkodowany turysta oraz biuro podróży, w którym miał wykupioną wycieczkę. Na razie klienci wystąpili o zwrot łącznie 47 mln zł. Z funduszu nie można skorzystać, jeśli osobno zarezerwowało się bilety lotnicze i noclegi.

Niebezpieczeństwa podróżniczych ubezpieczeń

Dostęp do Turystycznego Funduszu Pomocowego jest mocno limitowany. Biura podróży czekają z odwoływaniem wyjazdów zaplanowanych w kolejnych miesiącach, bo nie wiedzą, czy w ich przypadku też będą mogły skorzystać z tej pożyczki. Klienci zaś żyją w niepewności. Gdy sami odwołają takie wakacje, stracą wpłacone zaliczki albo nawet całą kwotę (lub jej większość), jeśli już ją przelali. Najpierw z Turystycznego Funduszu Pomocowego można było korzystać tylko w przypadku wycieczek do krajów Bliskiego Wschodu zaplanowanych do 27 marca. Potem ten termin rząd przedłużył o miesiąc. Jednak zrobiono to dopiero w ubiegłym tygodniu. Chyba nie tak powinien funkcjonować fundusz, który w założeniu ma uspokajać zarówno biura podróży, jak i ich klientów. Zwłaszcza że nic nie wskazuje na to, aby wojna irańska, która rozlała się na cały region, zbliżała się do końca.

Mimo to niektóre biura podróży oferowały pod koniec marca wyjazdy do Omanu (i to na początek kwietnia), który co prawda nie jest tak zagrożony jak sąsiednie Emiraty Arabskie, ale również był atakowany przez Iran. Z powodu braku bezpośrednich lotów do Polski touroperatorzy proponowali podróż z Berlina liniami tureckimi z przesiadką w Stambule. Ostro zareagowało Ministerstwo Spraw Zagranicznych, podkreślając, że Oman objęty jest wciąż najwyższym poziomem ostrzeżeń.

W trudnej sytuacji znaleźli się też podróżujący do krajów, które nie zostały wciągnięte w nowy konflikt, ale graniczą z państwami objętymi działaniami wojennymi. Chodzi przede wszystkim o Turcję sąsiadującą z Iranem i Egipt graniczący z Izraelem. Część turystów najchętniej zrezygnowałaby z zarezerwowanych wcześniej wycieczek do tych miejsc. Jednak biura podróży są bezwzględne. Argumentują, że skoro Turcja i Egipt nie zostały objęte najwyższym poziomem ostrzeżeń MSZ, nie można anulować wyjazdu bez ponoszenia dodatkowych kosztów.

Klientom nie pomagają również polskie przepisy. W ustawie o organizacji imprez turystycznych znajduje się co prawda zapis, zgodnie z którym można zrezygnować z wyjazdu „w przypadku wystąpienia nieuniknionych i nadzwyczajnych okoliczności występujących w miejscu docelowym lub jego najbliższym sąsiedztwie, które mają znaczący wpływ na realizację imprezy turystycznej lub przewóz podróżnych do miejsca docelowego". Tłumacząc ten zapis na normalny język polski, trzeba by ustalić, co znaczy najbliższe sąsiedztwo. Dla biur podróży to co najwyżej regiony bezpośrednio graniczące z krajem dotkniętym wojną. Kurorty egipskie nad Morzem Czerwonym czy tureckie nad Morzem Śródziemnym nie są za takie uważane, więc klientom, którzy chcieliby zrezygnować z wyjazdów do Turcji czy Egiptu, pozostaje walka z biurami podróży przed sądem.

Problemu nie rozwiązują też raczej ubezpieczenia od rezygnacji z wycieczek, które wielu klientów wykupuje razem z wyjazdami. Dotyczą one wielu sytuacji, jak choroba turysty czy jego bliskich, utrata pracy, a nawet wyznaczenie daty egzaminu poprawkowego. Jednak nie ma wśród tych okoliczności obawy przed wyjazdem z powodu toczącego się w regionie konfliktu zbrojnego. Niektórzy boją się nawet nie tyle ataku na kraj, do którego jadą, ile kłopotów z powrotem, na przykład po zamknięciu przestrzeni powietrznej (do czego wystarczy nawet jeden wrogi dron nad lotniskiem). Taki scenariusz opisuje nawet Ministerstwo Spraw Zagranicznych, radząc zachować ostrożność w przypadku podróży na Cypr po tym, jak dron zaatakował tamtejszą brytyjską bazę wojskową. Skoro jednak Cypr nie został objęty jednym z dwóch najwyższych poziomów ostrzeżeń, klienci z wykupionymi wycieczkami nie mogą zrezygnować z podróży i uzyskać zwrotu wszystkich kosztów. Nawet ubezpieczenie od rezygnacji im nie pomoże.

Rachunek za bombardowaną Zatokę

Nic dziwnego, że Polacy reagują na ostatnie wydarzenia i zmieniają swoje plany na ten rok. – *Ogólna liczba nowych rezerwacji pozostaje stabilna, ale obserwujemy większe zainteresowanie zachodnią częścią Morza Śródziemnego. Więcej klientów wybiera Włochy, Maltę, Chorwację, Hiszpanię, a nawet Maroko kosztem Egiptu czy Turcji. Widzimy również wzrost rezerwacji na lato z dojazdem własnym, na przykład do Włoch i Bułgarii. Mamy także rosnące zainteresowanie wczasami w Polsce* – mówi Maciej Nykiel, prezes biura podróży Nekera.

Chociaż Egipt i Turcja chwilowo tracą na znaczeniu, wciąż pozostają kluczowe dla naszej branży turystycznej. Turcję odwiedziło w ubiegłym roku prawie dwa miliony Polaków, a Egipt około miliona. Gdyby trzeba było odwołać wyjazdy do tych krajów, wiele biur podróży mogłoby znaleźć się w poważnych tarapatach. To dlatego tak twardo przekonują, że te kraje są bezpieczne, a rezygnacja z wykupionych wycieczek bez potrąceń lub utraty całej kwoty nie wchodzi w grę.

Jakby mało było kłopotów związanych z bezpieczeństwem i rakietami czy dronami, latającymi nad miejscami uchodzącymi do niedawna za turystyczne raje, biura podróży i linie lotnicze mają jeszcze jeden problem. To droga ropa, która przekłada się na eksplozję cen paliwa lotniczego. Od wybuchu wojny podrożało ono mniej więcej dwukrotnie, a jeśli blokada cieśniny Ormuz potrwa dłużej, może go zacząć brakować. Także w Europie, bo znaczna część tego paliwa jest importowana z Kuwejtu. Klienci już się zastanawiają, czy wykupione wycieczki podrożeją. Polskie przepisy pozwalają na to, jeśli biuro podróży zastrzegło w umowie taką możliwość. Muszą jednak wystąpić ściśle określone w ustawie powody – jeden z nich dotyczy właśnie zmiany kosztów paliwa. Inne to podwyżki podatków i zmiany kursów walut.

Maksymalna dopłata nie może przekroczyć 8 proc. całkowitej ceny wycieczki. Gdyby była wyższa, klient ma prawo zrezygnować z wyjazdu i uzyskać zwrot wszystkich wpłaconych środków. To oczywiście marne pocieszenie dla tych, którzy w ten sposób straciliby zaplanowane wakacje. Jedno jest pewne: w tym roku za wyjazdy do miejsc uznawanych za bezpieczne zapłacimy więcej. I to nie tylko z powodu droższej ropy. Dopłata za święty spokój to dobry sposób dla branży turystycznej, by zrekompensować sobie ostatnie straty. A wysokości takiego ukrytego podatku od bezpieczeństwa żadne przepisy nie ograniczają.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 7cd57e2719

Dach bez głowy

Czy w ciągu 10 lat problem braku mieszkań rozwiąże się sam? Będzie nas o 4 mln mniej, zwolni się co najmniej 2 mln lokali, czyli tyle, ile brakuje. Taka prosta statystyka prowadzi jednak na manowce.

JOANNA SOLSKA

ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

Demografia kryzysu nie rozwiąże. Seniorzy opuszczają lokale nie tam, gdzie chcielibyśmy mieszkać, i nie takie, w których chcielibyśmy mieszkać. Najszybciej wyludniają się małe miasta, rekordzistami są Władysławowo, Hel i Jastarnia, które straciły już jedną trzecią mieszkańców. Młodzi nie chcą mieszkać w Wałbrzychu, Zabrzu, a nawet w Katowicach, nie mówiąc o Częstochowie, w której liczba mieszkańców stopniała o 18 proc. Skurczyła się liczba ludności w 61 z 66 powiatów, najbardziej w tych źle skomunikowanych z dużymi miastami, niedających perspektyw na dobrą pracę. Trwa wielka ucieczka z powiatu krasnostawskiego i hrubieszowskiego, a także z Podlasia, ale nadal przyciąga Rzeszów.

Z dużych miast najszybciej ubywa młodych w Łodzi, w ciągu ostatnich 20 lat liczba mieszkańców zmalała aż o 130 tys. osób, z 785 tys. do zaledwie 665 tys. Nie są w stanie ich zatrzymać nawet dużo niższe niż w pobliskiej stolicy ceny mieszkań. Podczas gdy w Warszawie przeciętna cena metra kwadratowego wynosi aż 19,5 tys. zł, w Łodzi jest niższa o 8 tys. zł, a nowe lokum można kupić od ręki. Brakuje chętnych. Domy stare, bez wygód, są sukcesywnie wyburzane. Stare mieszkania, a zwłaszcza domy, nie zawsze znajdują nowych właścicieli czy lokatorów. Często po prostu niszczeją, gdy rozrzuceni po świecie krewni uznają, że postępowanie spadkowe byłoby bardziej kosztowne niż ewentualny zysk ze sprzedaży.

Wymieranie, wyniszczanie

Brak atrakcyjności okolicy i miejsca, gdzie stoją opuszczone domy, zwiększa nieatrakcyjność samych budynków. – *Niszczeją te najstarsze, o niskim standardzie, niedogrzane, często zawilgocone, a takich jest bardzo dużo* – twierdzi Marek Wielgo z portalu gethome.pl. Przecież ok. 1,2 mln mieszkań znajduje się w budynkach zbudowanych przed 1918 r., a drugie tyle powstało w dwudziestoleciu międzywojennym, większość z nich to „wampiry energetyczne", nie sposób ich ogrzać, nie trzymają ciepła. Są za mało warte, żeby opłacało się je remontować. Spadkobiercom, jeśli wiadomo, gdzie się znajdują, nie opłaci się ich nawet zburzyć.

Włosi już sprzedawali domy po jedno euro, wyludniła się była NRD, teraz my. Podobny problem ma Finlandia, kraje nadbałtyckie, Rumunia i Grecja. Europa ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ się starzeje, wymiera. W Polsce w ubiegłym roku zmarło 407 tys. osób, na świat przyszło zaledwie 240 tys.

Większość kraju się wyludnia, ale prof. Przemysław Śleszyński z Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN twierdzi, że szybko rozrasta się „wielka piątka", czyli aglomeracje: Warszawa, Kraków, Wrocław, Gdańsk i Poznań. Tam mieszkań brakuje coraz bardziej. To wiadomość pewna, ale także nieprecyzyjna. Według metropolie.pl w ostatnich latach liczba mieszkańców stolicy wzrosła o 4 proc., ale w gminach podmiejskich, gdzie mieszka się taniej, aż o 10 proc. Dane należy traktować z dystansem, bo GUS liczy mieszkańców „po meldunkach", czyli w miejscach, gdzie są zameldowani.

Nie wiadomo, ile osób pracujących w metropoliach gnieździ się po kilka w wynajmowanych mieszkaniach, których właściciel boi się je zameldować. Meldunek wprawdzie nie daje żadnych praw do mieszkania, ale pozbyć się lokatora niepłacącego czynszu nie sposób. Można wprawdzie zwrócić się do sądu o wyrok eksmisji, ale na jego wykonanie trudno liczyć. Gmina musiałaby znaleźć mieszkanie zastępcze. Warunki mieszkaniowe osób wynajmujących lokum bez żadnej umowy pozostają nieznane. Ogłoszenia w stołecznej komunikacji namawiają „słoiki", aby przynajmniej płaciły podatki tu, gdzie pracują.

W „wielkiej piątce" deficyt mieszkań jest największy, a ceny najwyższe. Także dlatego, że zaczynają się do nas przeprowadzać obcokrajowcy – mają wobec Polski poważne zamiary, kupują mieszkania, raczej te o wyższym standardzie. Najwięcej w nieruchomościach ulokowali Ukraińcy, potem Niemcy, Białorusini i Brytyjczycy. Na razie jest ich niewielu, GetHome szacuje, że ledwie 1 proc., podczas gdy na Węgrzech dwa razy tyle, a w Niemczech 12 proc.

Ile mamy mieszkań?

Tego też nie wiemy. Wątpliwości budzą wszystkie dane. Nawet liczba 16 mln mieszkań i domów, które stanowią nasz zasób mieszkaniowy, jest niezupełnie prawdziwa. A przecież domy to nie zające, da się je policzyć. Zdaniem Hanny Milewskiej-Wilk z Instytutu Rozwoju Miast i Regionów – niekoniecznie. Wille w centralnych dzielnicach wielkich miast, zwłaszcza w Warszawie, często zostały wynajęte na biura notarialne, projektowe czy kancelarie prawne lub podatkowe i dawno przestały służyć do mieszkania. Zwłaszcza te położone w okolicach ważnych urzędów, jak okolice Frascati, tuż przy Sejmie, gdzie kiedyś mieszkał m.in. Władysław Gomułka, czy w Alei Róż, tuż obok kancelarii premiera, skąd musiała się wyprowadzić aktorka Nina Andrycz, żona Józefa Cyrankiewicza, która nie skorzystała z możliwości wykupienia atrakcyjnego lokalu i została z niego wykwaterowana. W GUS te lokale w willach i kamienicach figurują ciągle jako mieszkania. Zasób mieszkaniowy pomniejszają też lokale na Starówce i w wielu miejscowościach turystycznych, z których właściciele się wyprowadzili, a poprzednie lokum przeznaczyli na krótki wynajem, nie zawsze rejestrując działalność gospodarczą. Lokale pełnią funkcję hotelu, ale nadal figurują w zasobie mieszkaniowym.

Czasem mieszkań może też być więcej, niż wynika z danych. Na przykład w domach jednorodzinnych, które w czasie remontu powiększono o drugie mieszkanie, ale w statystykach nadal figurują jako lokum dla jednej rodziny. Czyli tak naprawdę nie wiemy, ile mamy lokali mieszkalnych, bo liczba 16 mln nie odzwierciedla rzeczywistości. Nieprawdziwych liczb jest w statystyce dużo więcej.

Na przykład ta, że ponad 37 proc. mieszkań w Polsce jest przeludnionych. Tak popularne u nas kawalerki, z osobną widną kuchnią, z łazienką, przez Eurostat uznawane są za lokale przeludnione nawet wtedy, gdy mieszka w nich jedna osoba. Kawalerek mamy w kraju ok. 900 tys. Według kryteriów unijnych mieszkanie nieprzeludnione jest wtedy, gdy każda osoba do własnej dyspozycji ma co najmniej jeden pokój, oprócz sypialni. Nie liczy się bowiem ani kuchnia, ani salon, które do spania służyć nie powinny. Przy takich kryteriach, jakie stosuje europejski urząd statystyczny, ponad 37 proc. mieszkań w naszym kraju jest przeludnionych, co zdawałoby się świadczyć o naszym ubóstwie. Średnia unijna jest bowiem ponaddwukrotnie niższa.

Rodzimy GUS zachował jednak suwerenność i stosuje własne kryteria, a nawet nazewnictwo. Za przeludniony uznaje lokal, w którym na jedną izbę przypada więcej niż półtorej osoby. W jednopokojowej kawalerce z kuchnią, czyli dwóch izbach, śmiało może się ulokować para lokatorów. A jeśli jedyny pokój przedzielimy przepierzeniem i zrobimy z niego dwa, bez obawy przeludnienia można się starać o dziecko. Pod warunkiem, że każda izba ma okno i powierzchnię niemniejszą niż 8 m kw. Przy takich kryteriach pełnowartościowa może być nawet patokawalerka.

Biedni czy bogaci?

Z innych danych wynika, że jednak nam się poprawiło, czyli rozluźniło, jedna osoba w polskich mieszkaniach ma już przeciętnie do dyspozycji ponad 30 m kw. powierzchni. Celem polityki mieszkaniowej naszego państwa, kiedy jeszcze jakąś politykę miało, było osiągnięcie stanu, gdy na tysiąc mieszkańców będzie przypadać co najmniej 450 mieszkań i domów. Zbliżyliśmy się do tego celu – w miastach mamy już 487 mieszkań. I znów kłopot. Nie wiemy przecież, ile osób czy rodzin ma więcej niż jedno mieszkanie, nie mamy nawet danych o liczbie tzw. letnich domów, w których przez większą część roku nikt nie przebywa. Państwo nie jest tego ciekawe. Niedawno przypadkiem wyszło na jaw, że dodatki na zakup węgla otrzymywały osoby nielegalnie mieszkające na terenie ogródków działkowych. Zgłosiły się, to dostały. Domki na działkach do mieszkań się nie zaliczają.

Mieszkańców Polski szybko ubywa, ale liczba gospodarstw domowych ciągle rośnie, mamy ich już 15,3 mln i w najbliższych latach będzie ich jeszcze więcej. Przybywa bowiem gospodarstw jednoosobowych, nie tylko seniorów, w których jeden z partnerów już odszedł, ale także singli. GUS wyliczył, że już 25 proc. gospodarstw stanowi jedna osoba, a do 2050 r. takich gospodarstw będzie nawet 33 proc. Młodzi ludzie coraz częściej chcą być ze sobą, tworzyć związek, ale mieszkać oddzielnie. Każdy u siebie.

Patrząc na dane, można wyciągnąć wniosek, że Polacy są bogatsi od Francuzów, a nawet Niemców, biedni przecież mieszkań nie kupują, a my jak najbardziej. W Polsce aż 87 proc. gospodarstw domowych mieszka na swoim, w lokalu zarządzanym przez wspólnotę, spółdzielnię albo wręcz domu jednorodzinnym. Zaledwie 11,2 proc. stanowią mieszkania komunalne, a śladowe 1,7 proc. Towarzystw Budownictwa Społecznego.

Dla Europejczyków ze starej Unii posiadanie własnego domu jest dowodem zamożności. Z danych Polskiego Instytutu Ekonomicznego wynika, że „na swoim"

eprasa.pl 7cd57e2719

mieszka niecałe 58 proc. Francuzów, a Niemcom to właściwie moglibyśmy współczuć, akt własności na mieszkanie lub dom posiada zaledwie 47 proc. gospodarstw, ponad 52 proc. lokum wynajmuje. W UE osób żyjących w wynajmowanych mieszkaniach jest prawie 31 proc.

Polacy, a w każdym razie ci, których statystyka obejmuje, najmu nie lubią. Na taką formę użytkowania mieszkania decyduje się zaledwie 12,7 proc. Z badań Habitat for Humanity Poland, pokazujących warunki mieszkaniowe w 2025 r., wynika, że raty kredytu hipotecznego niewiele różnią się od rynkowej ceny wynajmowanych mieszkań. Stąd ten ciąg na własne. Warto więc dodać, że niemieckie czynsze są regulowane przez państwo, a dziki najem nie istnieje. Coś się nam w tej statystyce przestaje podobać dopiero, gdy dowiadujemy się, że w Rumunii aż 94 proc. tamtejszych mieszkań i domów jest własnością prywatną. O tym, w jakich warunkach żyją rumuńscy „kamienicznicy", statystyki już nie mówią.

Miarą zamożności może być też rozrzutność; w tej materii trudno nas przegonić. Kiedy po spisie powszechnym okazało się, że w Polsce jest aż 1,8 mln pustostanów, w kraju zawrzało. Gdyby te lokale wyremontować, nie trzeba by czekać, aż kryzys mieszkaniowy rozwiąże demografia. Zwłaszcza że – jak się okazało – najwięcej pustych lokali jest w największych miastach, czyli tam, gdzie najbardziej mieszkań brakuje.

Hanna Wilk-Milewska wylicza, że dużo ich jest w Warszawie na Pradze, w Łodzi i w innych miastach ze starą substancją mieszkaniową. Nawet tam, gdzie miasto stare budynki wyburza i rewitalizuje całe dzielnice. To szansa dla lokatorów, bo dostają inne lokum, zwykle o wyższym standardzie. Niektórzy nie chcą się jednak wyprowadzić. Wygodniej jest mieć ciepłą wodę w kranie, łazienkę w domu zamiast na półpiętrze albo nawet na podwórku i centralne ogrzewanie zamiast starego „kopciucha", ale czynsz w takim mieszkaniu także jest sporo wyższy, nie wszyscy są w stanie go płacić, więc odmawiają wyprowadzki. Nawet gdy w dużej kamienicy, z której prawie wszyscy się wyprowadzili, zostanie jeden lokator, miasto musi mu zapewnić bieżącą wodę i prąd przez 10 lat. Opróżnione przez pozostałych lokatorów mieszkania trafiają do rejestru pustostanów, a remont rozpocznie się wtedy, gdy problem rozwiąże demografia. Samorządy mają alibi.

Kiedy po spisie powszechnym okazało się, że w Polsce jest aż 1,8 mln pustostanów, w kraju zawrzało.

Katarzyna Kuniewicz, dyrektorka badań rynku portalu Otodom, wyliczyła, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat w Polsce deweloperzy sprzedawali rocznie ok. 130 tys. mieszkań, rodziny we własnym zakresie budowały kolejne 70 tys., natomiast mieszkań komunalnych, spółdzielczych, SIM-ów (Społeczne Inicjatywy Mieszkaniowe) i TBS-ów (Towarzystw Budownictwa Społecznego) razem wziętych – powstało zaledwie 5,4 tys. lokali. Wynika z tego, że wiele rodzin niezamożnych własnego dachu nad głową nie doczeka się nigdy.

Ludzie z luki

Skoro nie wiemy, jak naprawdę mieszkamy, to jak policzyć, ilu mieszkań brakuje? Nie zrobią tego deweloperzy, bo ich interesuje tylko nasza siła nabywcza, a dokładnie – zdolność kredytowa. Kiedy stopy procentowe są wysokie i banki mniej chętnie udzielają kredytów hipotecznych, firmy deweloperskie rozpoczynają mniej budów, żeby nie psuć sobie rynku.

Deficytu mieszkaniowego nie wyliczy też żaden państwowy instytut, coś na kształt Instytutu Mieszkaniowego, który już dawno został skasowany. Badania, za unijne pieniądze, robi dopiero Instytut Rozwoju Miast i Regionów wspólnie z Krajowym Zasobem Mieszkaniowym. Na razie mamy tylko raport Habitat for Humanity Poland, w którym pojawia się pojęcie „ludzi z luki czynszowej". Chodzi o dorosłych, którzy za mało zarabiają, aby otrzymać kredyt hipoteczny lub wynająć mieszkanie na rynku prywatnym, ale za dużo, żeby móc się ubiegać o mieszkanie socjalne lub komunalne. Według raportu takich osób bez szans na samodzielne lokum jest aż 27 proc. Portal Otodom szacuje, że może ich być 4 mln. Z raportu wynika, że tylko 32 proc. badanych nie ma problemów mieszkaniowych.

Żeby rozwiązać problem, nie wystarczy dać gminom pieniądze na budowę mieszkań komunalnych. Trzeba najpierw zmienić prawo. GUS podaje, że prawie połowa lokatorów mieszkań gminnych nie płaci czynszu i że nie ma to związku z ich sytuacją finansową. Zaległości przekroczyły już 4,5 mld zł. Przepisy uniemożliwiają samorządom ich wyegzekwowanie, a po trzech latach zaległości mogą zostać umorzone. Czyli kryzysu mieszkaniowego nie rozwiążemy nigdy.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 7cd57e2719

Podatek od nieufności

Firmy rezygnują z wielu transakcji, bo boją się nieuczciwych partnerów. To niepokojące zjawisko przybiera na sile, a straty z jego powodu podwoiły się w ciągu ostatniej dekady.

© ANDRII YALANSKYI/SHUTTERSTOCK

Ten podatek formalnie nie istnieje, ale w rzeczywistości kosztuje polską gospodarkę prawie bilion złotych rocznie. Nasze firmy z powodu obaw przed nieuczciwymi kontrahentami rezygnują z transakcji, które mogłyby im przynieść konkretne zyski. Raport „Kapitał społeczny i zaufanie w polskim biznesie 2025" (opracowany przez naukowców z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, pod kierunkiem prof. Jana Fazlagicia, przy udziale ekspertów Rzetelnej Firmy) przedstawia pesymistyczny obraz: aż 85 proc. uczestników badania przyznaje, że należy stale uważać, by nie zostać oszukanym.

Zjawisko braku zaufania ma konkretny wymiar ekonomiczny. Mniejsza skłonność do współpracy między firmami oznacza mniejszą liczbę zawieranych umów. To z kolei ogranicza zyski i hamuje inwestycje. To dlatego autorzy raportu mówią o ukrytym „podatku od nieufności", który obciąża zarówno sektor prywatny, jak i publiczny. W pierwszej edycji raportu z 2015 r. eksperci szacowali, że brak zaufania w polskim biznesie kosztuje gospodarkę ok. 281 mld zł rocznie (wówczas było to 13 proc. PKB). Obecnie ta kwota odpowiadałaby – po uwzględnieniu inflacji – 514 mld zł, jednak najnowsze wyliczenia pokazują, że faktyczne straty wynoszą już 974 mld zł (to aż 27 proc. polskiego PKB). Oznacza to, że realna wartość „podatku od nieufności" zwiększyła się w ciągu ostatniej dekady prawie dwukrotnie. – *Niemal połowa firm przyznaje, że rezygnuje z transakcji właśnie z powodu niepewności co do rzetelności kontrahenta. Efekt to nie tylko zamrożone umowy, lecz także spowolnione tempo wzrostu całej gospodarki* – podkreśla Adam Łącki, prezes zarządu Krajowego Rejestru Długów.

Aż 67 proc. uczestników badania z 2025 r. przyznaje, że trzeba nieustannie gromadzić dowody swojej uczciwości. To pokazuje presję na dokumentowanie, weryfikowanie i formalizowanie każdej relacji biznesowej. Niegdyś zaufanie opierało się głównie na relacjach osobistych i intuicji. Teraz trzeba je budować poprzez wsparcie ze strony instytucji, certyfikatów czy baz danych. Koszt i poziom skomplikowania procedur sprawiają, że zwłaszcza mniejsze firmy mają ograniczone możliwości ochrony przed ryzykiem. Brak zaufania działa jak mechanizm domina. Gdy jedna firma wstrzymuje podpisanie umowy, inne reagują podobnie, traktując to jako sygnał ostrzegawczy. Taka atmosfera powoduje, że inwestycje są odkładane na później, a innowacje wstrzymywane.

Ponad połowa z firm rezygnuje z zarobku nie z powodu nieopłacalności, lecz na skutek braku zaufania do drugiej strony. To z kolei prowadzi do izolacjonizmu – niemal połowa firm deklaruje, że współpracuje wyłącznie ze sprawdzonymi kontrahentami. Taka postawa ogranicza możliwość rozwoju i utrudnia wejście na rynek nowym podmiotom.

Z drugiej strony przedsiębiorcy mają niewielkie możliwości budowania swojej wiarygodności. Jakie zmiany są potrzebne? Przede wszystkim wzmocnienie roli biur informacji gospodarczej (BIG) jako instytucji zaufania publicznego, zdolnych do integracji i analizy rozproszonych danych. Wielu przedsiębiorców podkreśla, że samodzielne wyszukiwanie danych w wielu rejestrach i bazach jest czasochłonne i kosztowne. Prawie dwie trzecie firm z sektora MŚP (małych i średnich przedsiębiorstw) chciałoby mieć możliwość pobierania niezależnych i wiarygodnych danych o ocenie finansowej kontrahenta – zarówno firmy, jak i konsumenta. Ponad połowa respondentów wyraziła chęć otrzymywania od BIG raportów zawierających kompleksowe i rzetelne dane.

Dobrym wyjściem byłoby rozwiązanie umożliwiające przedsiębiorcom ocenę kontrahenta z uwzględnieniem zintegrowanych danych z różnych źródeł, wraz z kompleksową analizą wiarygodności płatniczej. Do tego konieczne jest rozszerzenie katalogu rejestrów, do których mają dostęp BIG, oraz ustawowe zniesienie limitów w pobieraniu danych. Pomogłoby też wprowadzenie możliwości analitycznego łączenia danych o firmach z danymi właścicieli jednoosobowych działalności gospodarczych, przy zachowaniu zasad ochrony danych osobowych. Do budowania pozytywnego wizerunku małych i średnich przedsiębiorstw niezbędne jest wprowadzenie zasady, aby każda firma, która terminowo reguluje swoje faktury, mogła przekazywać takie informacje do BIG bez konieczności uzyskania zgody kontrahenta.

Cezary Kowanda

eprasa.pl 7cd57e2719

Ryzyko w biznesie ma kod pocztowy

Co 10. firma w Polsce ma długi – podaje Krajowy Rejestr Długów. Łącznie to 11,6 mld zł. Adres firmy nie przesądza o jej wiarygodności, ale może wiele powiedzieć o skali ryzyka. Najnowszy Wskaźnik Rzetelności Przedsiębiorców pokazuje, że zatory płatnicze w Polsce mają wyraźnie wymiar regionalny.

Im wyższa wartość Wskaźnika Rzetelności Przedsiębiorców, tym wyższe miejsce województwa w rankingu – liczby na mapie pokazują liczbę punktów decydujących o pozycji regionu.

Przez lata firmy oceniały kontrahentów głównie przez pryzmat branży, wielkości biznesu czy dotychczasowej współpracy. Jednak przy podejmowaniu decyzji handlowych warto brać pod uwagę jeszcze jedną kwestię: miejsce prowadzenia działalności. Z najnowszego Wskaźnika Rzetelności Przedsiębiorców, opracowanego przez Rzetelną Firmę i KRD, wynika, że na Śląsku nieuregulowane zobowiązania ma 10,7 proc. firm, podczas gdy w Podkarpackiem 6,5 proc. Do województw z najniższym odsetkiem firm z zaległościami należą również: Małopolska – 6,7 proc., Podlasie – 7 proc. i Świętokrzyskie – 7,1 proc. W Mazowieckiem średnia kwota zaległości przypadająca na jednego dłużnika wynosi ok. 50 tys. zł i jest najwyższa w kraju.

Klient podwyższonego ryzyka

To nie jest tylko ciekawostka statystyczna. Dla przedsiębiorców oznacza, że sprzedaż, zasady przyznawania limitów kupieckich czy długość terminów płatności powinny być oparte nie na intuicji, lecz na twardych danych.

– *Wskaźnik nie polega na prostym policzeniu, ile firm w danym regionie ma długi. Bierze pod uwagę także średnią wartość zaległości przypadających na jednego dłużnika oraz poziom zaległości w przeliczeniu na 1000 aktywnych przedsiębiorstw. To ważne, bo o ryzyku decyduje nie tylko liczba niesolidnych płatników, ale też skala ich zobowiązań. Inaczej wygląda ono tam, gdzie zaległości są rozproszone i relatywnie niewielkie, a inaczej tam, gdzie pojedynczy kontrahenci zostawiają po sobie wysokie nieuregulowane kwoty* – mówi **Adam Łącki, prezes Zarządu Krajowego Rejestru Długów Biura Informacji Gospodarczej**.

Dla firm to jasny sygnał, że wzrost sprzedaży powinien iść w parze z dokładniejszą oceną partnerów biznesowych. W praktyce oznacza to znacznie staranniejszą selekcję kontrahentów jeszcze przed podpisaniem umowy. Coraz większe znaczenie zyskuje analiza wiarygodności płatniczej KRD, która pozwala sprawdzić, z jakim partnerem firma ma do czynienia i czy współpraca z nim nie wiąże się z podwyższonym ryzykiem. Równie ważne jest sprawdzanie potencjalnych klientów w KRD przed rozpoczęciem współpracy, zwłaszcza gdy grę wchodzi sprzedaż z odroczonym terminem płatności. Takie działania do niedawna bywały traktowane jako nadmierna ostrożność. Dziś stają się standardem w zarządzaniu ryzykiem.

Ufaj, ale sprawdzaj

Jednak sytuacja płatnicza kontrahenta może się zmienić, dlatego firmy coraz częściej sięgają także po monitorowanie obecnych klientów. To rozwiązanie pozwala szybciej wychwycić pogorszenie kondycji płatniczej partnera i zareagować, zanim nieopłacona faktura zacznie zagrażać płynności finansowej dostawcy.

Nawet najlepsza prewencja nie daje jednak pełnej gwarancji bezpieczeństwa. Z doświadczenia firmy windykacyjnej Kaczmarski Inkasso wynika, że jeśli klient nie płaci za towar lub usługę, najważniejszy jest czas reakcji i włączenie monitoringu należności. Pomaga on dyscyplinować klientów już na wczesnym etapie opóźnienia płatności. Gdy to nie wystarcza, kolejnym krokiem jest windykacja polubowna. Jak pokazuje praktyka Kaczmarski Inkasso, to rozwiązanie szczególnie doceniają firmy, które chcą odzyskać należność, ale bez pochopnego zrywania relacji z kontrahentem czy kierowania sprawy do sądu.

Regionalne różnice nie oznaczają oczywiście, że adres firmy automatycznie przesądza o jej rzetelności. Pokazują jednak, że ryzyko w biznesie ma dziś bardzo konkretny wymiar i że warto nim zarządzać bardziej precyzyjnie niż kiedyś.

Materiał przygotowany przez Krajowy Rejestr Długów.

eprasa.pl 7cd57e2719

Ilia Stanisławowicz Jełochin, ps. Vasques, były rosyjski żołnierz, wcielony przymusowo do oddziału Somali

Ja, dezerter

Rosjanina Ilię za to, że nie chciał wojować, rozebrali do gołego, przywiązali do drzewa i gwałcili pałką. Zrozumiał, że albo ucieknie, albo go wyzerują, czyli zabiją.

eprasa.pl 7cd57e2719

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKIY

Dezerterów z rosyjskiej armii liczy się w dziesiątkach tysięcy. Wywiad wojskowy Ukrainy rok temu opublikował 36 tys. nazwisk rosyjskich żołnierzy, wobec których toczą się sprawy karne związane z dezercją lub samowolnym opuszczeniem oddziału. Podobne listy wyciekają z rosyjskich okręgów wojskowych i dużych jednostek. Stworzone na tej podstawie szacunki mówią o blisko 50 tys. dezerterów. Ilia Stanisławowicz Jełochin jest jednym z nich.

Samowolka

Kiedy wybuchła wojna, miał 31 lat. Mieszkał na Uralu, w 60-tysięcznym Kungurze. Nauczyciel nauczania początkowego, a po godzinach człowiek artystyczny: model, tancerz, autor piosenek w stylu rap. Jedna z nich była sprzeciwem wobec wojny: „Niech będzie przeklęta wojna, każdy, kto ją zaczął, niech będzie przeklęty Putin". Takich władze najbardziej lubiły posyłać w okopy. Być może dlatego już we wrześniu 2022 r. dostał wezwanie. Uważał jednak, że jest bezpieczny, bo miał zaświadczenia, że nie nadaje się do wojska: astma i choroba nerek.

Mimo to oficerowie z komisji uzupełnień przyjeżdżali do domu rodziców, gdzie nie mieszkał, ale był zameldowany. Ojciec był za tym, by Ilia sam się zgłosił: „Musisz, synku, bronić ojczyzny!". Ale Ilia żył jak dawniej, ożenił się nawet z przypadkowo poznaną, starszą o 18 lat Eleną.

Ilia mówi, że między nimi zaiskrzyło, ale przyznaje, że był też inny motyw: – *Chciałem w końcu mieć żonę, bo w mieście już o mnie gadali. Małżeństwo to było alibi, dowód mojej „normalności".*

Okazało się, że Elena też była za tym, by Ilia poszedł służyć. „Do szturmów cię nie wezmą, a pieniądze nam się przydadzą" – przekonywała. Ale on ciągle nie chciał.

Ilia: – *To było niedługo po ślubie. Wojskowi przyjechali do szkoły. Zakuli mnie w kajdanki przy uczniach. Wyjaśnili mi moje położenie: jestem już na stanie oddziału i liczy mi się samowolne oddalenie z jednostki. Jeszcze chwila i oskarżą mnie o dezercję, a za to idzie się siedzieć.*

Somali

Ilię i resztę zmobilizowanych powieźli do Jekaterynburga. A potem wojskowym samolotem do Rostowa nad Donem: – *Było nas z Uralu 78 chłopaków. Zaraz poszedłem do oficera z napisanym ręcznie raportem o stanie zdrowia i o tym, że przywieziono mnie tu bezprawnie.*

– I co powiedział oficer?

– *„Spieprzaj, debilu". Chcieli mi dać mundur i plecak, ale powiedziałem, że nie biorę. Obrywało się za to pałką, a ci, którzy się miotali, dostawali zastrzyki uspokajające. W końcu wszyscy zostaliśmy wsadzeni do autobusów i odprawieni do oddziałów frontowych. Ja trafiłem pod Nowoazowsk w obwodzie donieckim, do oddziału Somali.*

Za Somali ciągnęła się zła legenda. Ten ochotniczy oddział powstał w 2014 r., w czasie rebelii separatystów w Donbasie. Ani dyscypliną, ani umundurowaniem nie przypominał armii. Podobno ktoś wówczas zażartował, że wyglądają jak somalijscy piraci – stąd nazwa. Jednym z dowódców Somali był Michaił Tołstych, ps. Givi, który w 2017 r. zginął w zamachu. Ukraińska prokuratura oskarżała go o torturowanie i mordowanie jeńców wojennych.

Zdjęcie

Sobotni poranek. Z Ilią łączymy się przez internet, nie możemy napisać, gdzie jest. Choć od ucieczki z armii minęło kilka miesięcy, ciągle nie udało mu się dotrzeć do bezpiecznego kraju. – *Na wojnie najpierw pozbywają się niewygodnych* – mówi, zaciągając się papierosem. – *Oni w pierwszej kolejności byli wysyłani na szturmy. Niektórzy zaraz pierwszego dnia po przyjeździe. Oficerowie nazywali ich dwuminutowcami, bo tyle średnio przeżywali.*

Ilia szczelniej okrywa się kocem. W wynajmowanym mieszkaniu ma zimno. Zmęczona twarz, czerwony nos, podkrążone oczy. Armia go zniszczyła, wypaliła ciało i duszę. Kiedyś, całkiem niedawno, Ilia był innym człowiekiem. Przesyła zdjęcie z lepszych czasów, kiedy robił karierę modela. Modne ciuchy, włosy pomalowane na dwa kolory: blond i kasztan. Te zdjęcia stały się jego przekleństwem.

– *Ciągle odmawiałem zakładania munduru. W oddziale oczywiście to się nie podobało: „Co tak bez munduru chodzisz? Pacyfista jakiś czy może pedał?". W końcu rozebrali mnie do naga, przywiązali do drzewa i bili, aż odbili nerki. Wyzywali od gejów...*

– Zgwałcili?

Ilia zamiera na chwilę, ale mówi: – *Trzeba powiedzieć prawdę. Zgwałcili mnie za pomocą pałki. To odbywa się tak, że oficer wydaje rozkaz. Podchodzą we czterech, unieruchamiają, biją i tak dalej. Na koniec grożą: „A piśnij komuś słowo, to cię wyzerujemy".*

– Próbował się pan ratować?

– *Zacząłem się podtruwać tabletkami. Trzeciego dnia wymiotowałem i byłem w takim stanie, że musieli mnie odesłać do szpitala. Mama przesłała mi modlitwy: „Odmawiaj je synku, inaczej nie mogę ci pomóc". Leżałem dwa tygodnie.*

– Po szpitalu wrócił pan do oddziału?

– *Tak. Nowych rano wywozili na poligon, zajęcia trwały aż do wieczora, ale ja nie chciałem wziąć broni do ręki. I to mnie uratowało, bo chyba wszyscy z grupy jeżdżącej na poligon zginęli.*

– A co się działo z panem?

– *Codziennie piekło: bili rękami, razili taserem, ogolili na łyso, przystawiali pistolet do głowy, wybili zęby. Raz znaleźli w internecie moje stare zdjęcia z modelingu. Rozwiesili w całej jednostce. Pytam oficera: „Po co to?". A on: „Podobasz się nam! Jesteś naszą dziewczyną!". Nie wytrzymałem tego wszystkiego i przeciąłem sobie żyły. Zabandażowali mnie, zbili, założyli kajdanki i kazali siedzieć, aż mi przejdzie.*

Sztab

Ilia w końcu założył mundur, dostał nieśmiertelnik z numerem AB-906728 i przyjął bojowy pseudonim Vasques, ale oficerowie mówili na niego Whiskas. Zdecydowali, że na razie zostanie w sztabie brygady, gdzie potrzebny był pisarz. Praca była papierkowa, ale dawała dostęp do wiedzy. Wszyscy żołnierze wysyłani na pierwszą linię przechodzili przez ręce szeregowego Vasquesa. Spisywał ich dane i miejsca, do których trafiali: Pokrowsk, Myrnohrad, Selidowo itd. ▶

© ARCHIWUM PAWŁA RESZKI

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ *– Załatwiałem ich dokumenty, a potem patrzyłem na ich śmierć.*

– Jak to?

– Nad frontem wiszą drony obserwacyjne. Bywało, że żołnierza na naszych oczach rozrywało na kawałki, ale ja dostawałem rozkaz: „Napisz, że zaginął, przepadł bez wieści". Chodziło o zwykłe złodziejstwo. Przed pójściem na pierwszą linię żołnierz musiał oddać do depozytu: telefon, pieniądze, karty do bankomatu itd. Jeśli zginął, wszystko trzeba było oddać rodzinie. Jeśli przepadł bez wieści, można to było ukraść. Na konto przychodziły pieniądze za służbę, a kody PIN do kart nasi dowódcy potrafili groźbami i siłą uzyskać od tych, których posyłali na śmierć.

Ilia widział coraz więcej: wysyłanie nieprzygotowanych wojaków na pierwszą linię, okradanie żołnierzy, pobicia, poniżanie, fałszowanie dokumentów, więzienie w piwnicy bez jedzenia i wody. W końcu rozstrzeliwanie za niewykonanie rozkazu. – *Znam nazwiska oficerów, którzy byli za to odpowiedzialni* – mówi.

W ramach oddziału wiele spraw można zamieść pod dywan. Gorzej, kiedy sprawa wyleje się na zewnątrz. Oficerowie najbardziej się boją, że przekręt dotrze do Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB), bo to niezależna od nich struktura. A komórka FSB była w sztabie, na pierwszym piętrze. Stalowe drzwi, otwierane od środka. Koło drzwi skrzynka, do której wrzucało się korespondencję, czyli donosy, również na przełożonych.

Ciała

Do zajęć Ilii należało też przyjmowanie ciał żołnierzy przywożonych z frontu. Najważniejsze to znaleźć nieśmiertelnik z numerem. Mógł być gdziekolwiek: na szyi, w kieszeni spodni, w bluzie... Ilia: – *Przy pierwszym trupie zwymiotowałem.*

Numer wbijało się do komputera i wyskakiwały dane wojaka. Potem rubryki – data, miejsce śmierci i jej wstępna przyczyna: kula, odłamek. Nieraz ciała były w takim stanie, że ostatniej rubryki nie dawało się wypełnić. – *W ciągu dziewięciu miesięcy służby wypełniłem dokumenty 1,5 tys. zabitych i zaginionych bez wieści z brygady. Wywiozłem ze sobą listy z ich danymi. Jednym z poległych był Sokół, mój najlepszy przyjaciel.*

Sokół

Znajomość z szeregowym Igorem ps. Sokół zaczęła się od tego, że Ilia nie wyrabiał się z pracą. Sokoła przydzielono mu jako pomocnika, całkiem dobrze się zgrali. Vasques dawał Sokołowi rady, jak przeżyć: nie gadać za dużo, nie leźć oficerom w oczy, nie sprzeciwiać się dowództwu. Inaczej mogą posłać na pierwszą linię. Ale Sokół machał ręką: „Eee, nie poślą". Jednego razu pokłócił się z dowódcą, następnego dnia był już w okopie.

– I dowiaduję się w sztabie, że Sokół został ranny. Ciężko, bo oderwało mu stopę. Sam założył sobie opaskę uciskową, ale musiał zostać na pozycji, bo nie było jak go ewakuować. Następnie – jak głosiła oficjalna wersja – 27 listopada 2024 r. o 5 rano nie wytrzymał bólu, zdjął sobie opaskę i zmarł z upływu krwi. Nie wierzyłem w to, bo Sokół nie był samobójcą, nie pasowało to do niego.

– A jaka była prawda?

– Do sztabu zadzwonił dowódca z Doniecka, żeby zapytać o okoliczności śmierci Sokoła. Dostał odpowiedź: „Nie żyje, został wyzerowany". Na rozkaz oficera inny żołnierz zdjął mu opaskę uciskową. Ciało Sokoła przeleżało na pozycji kilka miesięcy. Niewiele z niego zostało, tak więc medyczne ekspertyzy, które mogłyby dowieść wersji o zabójstwie, tu nie pomogą.

– Zabili człowieka, bo pokłócił się z oficerem?

– Sokół stał się dla dowództwa niebezpieczny. Miał dostęp do map, tajnych dokumentów, a przede wszystkim wiedział sporo o złodziejstwie. Zresztą w czasie mojej służby podobny los spotkał jeszcze czterech żołnierzy.

„Wyzerowanie" w rosyjskiej armii to znany sposób na załatwianie porachunków i utrzymywanie dyscypliny. Dziennikarze niezależnego rosyjskiego portalu Verstka od lat dokumentują przypadki morderstw w wojsku, udało im się zebrać dowody na 150 egzekucji i sporządzić listę 100 oficerów, którzy są za nie odpowiedzialni.

„Żołnierzy rozstrzeliwuje się na miejscu za odmowę pójścia do szturmu. Albo za picie w okopach. Coraz częściej chodzi jednak o osobiste konflikty żołnierzy z dowódcami oraz odmowę płacenia haraczu przełożonym" – piszą reporterzy Verstki. „Wyzerowanie" grozi też tym, którzy chcą się poddać – idący z białymi flagami żołnierze likwidowani są przez własne drony. Giną i ci, którzy odmawiają nacierania na pozycje przeciwnika. POLITYKA dysponuje zapisami komunikacji radiowej między rosyjskim dowództwem i nacierającymi żołnierzami. Oto fragment rozmowy spod Kupiańska, przechwyconej przez wywiad ukraiński na początku sierpnia 2025 r.

„– Jeż, ja Bierkut, ja Bierkut, odpowiedz.

(...)

– Jeż, k... mać, nawiąż łączność! Widzimy was z powietrza, macie posuwać się do przodu! Jeż, Jeż, słyszycie mnie? Jak was dorwę, zaj...bię pałką. Macie wstać i naprzód.

(...)

– Wiatr, dlaczego Jeż nie odpowiada? Nie słyszą?

– Słyszą sk...syny, ale nie odpowiadają.

– Jeż, ja Bierkut, posłuchaj mnie! Igrasz z ogniem. Zaraz kieruję na ciebie ogień naszych moździerzy. Zrozumiałeś? Macie wstać i iść do przodu, natychmiast!".

Ucieczka

Po śmierci Sokoła w życiu Ilii zrobiło się koszmarnie. Nie miał komu zaufać, ani z kim szczerze pogadać.

– Służba była ciężka. Nie było dnia bez poszturchiwania, przemocy. I żona mi się zupełnie urwała. Dzwonię, a ona: „Nie mam czasu z tobą rozmawiać. Gości mam!". Ja z trupami kolegów, a ona bawi się, pije, szaleje. Raz się od tego popłakałem. Zobaczył to dowódca. „Co płaczesz?" – spytał i dał mi po mordzie.

Szeregowy Vasques miał dość służby i obawiał się, że podzieli los Sokoła. Nocami przekopywał internet: – *Interesowały mnie organizacje pozarządowe, które pomagają zdezerterować. Tak trafiłem na „Idite lesom" (Idźcie przez las).*

Ta organizacja z siedzibą w Tbilisi utrzymuje się głównie z datków od prywatnych osób, a także z europejskich grantów. – *Pomogliśmy w ucieczce 2911 żołnierzom. Najczęściej kierują się strachem przed śmiercią, nie chcą też walczyć z Ukrainą. Na decyzje wpływa też przemoc w armii, ale nie jest to najważniejszy czynnik* – mówi założyciel fundacji Grigorij Swierdlin, który wyemigrował z Rosji, gdzie sąd skazał go zaocznie na sześć lat kolonii karnej.

Ilia zgodnie z radami fundacji obmyślił plan ucieczki: – *Sprzyjało mi szczęście. Sierżant jechał na urlop. Dał mi swoją przepustkę do skserowania, chciał mieć kopię na wszelki wypadek. Sfotografowałem dokument telefonem, a potem na Photoshopie przerobiłem, wstawiając swoje dane.*

eprasa.pl 7cd57e2719

Żołnierze ukraińskiej 93. brygady z jeńcami rosyjskimi na linii frontu w obwodzie donieckim. Wywiad wojskowy Ukrainy rok temu opublikował 36 tys. nazwisk rosyjskich żołnierzy, wobec których toczą się sprawy karne związane z dezercją lub samowolnym opuszczeniem oddziału.

Vasques poszedł do zastępcy dowódcy ds. politycznych z prośbą: „Może by mnie dowódca wypuścił na dwa, trzy dni?". „A dokąd?". „Pojechałbym do Doniecka, pozabawiał się z prostytutką". „Ty? Z tego, co wiem, to jesteś pedałem!". „Nie, przecież jestem żonaty". „I do prostytutki jedziesz?". „Z żoną będę się rozwodził, hula beze mnie". Dowódca w końcu machnął ręką: „Masz nagrać na telefon, jak ją dymasz i mi przesłać". „Tak jest" – stuknął obcasami Ilia.

Był marzec 2025 r. Przebrał się w cywilne ciuchy i wyszedł przez główną bramę z bazy, że niby idzie na chwilę do miasta. Wcześniej zadzwonił do kierowcy marszrutki, która chodziła do Rostowa. „Są wolne miejsca?". „Jedno". „To biegnę". Cały czas był w kontakcie z „Idite lesom". Pisał, gdzie jest, a oni dawali mu rady, jak unikać niebezpieczeństw. Wiadomość trzeba było skasować zaraz po przeczytaniu.

Wyjście z jednostki było proste. Kłopotem były posterunki na drogach prowadzących w głąb kraju. To one odpowiadają za filtrację podróżnych i zatrzymywanie dezerterów. Ilia udawał cywila i jakoś przejeżdżał. Dopiero przy wjeździe do Rostowa opuściło go szczęście. – *Wygarnęli mnie z busa, zaprowadzili na posterunek.* Ściany w pokoju przesłuchań były pomalowane na czarno, prosto stamtąd można było zejść do piwnicy, która służyła za więzienie. Trzymali tam dezerterów.

Ilia zauważył, że choć przebrał się w cywilne ciuchy, to zapomniał o jednej ważnej rzeczy: – *Miałem ze sobą plecak wojskowy, a na nim wypisany swój pseudonim Vasques. Nie było co udawać. Pokazałem im przerobioną przepustkę na telefonie i książeczkę wojskową. Rozmowa była dość typowa: „Nie uciekasz czasem?", „Urlop?", „A gdzie służysz?", „Pisarz?", „Dziewczynę chciałeś wynająć, tak?". Nie bardzo wierzyli, ale wtedy na telefon przyszła wiadomość, którą przeczytano na głos: „Słuchaj Vasques, pisze do ciebie zastępca ds. politycznych: »Gdzie to wideo z prostytutką?«". Pośmiali się ze mnie i mówią: „Idź, chłopie, nagrywać!".*

Piekło w głowie

Dzięki pomocy „Idite lesom" Ilia dotarł Moskwy, potem do Mińska na Białorusi, a w końcu do jednego z krajów byłego ZSRR. – *Nie czuję się tu bezpiecznie* – mówi.

Co się zmieniło w jego życiu? Rozwiódł się z żoną. Podejrzewa, że to ona „nadała go" komisji wojskowej: – *Wydaje mi się, że Elena wymyśliła sobie taki sposób na życie i zarabianie pieniędzy. Cały żołd wpływał na konto, do którego miała dostęp, a to niemal 3 tys. euro miesięcznie. Gdybym poległ, dostałaby dużo więcej. Nie byłem jej pierwszym mężem, poprzedni też zginął na wojnie. Takie kobiety nazywają w Rosji czarnymi wdowami.*

– I co pan teraz robi?

– *Czekam na wizę do kraju UE, znalazłem tymczasową pracę w szkole. Praca z dziećmi mi pomaga. Łatwiej zapomnieć i w ogóle jakoś lżej.*

– Śnią się panu koszmary?

– *Często. Półtora tysiąca trupów odwiedza mnie we śnie. Trzy dni temu śniło mi się tych 78 z Uralu, z którymi mnie wzięli na wojnę. Siedzieli przede mną i rozmawialiśmy sobie spokojnie. Lekarze przepisali mi na to antydepresanty. I jeszcze przychodzi Sokół... Dobrze, że stamtąd uciekłem.*

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKIY

© JOSE COLON/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7cd57e2719

Tekturowe figury, ninots, przedstawiające prezydentów Trumpa i Putina, zaprezentowane podczas tegorocznej edycji festiwalu Fallas w Walencji

Torreador drażni byka

ALEKSANDRA LIPCZAK

Hiszpania idzie pod prąd prawicowemu nurtowi współczesnego świata – „tak" dla imigrantów, „nie" dla wojny w Iranie. A jej premier stawia się Ameryce i pyta: od kiedy empatia jest czymś wyjątkowym?

„Pedro Sánchez: ikona europejskiej lewicy" – taki tytuł nosił tekst o hiszpańskim premierze w brytyjskim magazynie „The New Statesman". Kilkadziesiąt zamiast zwyczajowych kilkunastu – tyle zdjęć Sáncheza rozdystrybuowały z kolei agencje fotograficzne po ostatnim szczycie przywódców UE poświęconym wojnie w Iranie. Jego stanowcze „No a la guerra!", nie dla wojny i wykorzystania przez USA hiszpańskich baz NATO do ataków na Iran, z dnia na dzień zapewniły mu międzynarodowy rozgłos.

Jeśli dodać do tego wsparcie dla wolnej Palestyny, które wybrzmiało z ust aktora Javiera Bardema w czasie ceremonii rozdania Oscarów, można odnieść wrażenie, że polityczny nonkonformizm – „brak włosów na języku" – jak określa się w Hiszpanii dar mówienia prawdy bez ogródek – staje się hiszpańskim towarem eksportowym, nową odmianą soft power.

Opór wobec Donalda Trumpa i dokonanej przez niego agresji to jednak tylko zwieńczenie budowanej już od pewnego czasu alternatywnej opowieści i przestrzeni, którą zajmuje dziś Hiszpania na europejskiej mapie. „Hiszpania jest inna" – brzmiał mocno wyświechtany już slogan ukuty w latach 60. przez technokratów generała Franco, którzy pragnęli ściągnąć do kraju turystów. Współczesna Hiszpania nasyca go zupełnie inną treścią.

Pod prąd

„Inność" Hiszpanii sprowadza się do prostego w gruncie rzeczy wytłumaczenia: zamiast kopiować pomysły i retorykę pozostającej w natarciu skrajnej prawicy, tamtejszy rząd próbuje jej przeciwstawiać realnie lewicową i prosocjalną agendę. Tym bardziej że niebezpieczeństwo jest duże: skrajnie prawicowa partia Vox jest już w Hiszpanii trzecią siłą i ma apetyt na współrządzenie krajem po kolejnych wyborach w 2027 r.

Odpowiedź lewicowego rządu jest spójna i konsekwentna. Wzmacnianiu praw pracowniczych i wzrostowi pensji minimalnej (o 66 proc. od 2018 r.) towarzyszy zielona polityka i poszerzanie praw kobiet oraz mniejszości – w obu rządach Sáncheza było więcej ministr niż ministrów. Sam Sánchez reprezentujący starą wielką partię socjalistyczną PSOE, w której mieszczą się różne, także bardziej liberalne gospodarczo tendencje, przyjął jednak

eprasa.pl 7cd57e2719

lewicową retorykę jako swoją, podobnie jak zaangażowanie na rzecz równości.

Hiszpania nie boi się iść pod prąd i pokazuje, że na brunatniejącym Zachodzie istnieje alternatywa. W lutym – w efekcie obywatelskiej kampanii, w którą zaangażowany był również Kościół katolicki – uregulowała status co najmniej pół miliona migrantów. Sprzeciw wobec wojny w Iranie nie jest też jej pierwszym „nie" w sprawie wojny. Hiszpania należy do najostrzejszych krytyczek działań Izraela w Strefie Gazy, które Sánchez nazywa wprost ludobójstwem.

Nienowa jest również konfrontacja Sáncheza z Trumpem. W czerwcu zeszłego roku premier Hiszpanii odmówił zwiększenia wydatków na bezpieczeństwo do 5 proc. PKB, czego żąda Waszyngton, wyjaśniając, że zmusiłoby to jego rząd do cięć w edukacji i ochronie zdrowia. Trump nazwał wówczas Hiszpanię maruderem i zasugerował, że powinna zostać usunięta z NATO. Sánchez najwyraźniej nie obawia się jego gróźb, bo potępił też amerykańską interwencję w Wenezueli w styczniu tego roku.

Sami Hiszpanie patrzą na ten międzynarodowy zachwyt nad Sánchezem z pobłażaniem. Z ich perspektywy nie jest on rewolucjonistą ani ryzykantem, tylko pragmatycznym politykiem, który na arenie międzynarodowej reprezentuje większościowe poglądy swojego kraju.

Weźmy Iran. Według badań ośrodka 40dB 68 proc. Hiszpanów potępia atak USA i Izraela na ten kraj. Fatalne notowania ma również w Hiszpanii sam Trump – aż 80 proc. jej obywateli uważa, że prezydent USA jest zagrożeniem dla światowego pokoju. Również w sprawie Palestyńczyków Sánchez mówi to, co jego współobywatele – w lipcu zeszłego roku 82 proc. Hiszpanów uznało to, co dzieje się w Strefie Gazy, za ludobójstwo.

Kwestia migracji i tzw. nielegalnych imigrantów również nie jest w Hiszpanii kontrowersyjna. Ten kraj – ciężko doświadczony w poprzedniej dekadzie przez ekonomiczny kryzys, ale wytrwale pielęgnujący opowieść o sobie jako o bezpiecznej przystani dla migrantów – pozostaje jednym z europejskich społeczeństw o najniższym poziomie uprzedzeń wobec nowo przybyłych, widzi też w obecności migrantów i migrantek więcej plusów niż minusów.

O ile jednak temat skoku społeczno-obyczajowego, który zrobiła w ostatnich dekadach Hiszpania, był już wielokrotnie opisywany, o tyle polityka zagraniczna Madrytu domaga się szerszego, także historycznego zaprezentowania.

Pedro Sánchez nie boi się mówić, co myśli. Bo tak myśli cała Hiszpania.

© JOSE JORDAN/AFP/EAST NEWS, CESAR VALLEJO RODRIGUEZ/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES

Przypięty arbuz

„W tych dniach, kiedy świat jest zdominowany przez przemoc i okrucieństwo, rozglądam się wokół i widzę waszego premiera i tylu artystów, którzy przemawiają z moralną jasnością. Pomaga mi to czuć się mniej samotną podczas chaosu i represji, których doświadczam, czuję się częścią większej wspólnoty" – mówiła wyraźnie wzruszona aktorka Susan Sarandon, odbierając w lutym w Barcelonie honorową nagrodę Goya.

Sarandon, skreślona w Hollywood z powodu swojego zaangażowania na rzecz Palestyny, wśród hiszpańskich filmowców musiała dla odmiany poczuć się jak u siebie. Gala Nagród Goya, święto hiszpańskiego kina, była całkowicie zdominowana przez polityczne przekazy i przypinki z propalestyńskim arbuzem. Wcześniej podobne protesty wielokrotnie gromadziły w Hiszpanii setki tysięcy ludzi i przybierały najróżniejsze formy, od uczniowskich strajków po przerwanie wyścigu Vuelta a España.

„Tym, co wyróżnia obecną wielką mobilizację na rzecz Palestyny w Hiszpanii, jest jej przekrojowy charakter" – pisze w „El País" arabistka Luz Gómez, porównując ją do masowej oddolnej mobilizacji towarzyszącej kilkanaście lat temu ruchowi Oburzonych. „Pojawia się w gminach, na uniwersytetach, w szkołach, firmach czy organizacjach. W obecnej solidarności z Palestyną nie da się wyraźnie rozróżnić pokoleń, klas społecznych, płci, zawodów ani pochodzenia geograficznego". Gómez zwraca również uwagę na fakt, że sprawa Palestyny nie zna partyjnych podziałów, nie licząc skrajnej prawicy.

Ze względu na swoje położenie geograficzne i historię Hiszpania ma dość wyjątkową relację ze światem arabskim. Polityczne związki Madrytu z krajami po drugiej stronie Morza Śródziemnego były intensywne nie tylko w średniowieczu, lecz również w czasach Franco. Rozwijając przyjaźń z państwami arabskimi, hiszpański dyktator znalazł sposób na wyjście z międzynarodowej izolacji, w której znalazł się po drugiej wojnie światowej jako sojusznik Hitlera i Mussoliniego.

Sojusze przetrwały upadek reżimu. Adolfo Suárez, pierwszy premier demokratycznej Hiszpanii, jako również pierwszy z zachodnich przywódców spotkał się w 1979 r. z Jaserem Arafatem. Hiszpania aspirowała do roli pośredniczki między Palestyńczykami i Izraelem: w 1991 r. w Madrycie odbyła się konferencja pokojowa będąca wstępem do porozumień z Oslo. Choć Hiszpania rozwijała przez kilka dekad całkiem serdeczną relację (i wymianę handlową) z Izraelem, dziś utknęła ona w martwym punkcie: ambasadorzy w Madrycie i Tel Awiwie zostali odwołani.

Ostatnich kilka dekad to jednak historia ponownego spotkania Hiszpanii ze światem żydowskim i symbolicznego ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ zadośćuczynienia: w 2015 r. weszła w życie ustawa umożliwiająca nabywanie hiszpańskiego obywatelstwa przez potomków Żydów wygnanych stąd pod koniec XV w.

Złe dla świata

Relację Hiszpanii z samym Izraelem cechuje jednak zasadnicza różnica w porównaniu z wieloma krajami Europy. „W odróżnieniu od wielu z nich, zwłaszcza Niemiec i Francji, w Hiszpanii nie istnieje poczucie winy za Holokaust. Dlatego też Państwo Izrael nie jest postrzegane jako konieczna forma rekompensaty. Jest po prostu kolejnym krajem i jako taki podlega krytyce" – tłumaczy Luz Gómez.

Zarówno w sprawie Palestyny, jak i – obecnie – Iranu, Hiszpanią nie kieruje też nadmierna ostrożność w relacjach z USA. „Nie dla łamania prawa międzynarodowego. Nie dla założenia, że świat może rozwiązywać problemy wyłącznie na drodze zbrojnej. I wreszcie, nie dla powtarzania błędów przeszłości" – mówi premier Sánchez. A na groźby zerwania relacji handlowych, którymi straszył go prezydent USA po odmowie udostępnienia wojskowych baz, odpowiedział: „Nie będziemy współwinni czegoś, co jest złe dla świata".

Dlaczego Hiszpania tak się zachowuje? „Bo może" – odpowiedział niedawno politolog Pablo Simon w popularnym programie komentatorów politycznych „Al rojo vivo" w telewizji La Sexta. „Hiszpania nie znajduje się w bezpośredniej strefie konfliktu, w której drażnienie Stanów Zjednoczonych mogłoby mieć fatalne konsekwencje. Gdyby była Polską, sytuacja wyglądałaby inaczej".

Nie tylko jednak geografia decyduje o tym, że Sánchez może sobie pozwolić na frontalny opór wobec polityki Trumpa. W tej sprawie polityka zagraniczna też pada na podatny historycznie grunt. Niechęć wobec północnoamerykańskiego imperializmu ma długą tradycję w Hiszpanii. Już w latach 80. przez Półwysep Iberyjski przetaczały się masowe protesty przeciwko wstąpieniu kraju do NATO.

Współczesne „No a la guerra!" wobec agresji na Iran jest tak naprawdę reaktywacją hasła sprzed 20 lat. W 2003 r., kiedy ówczesny konserwatywny premier José Maria Aznar przyłączył się do amerykańskiej interwencji w Iraku, reakcja Hiszpanów była jeszcze bardziej jednoznaczna niż dziś. Przez kraj przetoczyły się wielomilionowe protesty, brali w nich udział ludzie kultury, znane postacie, autorytety – na czele jednego z nich szedł wspomniany Javier Bardem, wówczas wschodząca gwiazda hiszpańskiego kina.

Hiszpania, sama wciąż przepracowująca traumy wojny domowej i terroru ETA, ma silną kulturę pokoju i ruchu pacyfistycznego. Przy Uniwersytecie Autonomicznym w Barcelonie działa prestiżowa Escola de Cultura de Pau (Szkoła Kultury Pokoju), kluczowy ośrodek akademicki zajmujący się pacyfizmem i analizą konfliktów.

Istotną osią hiszpańskiego pacyfizmu jest jednak antyamerykańskość. Podobnych emocji nie wywołuje bowiem np. agresja Rosji na Ukrainę. W tej sprawie Hiszpania zachowuje się skądinąd przyzwoicie – przyjęła ponad 300 tys. ukraińskich uchodźców i stopniowo zwiększa pomoc wojskową i finansową dla walczącego państwa.

Z oddechem

Pedro Sánchez, który stał się międzynarodową ikoną lewicy, w „domu" ma dużo bardziej skomplikowaną sytuację. Znany z niezwykłej odporności i wychodzenia cało z najgorszych opresji (przykładem są ostatnie przedterminowe wybory w 2023 r., które były wyzwaniem rzuconym rosnącej skrajnej prawicy), stoi dziś w obliczu kolejnego kryzysu.

Dotychczasowy bilans jego rządów jest, wydawałoby się, przyzwoity: Hiszpania notuje ciągły wzrost gospodarczy, ma najniższe bezrobocie od 2008 r. i godną podziwu politykę socjalną. Według sondaży z końca marca to właśnie socjaliści wygraliby wybory, gdyby odbyły się one dziś. Ale mimo to polityczna przyszłość Hiszpanii jest niepewna.

Głównym zmartwieniem jej mieszkańców pozostaje temat mieszkalnictwa i rosnące koszty utrzymania – dwa wielkie problemy, których nie potrafi rozwiązać obecny rząd. Koalicjanci Sáncheza – lewicowy blok Sumar – są dziś w rozsypce na skutek międzypartyjnych konfliktów, a liderka ugrupowania, ceniona ministra pracy Yolanda Díaz, ogłosiła, że nie wystartuje w kolejnych wyborach. W Partii Socjalistycznej sytuacja też jest niewesoła: w zeszłym roku wyszły tam na jaw kolejne skandale korupcyjne i zarzuty o molestowanie seksualne.

Choć irański kryzys i wsparcie partii Vox dla Trumpa odwróciły nieco tendencję, to skrajna prawica była w ostatnim czasie na fali wznoszącej. A najbardziej prawdopodobnym scenariuszem w 2027 r. wydawała się wygrana centroprawicowej Partii Ludowej i Vox. Po ośmiu latach rządów socjalistów w Hiszpanii widoczna jest zmiana cyklu i coraz wyraźniejszy skręt w prawo, który potwierdzają też wyniki ostatnich wyborów regionalnych.

Przyczyny są częściowo ekonomiczne, ale spore znaczenie ma tu rosnący konflikt kulturowy. Poparcie dla Vox jest szczególnie wysokie w grupie młodych mężczyzn – według badań ośrodka 40dB na partię chce głosować aż 38 proc. Hiszpanów między 18. i 28. rokiem życia.

Międzynarodowa strategia Pedro Sáncheza „robiona" jest więc tak naprawdę przede wszystkim z myślą o polityce krajowej. To przestrzeń, gdzie premier Hiszpanii próbuje zaczerpnąć powietrza, którego brakuje mu w samej Hiszpanii. Sánchez liczy na to, że jego oceniana pozytywnie – nie tylko w Hiszpanii – polityka zagraniczna przyczyni się do wzrostu notowań socjalistów i być może przekona także część wyborców bardziej na lewo.

Lustro

W 2004 r. udział Hiszpanii w inwazji na Irak skończył się dla premiera Aznara katastrofą: przegrał wybory, w których jego partia szła po zwycięstwo. Premierem został José Luis Zapatero, a w Hiszpanii zaczęła się zupełnie nowa epoka. Na podobną moc swojego „No a la guerra!" liczy Sánchez. Choć jest pragmatykiem, cynizmem byłoby jednak sprowadzanie jego polityki zagranicznej tylko do kalkulacji. „Robi to, co jest w tych okolicznościach przyzwoite" – kwituje Ignacio Escolar, redaktor naczelny internetowego dziennika Elidiario.es. Podobnego zdania jest wielu Hiszpanów – nawet tych, którzy niekoniecznie na niego głosują.

Choć światowy komentariat zrobił z Sáncheza bohatera, to raczej ponura rzeczywistość i szorujące po dnie międzynarodowe standardy obsadziły go w tej roli. I być może on sam najlepiej zdaje sobie sprawę z tego, że jest raczej lustrem przystawionym do obecnego momentu dziejowego. Bo trudno zapomnieć pytania, które stawiał swoim krytykom na platformie X, uzasadniając decyzję o uregulowaniu statusu pół miliona migrantów: „Od kiedy to uznawanie praw stało się czymś radykalnym? Od kiedy empatia jest czymś wyjątkowym?".

ALEKSANDRA LIPCZAK

eprasa.pl 7cd57e2719

Urzędujący mer Benoît Payan z Partii Socjalistycznej dostał 54 proc. głosów. Uchronił dzięki temu Marsylię przed rządami skrajnej prawicy.

Nie przeszli

KINGA STRZELECKA-PILCH

Marsylia, zgodnie ze swoją tradycją, znów się zbuntowała i w wyborach lokalnych zaprzeczyła trendowi, który przyszłość Francji oddaje w ręce skrajnej prawicy.

Marsylia to miasto niebezpieczne. Ma swoją zasłużoną czarną legendę utrwaloną w popkulturze, choćby przez film „Marsylski łącznik". Nie bez powodu też pierwszym francuskim serialem oryginalnym dla Netflix był odpowiednik „House of Cards" zatytułowany „Marsylia" z 2015 r., w którym główną rolę diabolicznego mera Marsylii, mizogina i kokainisty, ubiegającego się o reelekcję zagrał Gérard Depardieu.

Ten sam aktor, choć dziś wykluczony z przestrzeni publicznej, dla pokoleń Francuzów pozostaje ikonicznym hrabią Monte Christo w ekranizacji z 1998 r. – Alexandre Dumas na kartach tej powieści uwiecznił bezwzględność Marsylczyków. Arthur Schopenhauer nazwał miasto „najpiękniejszym we Francji, tak innym od pozostałych", ale znając mroczną naturę Marsylii, nie miał zapewne na myśli uniwersalnego piękna. George Sand Marsylia odstręczyła już przy pierwszym poznaniu „brutalnością klimatu i ludzi".

Współcześnie Marsylia to jedna z najważniejszych scen francuskiego brutalnego rapu wyrastającego z wielokulturowości, południowych inspiracji, problemów przedmieść i kultury kibicowskiej Olympique de Marseille. Jednym z najsłynniejszych raperów młodego pokolenia jest Marsylczyk pochodzenia algierskiego Soso Maness, w 2024 r. wziął udział w projekcie 20 raperów przeciwko Marine Le Pen i skrajnej prawicy. Utwór nazywa się „No Pasáran" – nie przejdą. Jednak mało brakowało i by przeszli...

Przed kolejnymi wyborami w Europie pojawiają się histeryczne głosy o zagrożeniu demokracji i strach przed rosnącą w siłę skrajną prawicą. Podobnie jest we Francji, gdzie od lat niepokój budzi nacjonalistyczne Zjednoczenie Narodowe kierowane przez Jordana Bardellę, a wcześniej przez Le Pen. Dlatego tak wielkie zainteresowanie przyciągnęły francuskie wybory lokalne, których pierwsza tura odbyła się 15 marca, a druga – 22 marca.

Wyniki pierwszej tury w Marsylii były zaskakujące. Urzędujący mer Benoît Payan z Partii Socjalistycznej dostał 37 proc. głosów, a Franck Allisio ze Zjednoczenia Narodowego – 35 proc. Pierwszy raz w historii skrajna prawica miała więc realną szansę przejąć władzę w tak dużym francuskim mieście. Zagraniczne media pompowały temat, przekonując, że taki scenariusz może zwiastować triumf ▶

© FELICE ROSA/HANS LUCAS/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7cd57e2719

Francuski wyborca w pierwszej turze dokona rebelii, wyjdzie na ulicę, żeby po dwóch godzinach usiąść ze znajomymi, zjeść kolację, wypić wino, rozmawiając przy tym dużo, niekoniecznie o polityce. Barykady barykadami, ale kolację zjeść trzeba.

▶ Zjednoczenia w wyborach prezydenckich w 2027 r. „Guardian" pisał, że „wygrana skrajnej prawicy w Marsylii będzie trzęsieniem ziemi dla całej Francji".

Francja nieugięta

Ale dla Marsylii to nie pierwszyzna. Choć zwykle dominowała tu polityczna lewica, to śródziemnomorskie miasto w swojej historii miało wielkiego polityka z prawej strony sceny politycznej. Był nim Jean-Claude Gaudin, który rządził w Marsylii przez 25 lat (1995–2020). Zmienił jej oblicze – z przemysłowego miasta uczynił liczącą się we Francji metropolię z kulturalnymi i turystycznymi aspiracjami. Teraz Allisio liczył zapewne na jego elektorat.

Co więcej, przy okazji marcowych wyborów zwracano uwagę, że charakterystyczny dla miasta twardy lewicowy elektorat (dawna klasa robotnicza) starzeje się i coraz bardziej ceni wygodę. Z wiekiem zwraca się w stronę konserwatywną, przeprowadza się do domów z dala od centrum, zderza z niewygodami wielokulturowości, która wymyka się w niektórych dzielnicach spod kontroli. Nie przypadkiem podczas debat wyborczych w Marsylii dyskutowano głównie o kwestii bezpieczeństwa i handlu narkotykami.

Pod taką presją z prawej flanki na francuskiej lewicy pojawiło się hasło zjednoczenia. Na poziomie krajowym nie ma na to szans – Jean-Luc Mélenchon i jego radykalnie lewicowa Niepokorna Francja nie bratają się z Partią Socjalistyczną ani Ekologami. Ale już na szczeblu lokalnym zawarła sojusz z Ekologami w Lyonie, Strasburgu, Grenoble i Besançon. W Lille doszło do koalicji Socjalistów z Ekologami. Na ulice Marsylii kilka dni przed drugą turą wyszli mieszkańcy, domagając się podobnego lewicowego porozumienia.

48-letni socjaldemokrata Payan, mer Marsylii od 2020 r., pozostał jednak nieugięty i przed drugą turą kategorycznie odmówił wejścia w sojusz z Niepokorną Francją. Uzasadniał to m.in. faktem, że przed wyborami na Niepokorną Francję, czyli potencjalnego sojusznika, spadło odium z powodu morderstwa na tle politycznym. 14 lutego w centrum Lyonu ekstremistyczna, lewicowa bojówka Antifa związana z Niepokorną Francją zamordowała 23-letniego studenta Quentina Deranque'a, który brał udział w prawicowej manifestacji. I Payan powiedział „nie" dla koalicji.

Francja racjonalna

Marsylia od samego początku buntowała się przeciwko kolejnym „centralom". Założona została przez greckich marynarzy jako Massalia ok. 600 r. p.n.e., co czyni ją jednym z najstarszych miast we Francji. Mniej więcej w tym czasie rozkwitały greckie tragedie, których nieodzowną cechą jest fatum. Założenie Massalii było jak zawiązanie akcji – Marsylia do dziś nie może uciec przed swoim przeznaczeniem – miasta osobnego, dzikiego i zbuntowanego.

Próbował je poskromić Juliusz Cezar, kiedy podbił Galię, próbował Karol Wielki, który uczynił Marsylię swoim głównym portem. Prowansalskie wolne miasto cieszące się dużą autonomią i handlowym bogactwem w 1481 r. zostało siłą wcielone do Królestwa Francji, ale nieustannie kipiało pod francuską pokrywką – 200 lat później poskromić Marsylię próbował Ludwik XIV, Król Słońce, który marsylski port obudował francuskimi fortecami.

eprasa.pl 7cd57e2719

Marsylskie symbole: stadion Olympique, patrol francuskiej żandarmerii podczas operacji antynarkotykowej w „trudnej" dzielnicy Sainte Marthe.
Poniżej: **raper Soso Maness.**

Nienawiść Marsylczyków do korony eksplodowała w 1792 r. i została uwieczniona we francuskim hymnie. Pół tysiąca jego mieszkańców żądnych krwi wkroczyło wtedy do Paryża, śpiewając „Pieśń wojenną Armii Renu" autorstwa Claude'a-Josepha Rougeta de Lisle'a, na cześć tego wydarzenia nazwaną później „Marsylianką". Marsz Marsylczyków stał się symbolem rewolucji i walki o republikę.

Hymn Francji jest jednym z najbardziej agresywnych i najkrwawszych hymnów państwowych Europy. Już w pierwszej zwrotce pojawia się „sztandar zbroczony krwią" i „okrutny ryk" nadciągających żołnierzy, którzy zamierzają „zarżnąć nasze żony i dzieci". Pieśń wzywa do walki: „do broni obywatele, formujcie bataliony, marsz, marsz, by napoić ziemię krwią wroga". W drugiej zwrotce pojawia się odwołanie do zdrowego rozsądku. „Wstyd nasz, Francuzi, czy czujecie? Czy wasza krew nie burzy się, że tyran wolnych wtłoczyć chce pod jarzmo, co niewolnych gniecie?".

Współczesna Marsylia okazała się rozsądna i racjonalna – nie żąda krwi, a spokoju. Jest pragmatyczna. We Francji jak nigdy dotąd pojawiło się społeczne zapotrzebowanie na polityczne centrum. Jego oba skrzydła – centrolewica i centroprawica mają szansę koegzystować i patrząc na wyniki, stanowią większość. To ma związek z charakterem Francuzów: francuski wyborca w pierwszej turze dokona rebelii, wyjdzie tłumnie i głośno na ulicę, żeby po dwóch godzinach usiąść ze znajomymi przy stole, zjeść dobrą kolację,

wypić wino, rozmawiając przy tym dużo, niekoniecznie o polityce. Barykady barykadami, ale kolację zjeść trzeba.

Francja wygodna

Nie przypadkiem przed lokalnymi wyborami w księgarniach bestsellerem został esej autorki młodego pokolenia Salomé Saqué „Résister" („Stawiać opór") poświęcony w całości walce ze skrajną prawicą. Saqué analizuje w nim przemocowy język skrajnej prawicy, a za swoją działalność regularnie otrzymuje anonimowe wiadomości z życzeniem śmierci i gwałtu. Jej książka jest nowatorska, ponieważ esej uczyniła jednocześnie podręcznikiem dostarczającym gotowych rozwiązań na radzenie sobie z nacjonalizmem i radykalizmem na poziomie ogólnokrajowym i w mikroskali życia codziennego.

„Powtarzam z całą mocą za historykami, socjologami, politologami, dziennikarzami – to nie jest zabawa. To nieustanna walka w imię ideałów, w imię demokracji. Głosowanie w wyborach na kandydatów, którzy sami z wolna przyczyniają się do banalizacji tematu i wzrostu poparcia dla skrajnej prawicy, nie jest dobrym sposobem budowania społeczeństwa. To opóźnia jedynie triumf tej ideologii i scala jej obóz. A jej triumf wcale nie jest nieunikniony, nie jest kwestią czasu, wystarczy tylko złamać jej dynamikę".

I Marsylia pokazała, że to możliwe. Podobnie jak w wyborach prezydenckich w 2022 r. i w przedterminowych wyborach parlamentarnych w 2024 – tak również w najnowszych wyborach samorządowych wygrała Francja racjonalna. Wyniki nie zmieniły drastycznie obrazu kraju – niemal 70 proc. większych miast obroniło swój status polityczny. Ekolodzy utrzymali Lyon, Partia Socjalistyczna Paryż, Lille, Montpellier, Nantes i zdobyła Strasburg. Centroprawica wywalczyła lepszy wynik, ale o jej spektakularnym sukcesie nie można mówić – przejęła Clermont-Ferrand i Awinion z rąk centrolewicy.

W Marsylii socjaldemokrata Payan ostatecznie z łatwością pokonał nacjonalistycznego Allisia w drugiej turze (54 do 40), co nadal może okazać się wróżbą na przyszłoroczne wybory prezydenckie. Bo jeśli Marsylia jest politycznym barometrem Francji, skrajna prawica nie zagrozi demokracji, bez względu na to, jak atrakcyjnie wygląda ta teza w prasowych nagłówkach. Francuzi są na to zbyt wygodni.

KINGA STRZELECKA-PILCH

© SHUTTERSTOCK, VIKEN KANTARCI/AFP/EAST NEWS, TERESA SUAREZ/EPA/PAP, XAVIER LAINE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7cd57e2719

Kto z misia zrobił małpę?

Jak mieszkańców bambusowego lasu wplątano w wielką politykę, opowiada biolog dr Piotr Parzymies, autor książki „Historia pandy wielkiej".

JĘDRZEJ WINIECKI: **– Dwie ostatnie pandy właśnie wyjechały z Japonii do Chin. Co przypomina, że wszyscy przedstawiciele gatunku należą do chińskiego rządu.**

PIOTR PARZYMIES: – Prawie wszyscy. 35-letnia Xin Xin pozostaje własnością meksykańską. Jest wnuczką pary podarowanej Meksykowi pod koniec lat 70. XX w. Wówczas pandy jeszcze rozdawano, miały ocieplać wizerunek Chińskiej Republiki Ludowej. Później zaczęto je jedynie użyczać – na 10 lat i za roczną opłatę wynoszącą zazwyczaj milion dolarów. Przekazywanie przedstawia się jako wkład w wysiłek zmierzający do zachowania gatunku, pieniądze powinny wędrować na działania ochronne. I wszystkie młode rodzące się w zagranicznych ogrodach stają się automatycznie własnością Chin.

Termin wyjazdu bliźniąt urodzonych w Tokio bez podania przyczyny przyspieszono o miesiąc. Jechały w trakcie poważnego kryzysu między oboma państwami. Tak powstało wrażenie wikłania zwierzaków w politykę.

Skomplikowana jest też sytuacja pand z Tajwanu. W 2008 r., w okresie poprawy stosunków, na wyspę, którą Pekin uważa za własne zbuntowane terytorium, przekazano dwie pandy – samca Tuan Tuan i wciąż żyjącą samicę Yuan Yuan. Chiny nie mogłyby użyczyć ich samym sobie, więc z chińskiego punktu widzenia były podarunkami i Tajwan nie musiał ich po 10 latach zwracać. Ponad 70 proc. Tajwańczyków aprobowało pomysł przyjęcia pand od ChRL. W niektórych kręgach wzbudził jednak poważną debatę i protesty. Demonstranci występowali przebrani za pandy. Niepokój budziły m.in. mało subtelne imiona. Z ich połączenia wychodzi *tuanyuan*, co w języku chińskim oznacza „zjednoczenie". Prze do niego obecny przywódca ChRL Xi Jinping. Nie wyklucza zbrojnej interwencji.

Dlaczego napisał pan książkę akurat o pandach?

Z połączenia miłości do zwierząt i z zamiłowania do Chin. Mając żonę Chinkę, jestem z nimi związany prywatnie. Z pracy amerykańskiej historyczki Eleny Songster dowiedziałem się, jak panda wielka została symbolem ChRL. Stało się to bardzo niedawno, dopiero w epoce rewolucji kulturalnej, raptem kilka dekad temu. Co mnie na tyle zaciekawiło, że przeczytałem o pandach wielkich w zasadzie wszystko, co napisano po angielsku, chińsku i japońsku i co udało mi się znaleźć. Japończycy może nie są wielkimi fanami Chin, ale pandy kochają bezgranicznie i dużo o nich piszą. Wszystkie prace i książki były bardzo ciekawe, ale żadna z nich nie pokazywała pełnego obrazu tego niesamowicie wielowymiarowego stworzenia, będącego także fenomenem społecznym i narzędziem dyplomacji.

Aż trudno uwierzyć, jak długo pandy były kompletnie nieznane.

Wu Zetian, jedyna kobieta na tronie cesarskim żyjąca na przełomie VII i VIII w., jakoby przekazała japońskiemu cesarzowi 70 skór pand i dwa żywe osobniki. Opowieść tę można włożyć między bajki. Ale już w grobowcu jednego z cesarzy z dynastii Han z II w. p.n.e., położonego w Xi'anie, czyli w dawnej stolicy

© BBU KURKOVVA/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7cd57e2719

i mieście znanym z terakotowej armii, faktycznie natrafiano na szkielet pandy. Być może należał do osobnika przetrzymywanego np. w ogrodach cesarskich. W każdym razie rzetelnie opisał je po raz pierwszy francuski misjonarz Armand David i zrobił to dopiero w 1869 r.

Dlaczego tak późno?

Są niesamowicie skryte i mało ruchliwe. Przeciętnie przemieszczają się do 400 m na dobę. Badacz George Schaller, który koordynował w latach 80. XX w. pierwszy wspólny projekt rządu chińskiego i Światowego Funduszu na rzecz Przyrody (WWF), potrzebował dobrych kilku miesięcy, by zaobserwować je w naturze, mimo że spędzał na ich terytorium mnóstwo czasu. W latach 20. XX w. na pandy jako pierwsi cudzoziemcy zapolowali dwaj synowie amerykańskiego prezydenta Theodore'a Roosevelta. Także oni narzekali, że całymi dniami przedzierali się bez efektu przez bambusowe chaszcze. Dlatego biura turystyczne organizujące wyprawy na obszary zamieszkane przez pandy wyraźnie zastrzegają, że uczestnicy najprawdopodobniej pandy nie spotkają. Zobaczą jej siedlisko, pewnie dowody jej obecności, czyli ślady pazurów na drzewach lub odchody, ale samego zwierzęcia raczej obserwować nie będą.

Próżno szukać obecności pandy w sztuce cesarstwa.

Według jednego z objaśnień biało-czarne ubarwienie było kojarzone z pechem. Brak pandy w sztuce okresu Chin cesarskich powinien dziwić, bo już od starożytności chińscy malarze i rysownicy potrafili precyzyjnie oddawać szczegóły anatomiczne. Wręcz specjalizowali się w poszczególnych grupach zwierząt: jedni w małpach, inni w wołach, a jeszcze inni w bezkręgowcach, nawet w owadach. A jednak aż do przełomu lat 50. i 60. XX w. panda nie wystąpiła na żadnym obrazie, rysunku czy grafice. Wspominano o niej jedynie w literaturze, choć i tu nie brak zamieszania. Określano ją jako *mò*. Obecnie słowo to oznacza tapira czaprakowego. W XIX w. francuski sinolog Jean-Pierre Abel-Rémusat odnalazł w starych chińskich tekstach opisy pasujące do pandy wielkiej, nazywanej właśnie *mò*. Nie była wtedy jednak znana, więc badacz skojarzył tę nazwę z owym tapirem, dopiero co odkrytym i bardzo podobnie ubarwionym. To sprawiło, że wszelkie dawne wzmianki o *mò* powiązano na jakieś stulecie z okładem właśnie z nim.

Artyści nie brali pand na warsztat, bo nie wiedzieli o ich istnieniu?

Prawdopodobnie nie spotykano ich wystarczająco często, żeby weszły do kanonu chińskiej kultury. Kiedy na początku XX w. zachodni podróżnicy trafiali na terytorium pand, by je upolować lub odłowić żywego osobnika, mieli kłopot z ustaleniem, czy w danej okolicy pandy w ogóle żyją. Zazwyczaj mieszkańcy mówili, że nie wiedzą, czy takie zwierzę przebywa gdzieś w pobliżu. Przy czym rzecz działa się w Syczuanie, który długo pozostawał prowincją przygraniczną i częściowo niezależną. Możliwe, że wymiana informacji z resztą kraju była zbyt skromna, żeby wydostały się stamtąd informacje o cechach lokalnego środowiska przyrodniczego. No i społeczności z syczuańskich gór były wojownicze i z niechęcią odnosiły się do obcych. O ich standardach gościnności przekonało się co najmniej kilku cudzoziemców, którzy na przełomie XIX i XX w. poszukiwania pand przypłacili życiem.

Skąd tak spektakularna kariera?

Mają krótkie łapy, duży okrągły pysk i pozornie wielkie oczy, co upodabnia je do ludzkiego niemowlęcia, wywołując odruch otoczenia ich troskliwą opieką. Wskutek braku zakorzenienia w kulturze zachowały ideologiczną świeżość. Mogły stać się bezpieczną maskotką reżimu komunistycznego i symbolem nowoczesnego państwa chińskiego. Nadano im przede wszystkim funkcję reprezentacyjną, miały napawać dumą zwykłych Chińczyków. Od lat 70. licznym przedsiębiorstwom masowo nadawano nazwy związane z pandami, na rynku pojawiały się produkty z pandzimi motywami, np. porcelana. W tym samym czasie pandy wyjeżdżały już za granicę i dość długo pozostawały jednym z niewielu łączników z tajemniczymi i odległymi Chinami. Od początku towarzyszyło im szaleństwo. Pierwszego dnia pobytu pandy w Tokio w 1972 r. chciało ją naraz zobaczyć 100 tys. osób. Przez bramę zoo Ueno przeszło jedynie 18 tys.

Co sprawiło, że stały się tak rzadkie?

Są zwierzętami leśnymi i odbiła się na nich utrata odpowiednich siedlisk, w ich przypadku lasów, w których rośnie bambus, bo żywią się niemal wyłącznie nim. Szacuje się, że 40 tys. lat temu, czyli jeszcze przed początkiem gwałtownego wylesiania Chin przez ludzi, które rozpoczęło się 9 tys. lat temu, populacja pand wielkich liczyła ponad 100 tys. osobników. Żyły na znacznym obszarze między dzisiejszym Pekinem a państwami Azji Południowo-Wschodniej. Do drastycznego spadku liczebności pand doszło choćby między XVII i XX w. W pandzich prowincjach osiedlano imigrantów z północy kraju, którzy karczowali lasy i rozwijali rolnictwo. W rezultacie u progu XX w. pozostało nieco ponad tysiąc pand.

Były obiektem polowań?

Na południu Chin silna jest tradycja zjadania dzikich zwierząt. Są też zabijane, bo niektóre części ich ciał mają rzekomo właściwości zdrowotne. Pand się jednak nie je. Nie są też uwzględnione w żadnej terapii. W połowie lat 80. odbył się proces mężczyzny, w którego wnyki zaplątała się panda. Miała pecha, liczył na inne gatunki. Zeznał, że spróbował pandziego mięsa. Przygotował je z rzepą, ale mu nie smakowało. Pandy zjadano za to w okresie głodu będącego skutkiem zupełnie nieudanego tzw. wielkiego skoku z przełomu lat 50. i 60. Z zachowanych relacji urzędników wynika, że w jednym z powiatów upolowano 40 osobników, co w tym przypadku było koniecznością. W tamtym tragicznym okresie zmarło od 15 do 45 mln osób i nierzadko posuwano się do kanibalizmu.

A trofea? Rooseveltowie nie mieli następców?

Zabijano pandy dla skór, których cena w Japonii dochodziła do 100 tys. dol. Procederu zaniechano po wprowadzeniu w 1987 r. surowych sankcji, przez dekadę obowiązywała nawet kara śmierci. Pandy i tak poradziły sobie lepiej niż np. słonie indyjskie, które jeszcze 4 tys. lat temu występowały w Chinach powszechnie, nawet na terenie obecnego Pekinu. Teraz obecne są jedynie w prowincji Junnan, szczątkowa populacja liczy ok. 300 osobników.

Na czym polegała pandzia przewaga?

Nie wchodzą w szkodę. Nie niszczą plonów, np. miód z uli wyjadają absolutnie incydentalnie. Nie napadają też na ludzi, dotąd nie odnotowano śmiertelnego ataku. A to przecież gatunek niedźwiedzia należący do rzędu ssaków drapieżnych. Może wyglądać jak niewinna puchata kulka, ale ma czym gryźć, iluś opiekunów i nieostrożnych zwiedzających zostało bardzo dotkliwie pokąsanych. Z kolei słonie indyjskie bywają niebezpieczne i pasą się na polach uprawnych. Z tego powodu były w Chinach przedmiotem powszechnych polowań, także ze względu na swoje ciosy. Kryły się w lasach, ale te szybko znikały wraz z rozwojem chińskiej cywilizacji. Równolegle zmniejszał się zasięg pand, które jednak przetrwały, bo wypierane z nizin chroniły się na wyższych ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ obszarach. Wędrowały tam, dokąd ludzie długo nie docierali. Miały też więcej szczęścia niż np. tygrysy południowochińskie. Tylko w latach 50. i 60. zabito ok. 3 tys. tygrysów. Zorganizowano kampanię ich eksterminacji pod hasłem „Zabij tygrysa, zgładź plagę". Tradycyjnie w kulturze chińskiej tygrysy grały bardzo ważną rolę symboliczną. Podczas rewolucji kulturalnej atakowano tradycję i masowo niszczono dzieła sztuki. Wtedy tygrysa napiętnowano jako szkodnika, a kariera pandy ruszyła z kopyta.

Z drugiej strony atrakcyjność pand troszkę blednie, skoro mają się nieco lepiej.

Obecnie na wolności żyje ich ok. 1,9 tys. Przed dekadą Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody o jedno oczko obniżyła ich status, z gatunku zagrożonego wyginięciem w stanie dzikim na gatunek na wyginięcie narażony. W Chinach podniosły się głosy oburzenia. Wynikały z obawy, że narodowy skarb straci wartość. Pand jest coraz więcej, ale pewnie i tak będą jeździć po świecie. Zależy na tym i Chinom, i zagranicznym ogrodom. Z tego powodu za rządów Xi zwiększyła się liczba zwierząt przetrzymywanych w zagranicznych ogrodach zoologicznych.

Pandy są odpowiednio chronione? Przeznaczony dla nich park narodowy ma 2,7 mln ha, to obszar dużego polskiego województwa.

W parku żyje 90 proc. dzikich pand. Składa się z kilku części i populacje z poszczególnych fragmentów trwają w izolacji, oddzielone zamieszkanymi przez ludzi dolinami. Priorytetem powinno być połączenie ich atrakcyjnymi korytarzami ekologicznymi. Obecnie za największe zagrożenie uznaje się budowę szlaków komunikacyjnych i wypas zwierząt gospodarskich spychający pandy w głąb lasów. Wypas jest tolerowany, bo prowadzą go lokalne społeczności pochodzenia tybetańskiego. Teraz ChRL mniej liczy się z mniejszościami etnicznymi, ale dawniej traktowano je z większą pobłażliwością, obawiano się zapędów separatystycznych. Dlatego kłusownik, który złowił pandę, nie został srogo ukarany. Dlatego też nie organizowano przymusowych wysiedleń osób żyjących obok pand. W latach 80. propozycję przeprowadzki z jednego z rezerwatów dostało 2 tys. osób. Do nowo zbudowanych domów przeniosła się garstka.

Wycinki już nie są groźne?

W chińskich lasach naturalnych obowiązuje zakaz wycinania drzew, nie wolno pozyskiwać w nich drewna. Chińczycy przeszli długą drogę. Rozwój przemysłu sprawił, że w latach 60. jedynie 9 proc. kraju było pokryte lasami. Teraz, po okresie intensywnego sadzenia, doszli do 25 proc. Wpływ na decyzję o zalesianiu miała m.in. powódź znad Jangcy w 1998 r. Doprowadziła do szkód oszacowanych na 36 mld dol., 13 mln osób pozostało bez domów. Do wylewów przyczynił się intensywny spływ wody deszczowej z gór ogołoconych z drzew.

Wartość przyrodnicza lasu sadzonego jest o wiele mniejsza od tego, który wyrósł spontanicznie. Ile jest rzeczywistej troski o środowisko w opowieści partii komunistycznej o budowie „cywilizacji ekologicznej"?

Na pewno rośnie świadomość społeczna, choć nie wynika ona, jak bywa na Zachodzie, z bezwarunkowej miłości do przyrody jako wartości samej w sobie. Chińczycy, i w ogóle Azjaci, są do bólu pragmatyczni. Zwłaszcza najstarsze pokolenia patrzą na środowisko przez pryzmat wymiernych korzyści. Będą ją chronić, jeśli poprawi to warunki życia, wydajność produkcji czy pozytywnie wpłynie na gospodarkę. Są też dumni, więc nie przyjmują zagranicznych upomnień czy próśb. W badaniach opinii publicznej 94 proc. Chińczyków deklaruje poparcie dla ochrony przyrody. Tak samo na to pytanie odpowiada 73 proc. Amerykanów. Kiedy jednak się sprecyzuje, że ochrona wiązałaby się z pewnymi stratami dla rozwoju, to proporcja się zmienia. W Chinach odpowiedź twierdzącą podtrzymuje 50 proc. pytanych, a w Stanach Zjednoczonych 60 proc.

To skąd nabożeństwo do ochrony pand?

Ich charyzma bezpośrednio i namacalnie przekłada się na lokalną gospodarkę. Wszystko, co z nimi związane – zakwaterowanie, oglądanie siedlisk, odwiedzanie ośrodków pokazowych czy przedmioty z pandami – dostarcza znacznych korzyści finansowych. Swego czasu policzono, że łańcuch wartości generowany przez rezerwaty przynosi 27 razy więcej przychodów niż koszt utrzymania tych obiektów. Odwiedziłem wiele chińskich ogrodów zoologicznych i w każdym pandy były traktowane jak członkowie rodziny królewskiej.

Jako maskotki partii i państwa?

Muszą się prezentować nienagannie. W każdym ogrodzie ich wybieg był zawsze najwyższej jakości, gdy wybiegi innych zwierząt – małp człekokształtnych czy lwów – bywały we wręcz opłakanym stanie. O chińskim podejściu do zwierząt wiele mówi los niedźwiedzi himalajskich, skądinąd bardzo bliskich krewnych pand wielkich. Też są chronione prawem, a przechodzą gehennę. W całym kraju do 10 tys. niedźwiedzi przetrzymywanych jest w mikroskopijnych klatkach. Także tak małych, że nie mogą się nawet obrócić. Z boku tak więzionego niedźwiedzia wystaje rurka, bo ze sztucznie podtrzymywanej przetoki pozyskuje się żółć. Mającą właściwości lecznicze, do pewnego stopnia potwierdzono je badaniami. Tyle że podobnie działające środki da się uzyskiwać syntetycznie, więc męczenie niedźwiedzi nie ma żadnego sensu.

Czy udało się przełamać trudności związane z trzymaniem pand w niewoli?

Jeszcze w latach 80. i 90. jedynie 40 proc. osobników skutecznie przystępowało do rozrodu. Śmiertelność młodych wynosiła ok. 60 proc. Pod koniec XX w. chińscy naukowcy wspólnie z amerykańskimi przebadali 64 osobniki. Ustalono też, że w hodowli nie brano pod uwagę skomplikowanych zachowań godowych, m.in. tego, że w naturze kilka samców rywalizuje o jedną samicę, która przygląda się walce z drzewa. W 2024 r. populacja w niewoli wynosiła 760 osobników, podwoiła się w ciągu dekady, bez wspomagania osobnikami z wolności. Obecnie przeżywalność młodych sięga 90 proc. Bliźniaki są czasowo rozdzielane – gdy jeden przebywa z matką, drugi przetrzymywany jest w inkubatorze.

A czy zwierzęta z hodowli trafiają na wolność?

Reintrodukowano pojedyncze osobniki. Choć w ośrodkach hodowlanych stosuje się różne sztuczki, by zakamuflować ludzki zapach, to wypuszczanie hodowlanych pand nie przynosi spektakularnych efektów. Mają kłopot z dostosowaniem do naturalnych warunków. Równolegle liczebność dzikiej populacji w XXI w. wzrosła o kilkanaście procent. Co podważyło przekonanie, że pandy wielkie nie przetrwają na wolności. Tymczasem radzą sobie bardzo dobrze. Wystarczyło zostawić je w spokoju.

ROZMAWIAŁ JĘDRZEJ WINIECKI

Piotr Parzymies – doktor nauk biologicznych, absolwent Uniwersytetu Oksfordzkiego i Uniwersytetu Londyńskiego. Autor książki „Historia pandy wielkiej, czyli z bambusowego lasu na dyplomatyczne salony". Mieszka w Singapurze.

© DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 7cd57e2719

Może by zasiać co...

Przejście od łowiectwa do rolnictwa nie było nieuniknionym etapem historii ludzkości. Nie było też jednej „rewolucji neolitycznej", lecz setki lokalnych „eksperymentów społecznych".

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Archeolog Gordon Childe prawie sto lat temu wprowadził pojęcie „rewolucji neolitycznej", przez które rozumiał definitywne przejście z gospodarki zbieracko-łowieckiej na rolnictwo i hodowlę. Miało się ono rozpocząć ok. 10 tys. lat temu na Bliskim Wschodzie i rozprzestrzenić po świecie – długo nie dopuszczano nawet myśli, że mogły istnieć inne ośrodki tej innowacji. W tej wizji małe mobilne grupy łowców-zbieraczy ustępowały miejsca rolnikom, których styl życia był bardziej stabilny i wydajny. Opornych wypychano na wyspy, bagna lub inne nierolnicze regiony. Dziś wiemy jednak, że przez długie okresy jedni i drudzy egzystowali obok siebie, współpracując i wpływając na siebie nawzajem. Często pośrednikami tych kontaktów były kobiety.

Krewni aż po grób

Namacalnym świadectwem tych relacji są dziś cmentarzyska. Dzięki analizom pochówków i DNA można sprawdzić, kto był z kim spokrewniony i jak wyglądały więzi społeczne. Z paleolitu znane są bardzo nieliczne wspólne pochówki i zazwyczaj nie leżą w nich osoby spokrewnione genetycznie. Ok. 34 tys. lat temu w Sungirze na Syberii dwóch chłopców, wyposażonych w tysiące paciorków z kości mamuta, pochowano twarzą w twarz. Analiza DNA wykazała, że nie byli braćmi, jak wcześniej sądzono. W potrójnym grobie z Dolnych Věstonic na Morawach sprzed ok. 31 tys. lat jeden z młodzieńców był niepełnosprawny, więc zakładano, że pochowano go z bliskimi, ale badania genetyczne to wykluczyły. Wyglądało więc na to, że składanie kilku ciał do jednego grobu miało znaczenie symboliczne lub społeczne, a nie rodzinne. Nie zawsze jednak tak było.

Na Gotlandii ok. 5–4,5 tys. lat temu rolnicy żyli w sąsiedztwie jednej z ostatnich społeczności łowców-zbieraczy w Europie. Na ich cmentarzysku w Ajvide obok pojedynczych grobów znajdują się także zbiorowe. Najnowsze analizy DNA 34 pochowanych tam osób wykazały, że składano w nich rodziców z dziećmi, rodzeństwo albo dalszych krewnych. W jednym z grobów dwa maluchy leżały razem z ciotką lub przyrodnią siostrą, co może ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

wskazywać, że opiekę nad dziećmi dzielono między krewnych.

Badacze sądzą, że taki model ukształtował się pod wpływem rolników, dla których – ze względu na dziedziczenie ziemi i dóbr – więzi rodzinne miały szczególne znaczenie. Mężczyźni na cmentarzysku w Ajvide byli ze sobą genetycznie spokrewnieni, a kobiety pochodziły z zewnątrz i miały haplogrupy charakterystyczne dla populacji rolniczych. Najwyraźniej to rolniczki wprowadzały do społeczności łowieckich nowe zwyczaje.

Gotlandia nie była wyjątkiem – w północno-środkowej Europie istniało u schyłku paleolitu (w mezolicie) więcej enklaw ludności, które przez tysiąclecia utrzymywały kontakty z rolnikami. Zespół kierowany przez Davida Reicha z Harvard Medical School oraz Iñigo Olalde z Uniwersytetu Kraju Basków porównał DNA 112 osób żyjących między ok. 10,5 tys. lat temu a 3,7 tys. lat temu w dolinach i deltach Renu oraz Mozy. Podczas gdy w południowej Europie rolnictwo było już jedyną strategią przetrwania, tam łowcy-zbieracze korzystali z bogatych zasobów wodnych i leśnych. Dzięki rybom, ptactwu i dzikim roślinom styl życia łowców-zbieraczy mógł być równie stabilny jak gospodarka rolnicza. Na pewno społeczności te nie trwały w izolacji – nie tylko używały ceramiki rolników, ale też adaptowały różne praktyki gospodarcze i formy organizacji życia. Niektóre nawet miały poletka uprawne.

Podobnie jak na Gotlandii rolnicze geny przybywały tam głównie z kobietami. Najwyraźniej granica między łowcami a rolnikami bywała przepuszczalna najczęściej w jedną stronę: albo więc dla rolniczek model życia w społecznościach mezolitycznych był atrakcyjny, albo też rolnicy nie mieli nic przeciwko oddawaniu swoich kobiet sojusznikom z sąsiedztwa. O tym, że łowczynie-zbieraczki również trafiały do osad farmerów, świadczy obecność ich genów w populacjach rolniczych. Szkoda, że się nie dowiemy, który z tych transferów był bardziej pożądany i na ile były one dobrowolne.

Po co sadzić, jak samo rośnie?

Na ziemiach dzisiejszej Polski zbieractwo i łowiectwo też najdłużej przetrwało na północy, na terenach z dobrym dostępem do wody. W Dąbkach na Pomorzu żyjące ok. 5–3,5 tys. lat p.n.e. społeczności kultury Ertebølle w zamian za skóry, dziczyznę czy suszone ryby otrzymywały od rolników zboża i nabiał. Nad Zatoką Gdańską żyjąca z połowów ryb ludność kultury rzucewskiej utrzymywała bliskie relacje z rolnikami z głębi lądu. W zamian za skóry fok, bursztyn i inne morskie dobra otrzymywano nie tylko ceramikę, ale i zwierzęta hodowlane, co zmieniało przyzwyczajenia kulinarne. Ale w żadnym razie nie były to wpływy jednostronne.

> W wielu regionach świata granica między rolnictwem a łowiectwem była naprawdę płynna.

Relacje między łowcami-zbieraczami i rolnikami działały w obie strony, na co wskazują pozostałości tłuszczów na najstarszych naczyniach rolników. W 2016 r. zespół Alexandre'a Lucquina z University of York przeanalizował lipidy z blisko 600 naczyń ceramicznych ze stanowisk w Danii, północnych Niemczech i Polsce oraz w krajach bałtyckich. Okazało się, że rolnicy, którzy dotarli nad Bałtyk ok. 7,5 tys. lat temu, zaczęli intensywnie korzystać z zasobów morza, chociaż wcześniejsze analizy ceramiki ze stanowisk nadmorskich w zachodniej Europie pozwalały przypuszczać, że takie praktyki były bardzo rzadkie.

Jednym z najtrwalszych stereotypów jest przekonanie, że łowcy-zbieracze żyli w małych izolowanych grupach, niezdolnych do budowania złożonych relacji społecznych. Jednak z najnowszych badań zespołu Marty Sanchez de la Torre z uniwersytetu w Barcelonie wynika, że późne społeczności paleolityczne tworzyły rozległe sieci współpracy, obejmujące wymianę surowców, informacji i partnerów. Dlatego kontakty z rolnikami nie były czymś wyjątkowym, a zjawisko przejmowania poszczególnych technologii przy zachowaniu własnego trybu życia nie musiało być przejściową fazą „na drodze do rolnictwa", lecz trwałą strategią gospodarczą.

Pierwsze ślady upraw, na które archeolodzy natrafili nad Jeziorem Tyberiadzkim w Izraelu, mają 23 tys. lat. Ludzie siali tam dziką pszenicę płaskurkę, jęczmień i owies, ale na tak małą skalę, że nie doszło do udomowienia tych zbóż. Gdy uprawy stały się nieopłacalne – z powodu wyjałowienia gleb lub zmian klimatycznych – powrót do zbieractwa i łowiectwa był logicznym i przez całe tysiące lat oczywistym rozwiązaniem. Jak pisze Piotr Kołodziejczyk w książce „Tam, gdzie mieszka wiatr. Archeologiczne zagadki Bliskiego Wschodu", pozostanie przy gospodarce wytwórczej było wynikiem kilku zjawisk: kumulacji dotychczasowych doświadczeń agrarnych, sprzyjających warunków klimatycznych i przyrostu demograficznego. Ponieważ wiązało się z głęboką reorganizacją wspólnot – życiem osiadłym, potrzebą magazynowania dóbr i formami własności, które prowadziły do narastania nierówności i konfliktów o zasoby – w wielu społecznościach koszty postawienia tylko na rolnictwo nie rekompensowały zysków.

Łowcy-zbieracze, nawet jeśli doskonale znali zasady uprawy roślin, świadomie z nich nie korzystali, bo „po co sadzić, skoro na świecie jest tyle orzechów mongongo?", jak mówili antropologom Buszmeni z plemienia !Kung. Tam gdzie jedzenia było w bród, rolnictwo oznaczało więcej pracy i większą zależność od kaprysów pogody, więc wczesne społeczności mogły traktować je jako rozwiązanie ostateczne. Jak podkreślali David Graeber i David Wengrow w „Narodzinach wszystkiego", wiele społeczności uprawiało rośliny, ale nie podporządkowywało ich produkcji całej gospodarki. Model mieszany mógł wyżywić stosunkowo duże populacje.

Świat łowców-zbieraczy nie był prymitywny. To oni w Chinach, Korei i Japonii ponad 10 tys. lat przed rolnikami zaczęli wypalać ceramikę. W Turcji w Göbekli Tepe wznieśli monumentalne kamienne kręgi 12 tys. lat temu. W Lepenskim Virze w Serbii, nad Dunajem, ok. 8,4 tys. lat temu zbudowali osadę z trapezowatymi domami o podłogach z wapiennej zaprawy. W Sannai Maruyama w Japonii osada sprzed 5,9 tys. lat składała się z setki drewnianych zabudowań i wież. W amerykańskim Poverty Point niecałe 2 tys. lat później łowcy-zbieracze zaczęli usypywać ogromne wały w kształcie koncentrycznych pierścieni, grające rolę centrów handlowo-ceremonialnych.

Rolnictwo nie było więc nieuniknionym etapem historii ludzkości. Graeber i Wengrow zwracali uwagę, że w wielu regionach świata ludzie wybierali różne sposoby życia, a granica między rolnictwem a łowiectwem była znacznie bardziej płynna, niż przez lata zakładano. Zamiast jednej „rewolucji neolitycznej"

eprasa.pl 7cd57e2719

istniało wiele lokalnych eksperymentów społecznych.

Badania z doliny Uspallata w Argentynie opublikowane 18 marca w „Nature" pokazują, że „eksperymentowanie" nie było wyjątkiem, lecz regułą. Analiza DNA 46 osób oraz izotopów z ich kości wykazała ciągłość lokalnej populacji przez niemal 2 tys. lat – bez śladu zastąpienia jej przez przybyszy. Rolnictwo było tam stopniowo przyjmowane i przez długi czas współistniało z innymi strategiami zdobywania pożywienia. Co więcej, moment największego uzależnienia od upraw (ok. 600–800 lat temu) zbiegł się z kryzysami: niedożywieniem, chorobami (gruźlicą) i depopulacją. Przetrwanie wynikało więc z mobilności opartej na więziach rodzinnych, często wzdłuż linii żeńskiej. To takie przypadki mieli na myśli Graeber i Wengrow, pisząc o społeczeństwach, które nie tyle „przechodziły" do rolnictwa, ile testowały je na własnych warunkach.

Chłopomyśliwi

Europejska historia wypychania łowców-zbieraczy ku wybrzeżom i północy miała swój odpowiednik w Azji Południowo-Wschodniej. Archeolodzy mówią o „hipotezie dwuwarstwowej" (*two-layer hypothesis*). Pierwszą „warstwę" stanowili paleolityczni łowcy-zbieracze związani z tradycją Hòabìnhian; drugą – rolnicy przybywający z południowych Chin od ok. IV tys. p.n.e., niosący ze sobą uprawę ryżu, nowe technologie oraz wyższy potencjał demograficzny. Migracje te zapoczątkowały długotrwały proces mieszania się, konkurencji i współpracy.

Zespół Eske Willersleva z uniwersytetu w Kopenhadze na podstawie analiz DNA wykazał, że pierwsze społeczności rolnicze w Azji Południowo-Wschodniej mieszały się z lokalnymi łowcami-zbieraczami, by w kolejnych tysiącleciach udział komponentu genetycznego typowego dla rolników systematycznie rósł. Tropikalne lasy Azji Południowo-Wschodniej stały się domem łowców-zbieraczy. Ponieważ jednak życie z łowiectwa i zbieractwa w gęstym lesie równikowym jest wyjątkowo trudne bez płodów roli, obecność myśliwych w tym środowisku mogła być wtórna. Dlatego Semangowie z Półwyspu Malajskiego, którzy jeszcze do niedawna utrzymywali się ze zbieractwa i łowiectwa, przez stulecia w zamian za rattan, żywicę i kamforę dostawali od zaprzyjaźnionych rolników narzędzia, ceramikę i ryż.

> Czasem w obrębie jednego plemienia lawirowano między dwiema formami gospodarki.

Dopóki istniała taka wymiana, nie było potrzeby zmiany strategii utrzymania.

Północ Euroazji stała się ostoją dawnego stylu życia, bo dla rolników granicę nie do przebycia stanowił klimat. Tamtejsi łowcy-zbieracze tworzyli osiadłe kultury, czego śladem jest znaleziony w 2019 r. fort w zachodniosyberyjskiej Amnii nad rzeką Ob, zbudowany 8 tys. lat temu. 10 domów otoczonych wałami i palisadami to najstarsza i najbardziej wysunięta na północ osada obronna Eurazji, broniąca dostępu do łowisk migrujących przez tajgę ryb – oraz do zgromadzonych w elegancko wypalonych garnkach zapasów.

Dopiero ekspansja hodowców reniferów, koni i bydła zaczęła wywierać presję na łowców-zbieraczy. Pasterze zaczęli spychać ich ku peryferiom arktycznym – zamieszkujący je dziś Ketowie i Jukagirzy to nosiciele archaicznych linii genetycznych. Ten sam mechanizm przetrwania widać u Saamów w Skandynawii – w ich DNA też jest widoczna stara linia europejskich łowców-zbieraczy, ale i wyraźny ślad migracji z północnej Syberii.

Kontrapunktem dla eurazjatyckiego scenariusza jest Ameryka Północna, gdzie aż do przybycia Europejczyków obok populacji rolniczych żyły mobilne społeczności myśliwych. W dolinie Missouri budujący ufortyfikowane miasta i uprawiający kukurydzę Mandanowie sąsiadowali z polującymi na bizony Lakotami (Siuksami). Grupy te spotykały się na jarmarkach, handlowały i wymieniały idee, pozostając przy odmiennych wizjach życia.

Mogło być też tak, że w obrębie jednego plemienia lawirowano między dwiema formami gospodarki, a nawet modelami społecznymi, co Graeber i Wengrow nazwali „rolnictwem na pół etatu". Na przykład przedstawiciele Ludów Wielkich Jezior, jak Ottawowie, latem gromadzili się w dużych osadach i uprawiali kukurydzę, jesienią zaś plemię dzieliło się na małe, mobilne i egalitarne grupy myśliwskie. Rolnictwo było dla nich sezonowym wyborem, a płynna struktura społeczna dostosowywała się do bieżących potrzeb.

Wywracające nasze myślenie o neolicie obyczaje panowały natomiast u ludu Nambikwara w Amazonii. Układy egalitarne obowiązywały, gdy uprawiano w ogrodach maniok, kukurydzę i tytoń, a dobrowolnie podporządkowywano się silnemu wodzowi w porze suchej, przechodząc w tryb mobilnych łowców. Nadzór nad grupą usprawniał działanie w trudnym terenie. Przejście do rolnictwa nie musiało więc zawsze oznaczać narodzin hierarchii – bywało wręcz odwrotnie.

Tak niewielu ocaliło tak wiele

Historia przejścia od łowiectwa do rolnictwa nie była jednokierunkowa. Czasem rolnictwo przychodziło wraz z migracją całych populacji, czasem wraz z kobietami, które wżeniały się w społeczności łowiecko-zbierackie, przynosząc ze sobą nowe umiejętności i praktyki. W innych przypadkach odmienne strategie gospodarowania mogły współistnieć przez tysiąclecia. Neolityzacja była serią lokalnych negocjacji między ludźmi a środowiskiem oraz różnymi grupami o różnych wizjach życia. Choć rolnictwo ostatecznie zdominowało krajobraz Eurazji, nie dlatego „wygrało", że było zdrowsze, lżejsze czy bardziej egalitarne. Przeciwnie – przez tysiąclecia oznaczało cięższą pracę, uboższą dietę i większą podatność na choroby. Jego przewaga polegała na zdolności do podtrzymywania rosnącej liczby ludzi na ograniczonej przestrzeni.

Tam gdzie pojawiały się pola uprawne i stada, łowcy-zbieracze byli wypychani na margines, ale przetrwali na terenach rolniczo nieprzydatnych. Nie są to odizolowane od świata grupy. Inuici w Arktyce, Pirahã w puszczy amazońskiej, Buszmeni na pustyni Kalahari, Hadza w Tanzanii, Batek w tropikalnych lasach Malezji czy Agta na Filipinach funkcjonują w sieciach wymiany, pracy sezonowej i kontaktów małżeńskich. Nie porzucają własnych strategii mobilnych, przejmują wybrane elementy gospodarki osiadłej, a nawet korzystają ze zdobyczy technologicznych. Zostało ich niewielu, bo rolnictwo i krocząca za nim cywilizacja tak zmieniły warunki gry, że inne strategie przetrwania stały się trudne do utrzymania. Dlatego tak kurczowo trzymają się tradycji? To nie lenistwo, głupota ani zabobonny strach, lecz obawa przed utratą wolności.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

eprasa.pl 7cd57e2719

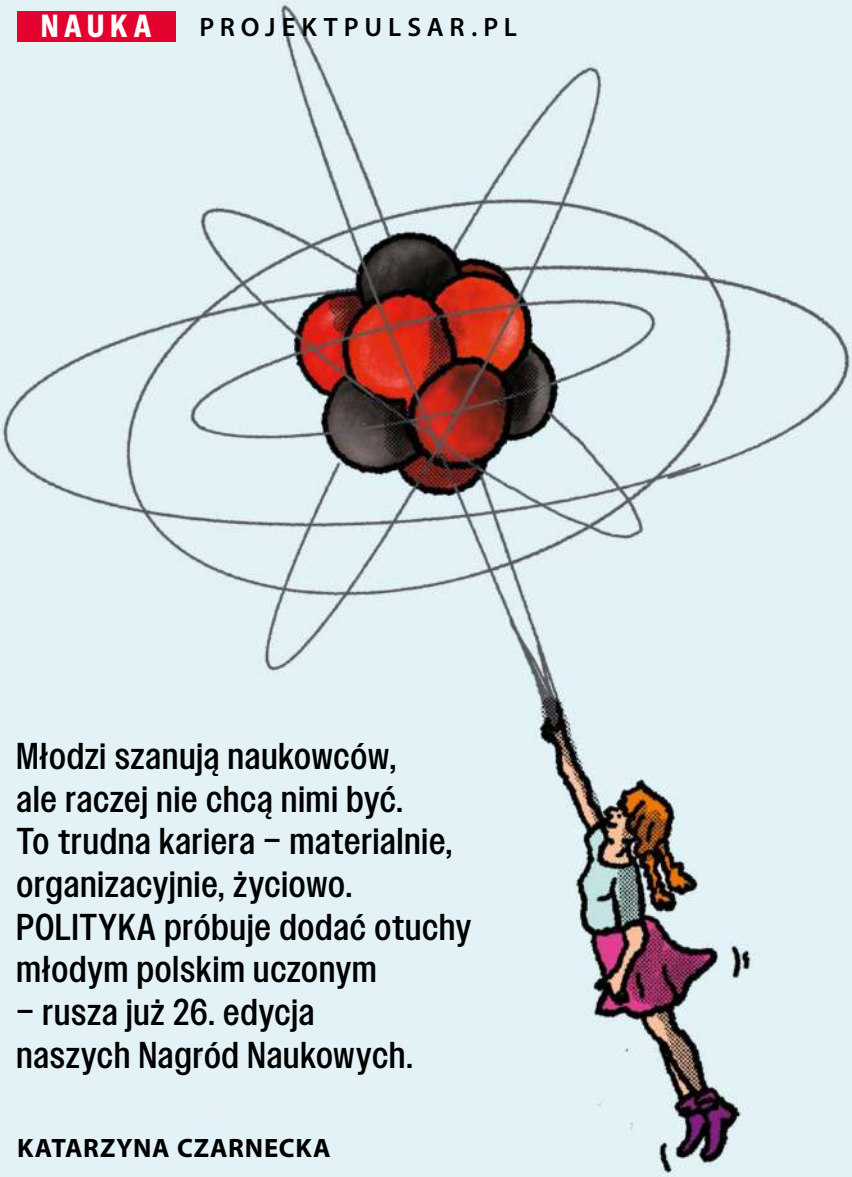

ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

Młodzi szanują naukowców, ale raczej nie chcą nimi być. To trudna kariera – materialnie, organizacyjnie, życiowo. POLITYKA próbuje dodać otuchy młodym polskim uczonym – rusza już 26. edycja naszych Nagród Naukowych.

KATARZYNA CZARNECKA

To może być kraj dla doktorów

Nie chcę zostać naukowcem – deklaruje ponad 80 proc. ósmoklasistów. Być może dlatego, że postrzegają ten zawód stereotypowo. „Każdy tak widzi naukowca: starszy pan z ubytkiem włosów na głowie" – mówią. Albo: „Życie naukowców jest średnio interesujące, bo po pracy ani znajomych, ani rodziny". Nienajlepiej jest także z zaufaniem do nich: 37 proc. dzieci go nie ma. Ten pogląd zmienia się później – w to, co mówią uczeni, wierzy 57 proc. osób w wieku 15–19 lat i 74 proc. tych do 25. roku życia.

Nie znaczy to, że nastolatki oceniają badaczy negatywnie. Przypisują im cechy, takie jak inteligencja, wiarygodność i umiejętność współpracy. Za autorytety uznaje ich ok. 70 proc. respondentów i dla mniej więcej takiej grupy są oni źródłem informacji. Skąd więc ta ambiwalencja?

„Naukowcy to osoby do pewnego stopnia oderwane od problemów codzienności" – stwierdzają przywołani wcześniej młodzi uczestnicy badania przeprowadzonego w ramach programu „Nauka dla Ciebie" ministra nauki i szkolnictwa wyższego oraz Centrum Nauki Kopernik. A także: „Jak ktoś jest bogiem nauki, to pojawia się wstyd i strach – więc trzeba, żeby on był bardziej dostępny, żeby nie był taki zdystansowany i wszechwiedzący, bo to onieśmiela".

Pytani stwierdzają też, że chociaż nauka – w postaci swoich zdobyczy – towarzyszy im niemal w każdym aspekcie życia, brakuje im bezpośredniego kontaktu z nią. A bardzo chcą się na tym polu – na miarę swoich możliwości – angażować, przede wszystkim uczestnicząc w wydarzeniach organizowanych poza szkołą. Bo z jednej strony podczas lekcji rzadko naukę dostrzegają, z drugiej zaś zauważają: „Nie zainteresujesz 30 osób jednym tematem, bo się nie da" oraz „Byłam w prosektorium. Fajnie, że to było naturalne i że nie uczymy się w miejscu do tego przydzielonym, że to była rzeczywista sytuacja". Słowem: młodzi ludzie nie chcą pozostawać tylko w roli uczniów, chcą uczestnictwa, nowych doświadczeń.

Chcę zostać naukowcem – tak deklaruje niecałe 2 proc. z 1,2 mln studentów i rozpoczyna studia doktoranckie. Co nimi kieruje? Można zaryzykować tezę, że głównie badawcza pasja, bo taka decyzja oznacza – jak piszą w marcowym „Science" wrocławscy badacze Alan Żukowski i Martyna Stępień – dołączenie do grona prekariuszy. Po pierwsze, ich stypendia wynoszą na początku ok. 3,5 tys. zł brutto, a w połowie studiów ok. 5,5 tys. brutto. Po drugie, nie są zatrudniani na etaty, a zatem „nie mają regulowanego czasu pracy ani prawa do zwolnienia chorobowego, co sprawia, że długotrwała choroba stanowi poważną przeszkodę w ukończeniu doktoratu. Choć prawo przewiduje płatne zawieszenie kształcenia na czas urlopu poporodowego, doktoranci będący rodzicami nie otrzymują wsparcia organizacyjnego. Ponadto programy te nie przewidują systemowych mechanizmów ochrony przed dyskryminacją, nadużyciami czy molestowaniem, a odpowiedzialność instytucjonalna za rozwój młodych naukowców pozostaje niejasna. Narodowe Centrum Nauki nie określa natomiast wymogów dotyczących czasu pracy, stabilności zatrudnienia, mentoringu ani własności i upowszechniania wyników badań".

eprasa.pl 7cd57e2719

Autorzy przyznają, że tego typu problemy nie dotyczą jedynie Polski. I apelują: „Wysiłki Unii Europejskiej na rzecz obrony wolności akademickiej na świecie będą jednak ograniczone, jeśli nie zostanie rozwiązany problem strukturalnej marginalizacji doktorantów. UE powinna wymagać od państw takich jak Polska zapewnienia doktorantom godziwego wynagrodzenia i wsparcia rozwoju kariery. W tym celu powinna przyjąć bezpośrednie regulacje gwarantujące doktorantom pełną ochronę pracowniczą oraz wspierać państwa członkowskie we wdrażaniu odpowiednich polityk”.

Chcemy wspierać młodych naukowców – zadeklarowała POLITYKA ponad ćwierć wieku temu i tego postanowienia się trzyma. W ciągu tych lat dzięki pomocy partnerów finansowych – firm, fundacji i stowarzyszeń – oraz naszych czytelników, którzy wpłacali 1 proc., a później 1,5 proc. podatku oraz darowizny, Fundacja Tygodnika POLITYKA wsparła 407 naukowców kwotą prawie 7,3 mln zł. Laureaci naszych stypendiów mogą przeznaczyć te pieniądze na dowolne cele. „Naszym założeniem jest nigdy nie sprawdzać, nie rozliczać tych stypendiów w żaden sposób, tak jak to bywa przy stypendiach ściśle naukowych – mówiła podczas ubiegłorocznej jubileuszowej gali pomysłodawczyni akcji Ewa Wilk. – Wydawajcie na lodówki, na buty dla dziecka, na cokolwiek. I co? Nikt nie wydał na lodówki. Pytaliśmy: wszystko ci stypendyści roztrwonili: a) na książki, b) na komputery, c) na kwerendy zagraniczne”.

Celem naszej akcji stypendialnej było również podniesienie prestiżu nauki i zwiększenie świadomości społecznej na temat pracy badaczy. Także dlatego cztery lata temu powstał Pulsar – portal popularnonaukowy POLITYKI. Jego redakcja przygotowuje co tydzień podkasty i wideokasty z młodymi badaczami, organizuje spotkania z nimi, zaprasza ich do dyskusji na festiwalach naukowych. Jesteśmy też wydawcą dwóch prestiżowych czasopism popularnonaukowych: „Wiedzy i Życia”, która właśnie obchodzi swoje 100-lecie, i licencyjnego „Świata Nauki – Scientific American”.

Wrocławscy naukowcy zatytułowali swój tekst stwierdzeniem „Polska: To nie jest kraj dla doktorantów”. Losy polskiej nauki są w naszych – władz, biznesu, mediów i obywateli – rękach. ■

NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Harmonogram 2026:

14 czerwca (niedziela) koniec przyjmowania zgłoszeń
24 czerwca (środa), I spotkanie Kapituły Profesorskiej
9 września (środa), II spotkanie Kapituły Profesorskiej
23 września (środa), spotkanie Kapituły Obywatelskiej
18 października (niedziela), godz. 14 gala wręczenia stypendiów

Więcej informacji o programie na stronie: **polityka.pl/stypendia**

REKLAMA

26
NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Przez 25 lat wsparliśmy 407 naukowców!

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!

Formularz zgłoszeniowy: **polityka.pl/stypendia**

Na zgłoszenia czekamy do 14 czerwca!

Partner Główny
Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL®

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX®
zaks sprzyjamy wyobraźni

Patron honorowy
Marcin Kulasek
Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 7cd57e2719

Jest jak za naszych czasów

O dzisiejszej Polsce, Unii Europejskiej, o Niemcach, Ukrainie oraz świecie Trumpa i Putina rozmawiamy z awatarami Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego

Pomysł zrodził się pod wpływem rozmowy niemieckiego tygodnika „Die Zeit" z XVIII-wiecznym filozofem gospodarki Adamem Smithem. Hamburczycy nafaszerowali AI pismami tego klasyka i otrzymali bystre uwagi, także o naszych czasach. Czemu więc nie porozmawiać z dwoma gigantami przedwojennej polskiej myśli politycznej? Rozmowa z przodkami to przecież podstawa kultury europejskiej. Homer wmyślał się we frazy bogów olimpijskich i dawno zmarłych wodzów. Szekspir ożywiał na scenie Juliusza Cezara i angielskich królów, Wyspiański – przywódców powstania.

Odpowiedzi na nasze pytania udzieliły dwa modele AI: Gemini i Claude. Miały do dyspozycji – poza całą swoją ogólną wiedzą – zbiory tekstów Józefa Piłsudskiego („Mocny człowiek. Wywiady prasowe z Marszałkiem Piłsudskim w maju 1926 r.", „1926–1929. Przemówienia, wywiady, artykuły", „O Polsce i wojnie. Myśli i aforyzmy Józefa Piłsudskiego") oraz publikacje Romana Dmowskiego („Myśli nowoczesnego Polaka", „Zagadnienie rządu", „Kościół, naród i państwo", „Kwestya Żydowska"). Podyktowane algorytmom instrukcje były neutralne – stan świadomości z lat 30. XX w. i encyklopedyczna wiedza o naszych czasach.

Tak powstała rozmowa – teksty Piłsudskiego i Dmowskiego wygenerowały modele AI. Jest to więc antropomorficzna konstrukcja cyfrowa pod wpływem naszych pytań pomyślana trochę jako primaaprilisowy żart. Jej wartość poznawcza może być jednak jak najbardziej porównywalna z niezliczonym w dziejach kultury literackim wmyślaniem się w „cienie zapomnianych przodków".

ADAM KRZEMIŃSKI, MARCIN ROTKIEWICZ: – Panowie, ponoć Polską wciąż rządzą wasze trumny, powiedzmy – pomniki. Poznaliście panowie polską historię aż do 2026 r. Więc pozwólcie, że zaczniemy od końca: co sądzicie o Unii Europejskiej i naszym w niej członkostwie?

ROMAN DMOWSKI: – Lekcja 1939 r. nas nauczyła, że Polska sama, bez sojuszów realnych i wiążących, a nie papierowych, Polska sama między Niemcami a Rosją jest przedmiotem, nie podmiotem polityki. Zatem Polska w UE – tak. Ale rozpuszczona w europejskim tyglu, w którym zanika jej indywidualność narodowa – nie. A granica między jednym a drugim przebiega tam, gdzie kończy się współpraca gospodarcza i zaczyna dyktowanie norm moralnych, kulturalnych i politycznych.

JÓZEF PIŁSUDSKI: – Pan patrzy na Unię oczami handlarza i dyplomaty – ile zyskamy, ile stracimy, jaki procent suwerenności można sprzedać, a jakiego nie. Ja patrzę inaczej. Na to, co ta Unia robi z duszą żołnierza, z gotowością narodu do obrony. I widzę, że większość zachodnich narodów straciła instynkt walki. Poddały się wygodzie. Więc powiem tak: nie jestem przeciwnikiem sojuszów, jestem przeciwnikiem sojuszów, które usypiają. Jeżeli Unia daje pieniądze, drogi, rynki i jednocześnie nie rozbraja dusz – jest dobra. Jeżeli mówi Polakom: nie musicie być czujni, nie musicie być twardzi, bo my za was wszystko załatwimy – to jest jak trucizna.

Dziś Unia się zbroi, wraca idea euroarmii. Jednak nasza „postendecka" prawica uważa, że zbroić powinniśmy się sami, opierając się na Ameryce, a nie „niemieckiej Europie". Pan Dmowski zawsze głosił, że Niemcy są dla Polski groźniejsze niż Rosja, czy dopuszcza pan pojednanie z tym „odwiecznym wrogiem", traktowanie go jak sojusznika?

R.D.: – Egoizm narodowy – ten, który ja głosiłem – to jest chłodna kalkulacja własnych korzyści. To nie jest ślepy strach przed sąsiadem i nie jest wieczna wrogość, która zabrania wszelkiej współpracy. Niemcy, które pod Fryderykiem Wielkim na gwałcie i na naszej krzywdzie się budowały, które pod Bismarckiem nas tępiły, które pod Hitlerem postanowiły nas wymordować, poniosły klęskę tak totalną, jakiej nie zaznał żaden wielki naród europejski. I co najważniejsze, same dokonały rachunku sumienia, jakiego nie dokonał żaden inny naród sprawców w dziejach. Nie wszyscy Niemcy, nie do końca, nie bez fałszywych tonów – ale w bezprecedensowej skali.

Dzięki temu mamy, to znaczy wy macie, najdłuższy okres pokoju w historii Niemiec od czasów Karola Wielkiego. Czy to dlatego, że Niemcy stały się pokojowe z natury? Nie sądzę. UE, NATO, wzajemne zależności gospodarcze – to wszystko sprawia, że niemiecki egoizm narodowy, który ja doskonale rozumiałem i opisywałem, realizuje się innymi metodami.

© GETTY IMAGES, NAC

eprasa.pl 7cd57e2719

Ale zarówno UE, jak i NATO powstały i po to, by „omotać" Niemcy nićmi współzależności.

R.D.: – Unia jest w dużej mierze instrumentem niemieckich interesów. Kto tego nie widzi, jest naiwny. Ale jest zasadnicza różnica między sytuacją, w której Niemcy realizują swoje interesy przeciwko Polsce, i taką, w której realizują je wspólnie z Polską. A dzisiejsze Niemcy nas potrzebują. Potrzebują jako rynku, bazy produkcyjnej, bufora wobec Rosji, partnera politycznego w instytucjach europejskich. I my ich potrzebujemy – jako największego partnera handlowego, motoru gospodarki, z której czerpiemy korzyści, gwaranta europejskiego ładu, który nam daje bezpieczeństwo.

J.P.: – No... Widać te prawie sto lat pozagrobowej refleksji wyszło panu na zdrowie. Ale ja na Niemcy patrzę inaczej. To jest

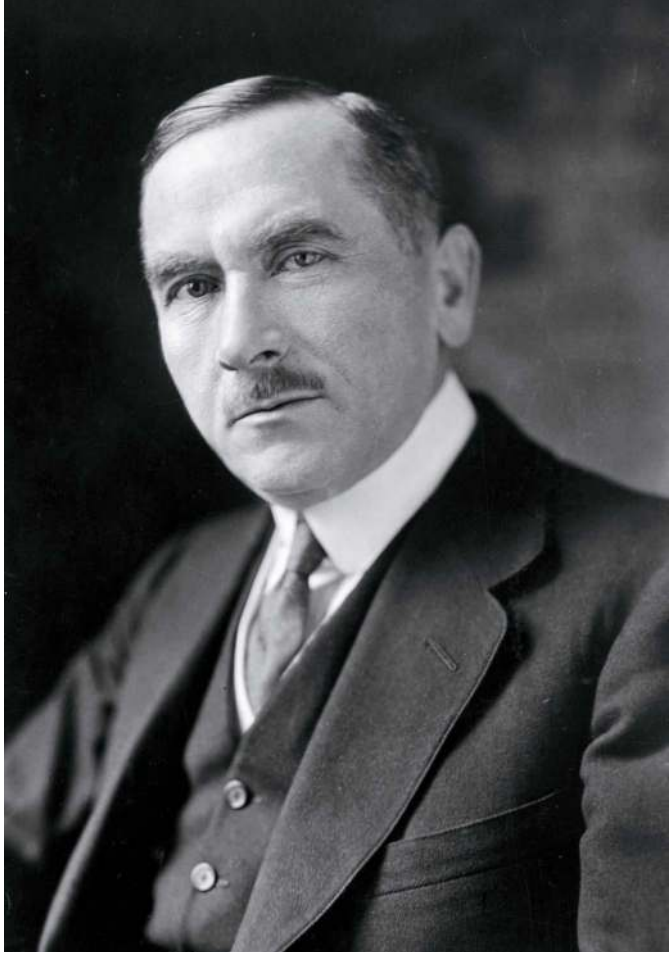

kraj, który sam się rozbroił, sam odmówił bycia mocarstwem militarnym, sam oddał swoją obronę Ameryce. Ja, który całe życie kalkulowałem, ile Niemcy mają dywizji, ile Sowieci mają i czy Polska wytrzyma uderzenie, przyznaję – w takiej konfiguracji Niemcy nie są zagrożeniem militarnym dla Polski. Nie dlatego, że ich kocham, lecz dlatego, że fakty mówią same za siebie.

Dzisiejsze Niemcy nie są wrogiem. Ale żaden mąż stanu nie buduje polityki na założeniu, że dzisiejszy stan trwa wiecznie. Polska musi być w sojuszach, musi być w NATO, musi mieć silną armię i musi mieć to, czego ja w latach 30. nie miałem: prawdziwych sojuszników.

R.D.: – Zgadzam się z panem w kwestii praktycznej, nie filozoficznej. I gdybym dzisiaj żył – naprawdę żył, nie jako cyfrowe widmo – to bym waszym „postendekom" powiedział: ja uczyłem was myśleć kategorią interesu narodowego, a wy myślicie kategorią lęku narodowego. To nie jest to samo. Interes każe czasem współpracować z tym, którego się boimy. Lęk każe tylko uciekać lub się zbroić. Współpracowałbym więc z Niemcami w ramach Unii, bo to leży w interesie Polski. A pojednanie? To jest pojęcie z innego słownika niż mój.

Czy wybór polskiego papieża z inicjatywy niemieckich kardynałów w 1978 r., uznanie granicy w 1990 i traktat z 1991 r. nie są dowodami, że narody się zmieniają? O tym był list polskich biskupów z 1965 r. do niemieckich współbraci.

R.D.: – Muszę powiedzieć coś, co mnie kosztuje. Ten list potwierdza moją tezę o roli Kościoła jako siły kształtującej duszę narodu, ale jednocześnie obala moją tezę o niezmienności antagonizmu polsko-niemieckiego. Bo jeśli Kościół mówi: „przebaczamy", to znaczy, że sam rdzeń tożsamości, którą ja ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ opisywałem, zawiera w sobie zdolność do przemiany, której ja nie przewidywałem.

J.P.: – Nie spodziewałem się tego po panu.

R.D.: – Niech pan nie myśli, że ja się łamię. Ja analizuję.

J.P.: – Panowie, traktat z 1991 r. między Polską a Niemcami jest dowodem politycznym, nie tylko moralnym. Niemcy – ci sami Niemcy, o których pisał pan Dmowski, że ich egoizm jest nieuleczalny – polską granicę zachodnią uznali. Nie od razu, niechętnie, ale uznali.

R.D.: – Niemiecki kanclerz Willy Brandt klęknął w 1970 r. przed Pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie nie dlatego, że dusza niemiecka się odrodziła, lecz dlatego, że interes niemiecki wymagał pojednania z Polską jako warunku normalizacji stosunków z Europą Wschodnią i zjednoczenia Niemiec. Traktat z 1991 r. nie był aktem miłości – był aktem kalkulacji.

J.P.: – Pan znowu redukuje wszystko do kalkulacji! A ja panu powiem: Brandt klęczał i płakał. Pan myśli, że to była gra?

R.D.: – Wierzę, że Brandt czuł, że wielu Niemców czuło i czuje autentyczny wstyd. Ale ja nie buduję polityki na uczuciach, bo uczucia się zmieniają. Buduję ją na strukturach. I struktura powojennej Europy – NATO, UE, wzajemne zależności ekonomiczne – sprawia, że zarówno uczucie, jak i interes ciągną w tym samym kierunku.

Panie Marszałku, trudno dziś nie zapytać pana o Ukrainę. Czy pańska wyprawa kijowska naprawdę była trafna? W końcu granica ustalona w traktacie ryskim niemal pokrywała się z granicą proponowaną w 1919 r. przez bolszewików.

J.P.: – Cel był słuszny: oderwać Ukrainę od Rosji, stworzyć bufor. Gdybyśmy to osiągnęli, może w 1939 r. historia potoczyłaby się inaczej. I żałuję tego do dzisiaj – mówię to jako człowiek, który już zna 1939 r., 1941 r. i 2022 r. Bo wiedzą panowie, co się stało z tą Ukrainą, którą pan lekceważył, panie Dmowski? Ukraina od 2022 r. walczy z Rosją – i walczy o to samo, o co walczył Petlura, o to samo, o co ja walczyłem! Gdyby Ukraina powstała w 1920 r., Polska w 1939 r. miałaby za sobą sojusznika z 30-milionowym narodem zamiast sowiecko-niemieckich kleszczy!

R.D.: – Pan przepraszał Ukraińców w 1921 r., bo ich pan użył i porzucił. Ale sama wyprawa? Szaleństwo w czystej postaci. Podbił pan Kijów tramwajem, po czym Budionny omal nie wjechał do Warszawy konno. I rzeczywiście, granicę ryską dostał pan prawie identyczną z tą, którą bolszewicy proponowali rok wcześniej. Kosztem dziesiątek tysięcy trupów.

Jak już zadajemy trudne pytanie, to spytamy pana Dmowskiego o rozhuśtanie „nowoczesnego" antysemityzmu. Zamach na prezydenta Gabriela Narutowicza, getta ławkowe, oenerowskie bojówki, a w konsekwencji – obojętność wielu Polaków wobec Zagłady.

R.D.: – Żyjecie panowie w epoce, w której Holokaust stał się centralnym doświadczeniem moralnym cywilizacji zachodniej. Ale właśnie dlatego, że sprawę traktuję poważnie, nie zamierzam odpowiadać ani kajaniem się na rozkaz, ani obrażoną godnością. Żaden mój tekst, żadne moje słowo – nawet te najtwardsze – nie prowadzi logicznie do komór gazowych. To jest skok w przepaść, którego dokonali Niemcy – nie Polacy, nie endecja, nie ja.

J.P.: – Jednak to pan stworzył język! Pan dał ludziom słownik! Pan nauczył miliony Polaków, że Żyd to jest problem, który trzeba rozwiązać. Że Żyd to nie jest sąsiad, współobywatel, człowiek – tylko kwestia! I kiedy przyszły czasy próby, kiedy Niemcy urządzili piekło, którego pan sobie w najczarniejszych snach nie wyobrażał, to część tych Polaków, wykarmiona pańskim „narodowym egoizmem" stanęła i patrzyła. A w niektórych miejscach – w Jedwabnem – nie tylko patrzyła!

I powiem panom coś jeszcze, bo mnie krew zalewa, ilekroć o tym myślę. Ja walczyłem ramię w ramię z Żydami. U mnie służyli oficerowie żydowscy, lekarze żydowscy, inżynierowie żydowscy. Ja mówiłem: obywatel to obywatel, bez względu na krew i wiarę. I kiedy Ozon – moja sanacja, po mojej śmierci! – zaczął przejmować pańskie hasła, panie prezesie, getta ławkowe na uniwersytetach, bojkot, to ja z tamtego świata wyłem z rozpaczy!

Stodołę w Jedwabnem podpalili Polacy, nie Niemcy…

R.D.: – Nie przyjmuję zarzutu współwiny za Holokaust.

Teraz chyba kolej na moralny rozrachunek z panem marszałkiem. W 1926 r. dokonał pan przewrotu i przekształcił demokrację w ustrój autorytarny. Jak na tle zamachu majowego widzi pan stan wojenny Jaruzelskiego? Generał był co prawda zależny od Moskwy, ale dziewięć lat później zgodził się na Okrągły Stół i wkrótce oddał władzę…

J.P.: – Jaruzelski... człowiek z sowieckiej stajni, w sowieckich butach. Jam bił w Rosję, on przed nią klękał. Porównujecie nas? Ależ to obelga. Jam w maju nie strzelał do robotników, jam walczył z gangreną partyjniactwa. On strzelał do robotników. Że potem ustąpił? Bo musiał. Historia przyparła go do muru.

R.D.: – Pan też używał siły przeciw własnym obywatelom. Brześć, Bereza Kartuska – te nazwy nie brzmią chwalebnie.

J.P.: Ja w 1926 r., mając Warszawę w ręku, armię za sobą, poparcie PPS, mając lud, nie ogłosiłem dyktatury! Uczyniłem coś w rodzaju rewolucji bez żadnych rewolucyjnych konsekwencji.

R.D.: – Ale cztery lata później urządził pan Brześć.

J.P.: – Brześć nie był błędem, był grzechem. Jest różnica. Błąd popełnia się z niewiedzy. Grzech popełnia się, wiedząc, co się robi. Ja wiedziałem, co robię. Wiedziałem, że dla Polskie robię rzeczy straszne. Poszedłem drogą starego bojowca, który przez 40 lat walczył o polskie państwo.

Które upadło we wrześniu 1939 r. Może trzeba było pójść na kompromis z Hitlerem, zaatakować z nim ZSRR, a potem ewentualnie zdradzić go jak Włochy w 1943 r.?

J.P.: – Ja tę propozycję – w formie mniej jawnej, ale co do istoty identyczną – słyszałem z ust Göringa, kiedy ten tłusty dygnitarz hitlerowski siedział u mnie w Belwederze w styczniu 1935 r. Pokazywał mi cuda na kiju: wspólną Ostpolitik, podział Ukrainy sowieckiej, terytoria dla Polski! Wiedzą panowie, co mu odpowiedziałem? Przeszedłem na język francuski, żeby zrozumiał, iż rozmowa jest skończona.

Mówię to jako człowiek, który Sowietów nienawidził, bolszewizm uważał za zarazę i całe życie traktował Rosję jako odwiecznego wroga. A mimo to wiedziałem, że przyjęcie propozycji Hitlera oznaczałoby koniec samodzielnego państwa polskiego. Koniec!

R.D.: – To jest bodaj jedyna decyzja z całego katastrofalnego okresu rządów sanacyjnych, którą uznaję bez zastrzeżeń.

Panie prezesie, na ile PRL było spełnieniem pańskich wyobrażeń? Polska jednorodna etnicznie, przesunięta na zachód, oparta na Rosji. Czesław Miłosz szedł jeszcze dalej, nazywając PZPR spadkobierczynią ONR…

R.D.: – Polska jednorodna etnicznie, zachodnia granica na Odrze i Nysie – tak, tego chciałem. Ale oparta na Rosji? Nie. Na Rosji sowieckiej, ateistycznej, niszczącej Kościół i naród? To zaprzeczenie wszystkiego, co głosiłem. PRL było karykaturą moich postulatów. A Miłosz? Genialny poeta, marny politolog.

eprasa.pl 7cd57e2719

Pogodzić ogień z wodą

O komentarz do rozmowy poprosiliśmy Tomasza Nałęcza, historyka zajmującego się II RP.

Z dużą nieufnością przystępowałem do lektury wyczarowanej przez AI rozmowy Piłsudskiego i Dmowskiego o naszej historii oraz o współczesnej Polsce i świecie. Taki zabieg kłóci się bowiem z regułami warsztatu historyka, który jak ognia wystrzega się prezentyzmu, czyli patrzenia na przeszłość przez pryzmat współczesności. Zwłaszcza że twórcy dyskursu postanowili pogodzić ogień z wodą. Wyposażyli swych bohaterów w całą wiedzę o minionym stuleciu, a nakazali im mówić sformułowaniami pochodzącymi z ich dzieł i wypowiedzi sprzed stu lat.

Spotkała mnie jednak miła niespodzianka. Czytałem z rosnącym zaciekawieniem, podziwiając sprawność, z jaką wykorzystano gruntowną znajomość systemu wartości, mentalności, poglądów i zachowań politycznych Piłsudskiego i Dmowskiego do analizy przez nich zjawisk i wydarzeń z czasów, na które patrzyli już z zaświatów.

Na zastawionym przez AI stole tylko nieliczne z wielu potraw zniechęciły mnie swoją nieświeżością. Chodzi o rozważania Dmowskiego o Ukrainie i sensie wojny z 1920 r. Skonstruowano je z ocen sprzed stu lat, kiedy brak poparcia ukraińskich warstw ludowych dla własnego państwa potwierdzał tezę Dmowskiego o niezdolności tego społeczeństwa do samodzielnego bytu. Tyle że wydarzenia po 1991 r., a zwłaszcza po 2022 r., pokazują, jak fałszywe jest to stwierdzenie. Analityk tego formatu co Dmowski na pewno by to uwzględnił.

Sprzeciw budzą też wypowiedzi obydwu mężów stanu na temat Donalda Trumpa. Nie dlatego, że są fałszywe. Też uważam, że tak o nim by myśleli. Tyle że wyposażeni w wiedzę o współczesności wiedzieliby, jak ważny jest sojusz polsko-amerykański dla naszego bezpieczeństwa, i jako patrioci nigdy by go nie narazili na szwank, myląc publiczny wywiad z konfesjonałem. Jeśli ktoś w to wątpi, niech porówna poufne i publiczne wypowiedzi Piłsudskiego o Mussolinim i Hitlerze.

Ostatnia uwaga dotyczy opinii nie AI, a zadanego pytania. Za zbyt daleko idący uważam pogląd objaśniający obojętność wielu Polaków wobec Holokaustu endeckim antysemityzmem. Nie lekceważę tego czynnika, ale kwestia jest o wiele bardziej złożona, jak o tym chociażby świadczy obojętność na los Żydów w innych krajach, m.in. we Francji. Nie ma co czynić z Dmowskiego wspólnika Hitlera.

TOMASZ NAŁĘCZ

PZPR spadkobierczynią ONR? – to intelektualna prowokacja, nie analiza.

Panowie, pozwólcie, że wykorzystamy waszą wiedzę o naszych czasach. Jak panowie widzą trzech „matadorów" dzisiejszego świata: Putina, Xi Jinpinga i Trumpa?

J.P.: – Putin zrzucił czerwony surdut, włożył carski – i idzie tą samą drogą! Napadł na Ukrainę, bo Rosja bez imperializmu nie umie istnieć.

R.D.: – Putin jest niebezpieczny dlatego, że rządzi krajem, który od stuleci nie potrafi być niczym innym niż imperium albo chaosem. Nie ma nic pomiędzy. A chaos rosyjski jest dla sąsiadów groźniejszy niż porządek. To jest coś, czego pan Piłsudski nigdy nie chciał zrozumieć – że rozsadzanie Rosji, które tak pan kochał, może stworzyć coś gorszego.

J.P.: – Bzdury pan opowiada. Putin właśnie jest dowodem, że Rosja nierozsadzona jest gorsza. Wolna Ukraina – oto klucz, i historia przyznaje mi rację, chociaż późno... A pan Xi? Nie znam Chin. Ale widzę imperium, które jest cierpliwe. Rosja uderza pięścią, Chiny owijają siecią. To jest metoda nie militarna, lecz – jak to dziś mówicie – ekonomiczna. Cel jednak ten sam. Ja się zastanawiam, dlaczego Europa i Ameryka dały się w tę sieć wplątać tak głęboko? Za moich czasów przynajmniej wiedzieliśmy, kto jest wrogiem.

R.D.: – Chińczycy zrobili to, co zalecałem – skoncentrowali władzę i odpowiedzialność w jednym ośrodku, zorganizowali naród jako „ciało zdolne kierować się jedną myślą i działać według jednego planu". Tyle że zrobili to po chińsku – z despotyzmem, bez chrześcijaństwa, bez hamulca moralnego, który daje cywilizacja łacińska.

J.P.: – Co do Trumpa – najchętniej bym zobaczył, z jakiej gliny ulepiony. Przypomina mi bufonowatego Mussoliniego. O Mussolinim historycy napisali, że był „dyktatorem nowoczesnym", używającym technologii i mediów. Trump jest jeszcze nowocześniejszy, cała jego władza to media! Tylko że Mussolini przynajmniej zbudował drogi i osuszył malaryczne bagna. A ten?

R.D.: – I tu, co rzadko mi się zdarza, niemal w pełni zgodzę się z panem Piłsudskim, choć dodam, co on pomija. Trump jako osoba jest pospolity. Ale interesujący jako objaw. Jest objawem tego samego kryzysu, który kiedyś już opisałem: „obecny system rządzenia w Europie szybko prowadzi do rozkładu wielu instynktów religijnych, moralnych i społecznych". To dotyczy też Ameryki. Masy, które straciły te instynkty, szukają kogoś, kto im powie rzeczy proste. Trump to mówi. Ale – i to jest kluczowe z punktu widzenia Polski – Trump jest przede wszystkim amerykańskim nacjonalistą. A egoizm najpotężniejszego narodu świata nigdy nie jest dobry dla narodów małych i średnich. Pan Piłsudski mawiał, że „nie wierzy w sojusze zawierane na papierze", ja powiem, że sojusz z Ameryką Trumpa jest gorszy od sojuszu na papierze. To jest sojusz oparty na kaprysie jednego człowieka.

Na koniec oczywiste pytanie: jak panowie widzą współczesną Polskę? Polską politykę?

J.P.: – Nic się nie zmieniło! To prastara polska choroba – ta sama, którą ja znałem, ta sama, na którą pan Dmowski pisał recepty, choć inne niż moje. To jest niezdolność do postawienia państwa ponad partią.

R.D.: – To, co panowie obserwujecie w 2026 r., to nie jest podział na „moich" i „nie-moich". To jest objaw czegoś głębszego – braku tego, co nazywałem „silnymi węzłami wewnętrznymi" narodu.

J.P.: – Obie strony waszego sporu robią dokładnie to, co robiły za moich czasów: każda uważa, że ona jest Polską, a druga strona jest agenturą. Sam zresztą, przyznaję, „agentury" widziałem wszędzie i mówiłem, że „idą krok w krok za naszym państwem". Pan Dmowski widział agentury żydowskie, masońskie, bolszewickie. I każdy z nas uważał, że ta druga strona służy obcym. A prawda była taka, że obaj służyliśmy Polsce, tylko nie potrafiliśmy tego wzajemnie uznać!

ROZMAWIALI ADAM KRZEMIŃSKI I MARCIN ROTKIEWICZ

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 7cd57e2719

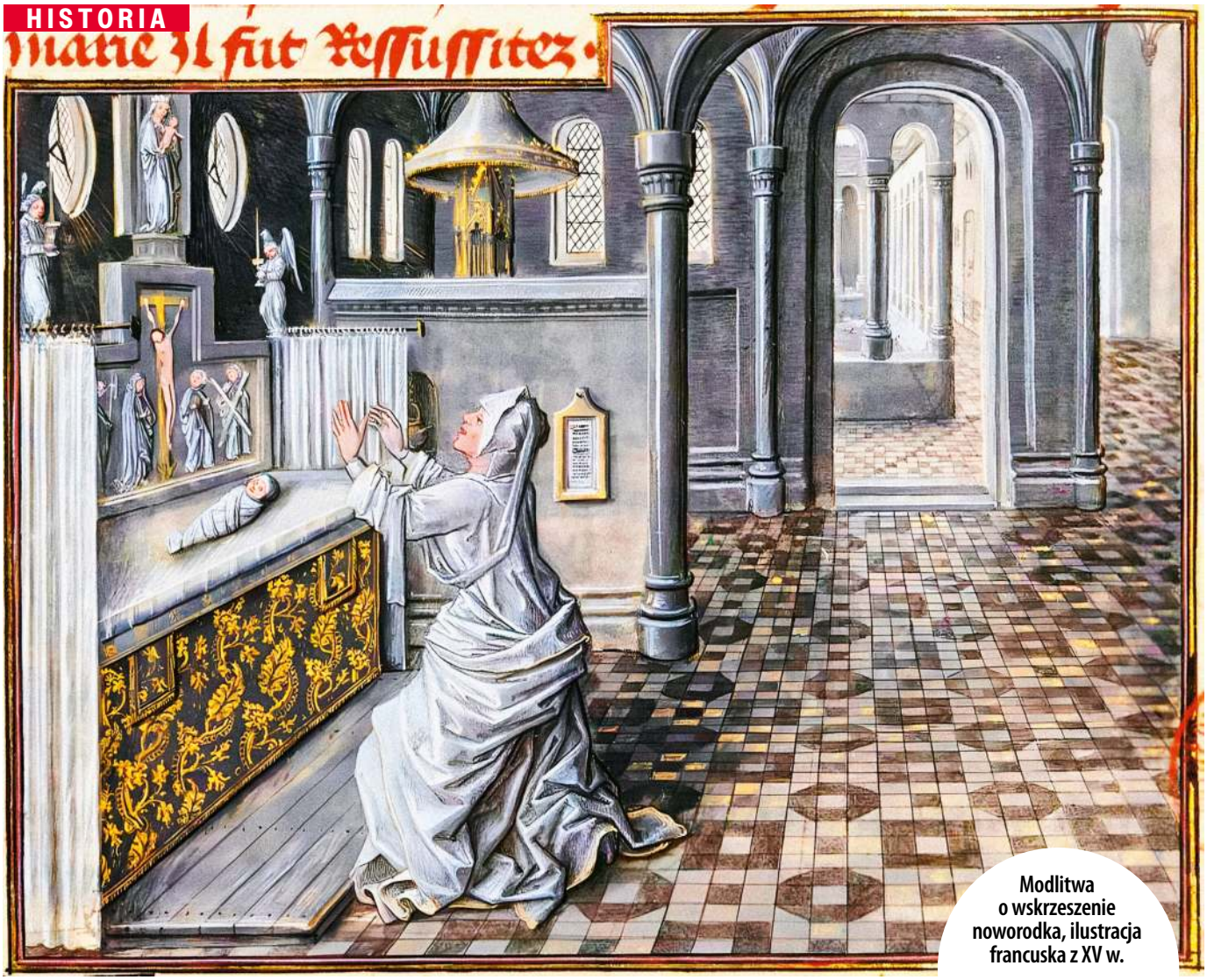

Modlitwa o wskrzeszenie noworodka, ilustracja francuska z XV w.

Drugie życie

Wielkanoc tradycyjnie była czasem chrztów. A jeśli nie zdążono obmyć niemowlęcia z grzechu, zanim odeszło? W średniowiecznych sanktuariach wskrzeszano nieochrzczone dzieci.

KATARZYNA KOSTECKA

Pielgrzymowanie było w średniowieczu ważnym elementem życia religijnego i społecznego: aktem pobożności, pokuty, nadziei na otrzymanie takich łask jak szczęśliwy poród czy uzdrowienie z choroby. W niektórych sanktuariach modlono się o coś z dzisiejszej perspektywy zaskakującego – chwilowe „zmartwychwstanie". Od XIII do połowy XVIII w. (a niekiedy później) do sanktuariów na terenie dzisiejszych Francji, Niemiec, Belgii, Austrii i Szwajcarii pielgrzymowali rodzice ze zmarłymi niemowlętami. Wyruszając w drogę, nie oczekiwali powrotu dziecka do życia na stałe. Wystarczyło, by „ożyło" na kilka minut – tyle, aby udało się je ochrzcić.

Działalność obiektów sakralnych, nazywanych dziś z francuska *sanctuaires à répit* (sanktuaria odroczenia – pierwszy tej nazwy użył etnolog Pierre Saintyves), znamy dzięki księgom parafialnym, dokumentom kościelnym i hagiografiom. Ich

© ALAMY/BE&W

eprasa.pl 7cd57e2719

funkcjonowanie naświetlają również badania archeologiczne, m.in. w miejscowości Oberbüren w dzisiejszej Szwajcarii, gdzie odkryto liczne pochówki niemowląt.

Ich fenomen daje wgląd nie tylko w religijność ludową późnego średniowiecza i wczesnej nowożytności, lecz także ówczesną emocjonalność oraz sposoby radzenia sobie ze stratą dziecka.

Z piekła do limbo

Aby zrozumieć zjawisko krótkotrwałych „zmartwychwstań" niemowląt, trzeba cofnąć się w czasie. Koncepcja chrztu jako sakramentu kluczowego dla zbawienia pojawiła się w chrześcijaństwie od początku. W Ewangelii św. Jana czytamy: „Jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego". Sprawa wydawała się jasna, lecz rodziła pytanie: co z tymi, których nie zdążono ochrzcić? Przez długi czas kwestia pozostawała jednak na marginesie i nie wpływała na realne praktyki.

Chrztów dokonywano zwykle dwa razy w roku – w Wielkanoc i Pięćdziesiątnicę, a dzieci nieraz nie chrzczono przez pierwsze lata życia. Choć w V w. n.e. Augustyn, rozważając los takich niemowląt, stwierdził, że jako nieoczyszczone z grzechu pierworodnego są skazane (podobnie jak inni nieochrzczeni) na wieczne potępienie. Jego refleksje miały jednak charakter ściśle teologiczny i trafiały do wąskich elit intelektualnych.

Wraz ze wzrostem wpływu Kościoła na religijność ludową oraz silniejszym naciskiem w kazaniach na indywidualne zbawienie kwestia zaczęła nabierać znaczenia. Problem pośmiertnego losu nieochrzczonych dzieci znalazł się w centrum uwagi, przestano je chować w poświęconej ziemi. Teolodzy nieco złagodzili wyrok – w XII w. Piotr Abelard , a w XIII w. Tomasz z Akwinu spopularyzowali pogląd, że dusze nieochrzczonych niemowląt trafiają nie do piekła, lecz do osobnego miejsca – limbo dziecięcego. Nie było to jednak wielkie pocieszenie, skoro nadal były oddzielone od zbawienia.

Zmieniło to praktykę religijną – dzieci zaczęto chrzcić jak najszybciej po urodzeniu. Mimo to dla wielu wciąż było za późno. Śmiertelność niemowląt była bardzo wysoka: szacuje się, że umierało od 30 do 50 proc. noworodków, często w trakcie porodu lub krótko po nim. Dla rodziców pogrążonych w żałobie do nieszczęścia, jakim była śmierć dziecka, dochodziło drugie, wówczas bardzo realne – przekonanie o braku zbawienia. Niemożność pochowania potomka w poświęconej ziemi symbolicznie wykluczała go ze wspólnoty i spychała żałobę na margines; wzmagała też ludowe lęki przed powracającymi nieszczęśliwymi duszami. Odpowiedzialnością za śmierć przed chrztem byli nieraz obarczani sami rodzice. Na przykład w XVIII-wiecznym traktacie „Embriologia Sacra" Francesco Cangiamila sugerował, że nie należy obwiniać Boga o okrucieństwo w kontekście dzieci zmarłych przed chrztem – być może to grzechy rodziców osłabiły dziecko i prowadziły do jego przedwczesnej śmierci.

Domowe sposoby

Nie dziwi więc, że rodzice wiele by dali, żeby zagwarantować dziecku zbawienie. Znajdowali różne sposoby – ich ślady dają nam dziś wgląd w ludową religijność średniowiecza.

Gdy poród przebiegał z komplikacjami i życie dziecka było zagrożone, stosowano chrzest *in extremis*, którego mógł udzielić nie tylko kapłan, ale również osoba świecka – najczęściej obecna przy porodzie akuszerka. Kościół starał się jak najściślej regulować tę praktykę. Na przykład w 1310 r. synod w Kolonii dokładnie określił procedurę, której powinna przestrzegać akuszerka w przypadku takiego chrztu. A jednak to, co działo się w domu, często odbiegało od tych zasad.

Zatem akuszerki posługiwały się niekiedy formułami na granicy modlitwy i zaklęć lub starały się wymodlić chwilowe ożywienie dziecka, by je ochrzcić. Badacze (m.in. Madison Crow, Coleen i Davide Zori) zebrali przypadki z francuskich i włoskich kronik rodzinnych i rejestrów parafialnych, w których dziecko ochrzczone przez akuszerkę ostatecznie nie zostało pochowane w poświęconej ziemi. Lokalne władze na różne sposoby starały się kontrolować to, na ile akuszerki trzymały się rytuału: w 1743 r. biskup Dijon obwieścił, że ekskomunikowane będą akuszerki, które udzielą chrztu martwemu dziecku. Na wspomnianym synodzie w Kolonii zalecano, by w takim wypadku śmierci matki podczas porodu niemowlę wyjąć z jej ciała, aby móc je szybko ochrzcić – co prowadziło do praktyki tzw. cesarskiego cięcia *post mortem*.

Rozwiązań mogło być dużo więcej. Badacz praktyk związanych ze zmarłymi niemowlętami Jacques Gélis zwraca również uwagę na istnienie wielu regionalnych odpowiedzi na problem – np. w Galicji i północnej Portugalii praktykowano tzw. chrzest z mostu, polegający na zanurzeniu w rzece kobiety, której ciąża była zagrożona. Wierzono, że dzięki kontaktowi z wodą dziecko zostaje symbolicznie ochrzczone – na wypadek gdyby zmarło przed narodzinami.

Znaki życia

Od XIII w. do licznych sanktuariów prowadzonych przez zakonników zaczęto przynosić zmarłe dzieci, licząc na „drugą szansę" udzielenia im chrztu. Jak pokazuje historyk Jacques Gélis, ich sieć była gęsta – znamy ok. 260 takich miejsc w samej tylko Francji. Prowadzone były przez zakony, nierzadko w konflikcie z władzą kościelną. Jak działały te sanktuaria i co obiecywały? Spróbujmy podążyć krok po kroku za rodzicami, którzy liczyli na cud.

Po śmierci niemowlęcia musieli postanowić, co zrobić z ciałem, którego nie mogli pochować w poświęconej ziemi. Nie zawsze podejmowali decyzję szybko. Wspomina o tym zapis z księgi chrztów z Seelisbergu, wedle którego dziecko zmarłe 9 stycznia 1740 r. zostało pochowane na osiem dni, po czym rodzice ekshumowali je i zanieśli do sanktuarium.

Pielgrzymka zależała od tego, jak gęsta była sieć sanktuariów w regionie. Jak pokazuje Gélis, w wielu częściach Francji rodzice nie musieli iść dalej niż ok. 20 km. Bywało jednak trudniej. Lokalni historycy, m.in. Emanuela Renzetti pisząca o okolicach Turynu czy Philippe Martin badający Lotaryngię, odnotowują przypadki wielodniowych wędrówek przez tereny górzyste i niebezpieczne.

Po dotarciu do sanktuarium niemowlę kładziono przed ołtarzem lub w wyznaczonym miejscu (często przy obrazie lub rzeźbie). Obok niego obecni byli, w różnych momentach, kapłan, rodzice i świadkowie, nierzadko także akuszerka, a czasem nawet notariusz. Nad zwłokami modlono się, nieraz przez wiele godzin.

Obserwowano, czy dziecko wykaże „znak życia". Nie musiało to być coś spektakularnego – wystarczył jęk, ruch, grymas twarzy czy lekkie nabranie koloru. Czasem kładziono na ustach niemowlęcia pióro: jeśli poruszyło się lub spadło, uznawano to za oznakę oddechu. Rejestry parafialne nieraz skrzętnie notują, jakie ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ dokładnie gesty się pojawiły, i tak np. w rejestrze z Saint-Martin d'Heuille z 1697 r. wspominane jest: „dziecko [...] parę razy zmieniło kolor, zamknęło i otworzyło usta i oczy, oddało mocz". Inny opis znajdziemy w spisie sprzed sądu biskupiego w Chalons z 1494 r.: „Ów Herbin przyniósł tę dziewczynkę do wspomnianego kościoła, przed wspomniany obraz świętej Barbary, do którego to kościoła przyszło kilka kobiet ze wspomnianego miasta Cheppes; a gdy tam były, wspomniana dziewczynka została położona na podwyższeniu przed ołtarzem wspomnianej świętej Barbary. Dziewczynka ta była bardzo sina na twarzy, a gdy ją tam położono i gdy obecne kobiety odmawiały modlitwy, stała się czerwona i zarumieniona na twarzy, do tego stopnia, że z jej nozdrzy wypłynęły krew i woda, a nawet krzyknęła".

Gdy znak życia się pojawił, dziecko natychmiast chrzczono. Nie oczekiwano dalszej poprawy – niemowlę szybko „ponownie umierało". Jego śmierć miała jednak już zupełnie inny wymiar: w oczach rodziców i Kościoła dziecko należało teraz do grona zbawionych. Zwłoki grzebano zazwyczaj wkrótce potem na cmentarzu przy sanktuarium.

Czekanie na jęk

Choć w Polsce sanktuaria typu *à répit* nie były powszechne, znane są pojedyncze przypadki praktyk o podobnym charakterze. W XIV w. w żywocie św. Jacka autorstwa lektora Stanisława przytoczono historię Elżbiety i Mikołaja z Krakowa, którzy zanieśli swojego pięciodniowego zmarłego syna na grób świętego. Modlono się tam nad dzieckiem, które według przekazu na krótko powróciło do życia, co umożliwiło udzielenie chrztu.

Wizyta w sanktuarium musiała być momentem trudnym i pełnym emocji, a domniemane zmartwychwstanie dziecka ogromną ulgą dla rodziców. Nie można podważyć siły tych przeżyć, a jednocześnie – z dzisiejszej perspektywy – trudno nie spojrzeć na fenomen zmartwychwstania czysto praktycznie.

Sama fizjologia rozkładu ciała mogła sprzyjać interpretowaniu niektórych zjawisk jako znaków życia. W trakcie rozkładu ciało może się unosić, delikatnie poruszać, powieki otwierają się, czasem dochodzi do swoistego „jęku" wywołanego przez gazy. Tego rodzaju reakcje nie były rzadkością, a w kontekście intensywnej modlitwy i ogromnego napięcia emocjonalnego łatwo było uznać je za objaw życia.

Wydaje się ponadto, że w niektórych sanktuariach ciała ustawiano lub przygotowywano w sposób, który sprzyjał powstawaniu takich wrażeń. Interesujący jest list z 1486 r. Ottona von Sonnenberga, biskupa Konstancji, który był przeciwnikiem zjawiska, do kurii rzymskiej. Twierdził on, że w sanktuarium w Oberbüren ciała były rozgrzewane węglami, a pióro kładzione na ustach tak lekkie, że pod wpływem ciepła z węgli łatwo unosiło się, sprawiając wrażenie, że niemowlę zaczerpnęło oddech.

Ekonomia zmartwychwstania

Istnienie sanktuariów *à répit* miało nie tylko wymiar religijny, lecz również istotne znaczenie ekonomiczne. Rodzice dzieci, które – według ich przekonania – doświadczyły chwilowego ożywienia, składali darowizny wotywne w wyrazie wdzięczności za domniemany cud. Jak pokazuje Jacques Gélis, zapłata była często ekwiwalentem wagi dziecka – płacona w ziarnie, w wosku, a nawet w srebrze i złocie. Sanktuariami najczęściej opiekowały się zakony, które – w przeciwieństwie do parafii – nie miały prawa do pobierania dziesięciny. Ruch pielgrzymkowy oraz ofiary składane przez wiernych stanowiły więc dla nich kluczowe źródło dochodu.

Pielgrzymki do sanktuariów przynosiły zresztą korzyści nie tylko zakonom je prowadzącym. Napływ pielgrzymów sprzyjał działalności okolicznych karczmarzy i handlarzy. Chęć ekonomicznego zysku mogła iść za daleko. Ciekawym przykładem tego jest akt rady miejskiej z Oberbüren z 1484 r., która, reagując na zwiększony ruch pielgrzymkowy, wydała dla karczmarzy zalecenie niezawyżania cen.

Interwencja papieża

Sanktuaria budziły kontrowersje nawet w obrębie samego Kościoła. Przypisywane im cuda były dla władz kościelnych często problematyczne: wywoływały silne emocje, a zarazem stanowiły zjawisko trudne do kontrolowania, niosące ze sobą ryzyko nadużyć i podważania porządku kościelnego.

Od samego początku widoczne były w tej kwestii napięcia, zwłaszcza między zakonami a klerem diecezjalnym. Sanktuariami *à répit* najczęściej opiekowały się wspólnoty zakonne, natomiast lokalni biskupi niejednokrotnie odnosili się do tych praktyk z rezerwą lub je potępiali, uznając za nadużycie związane z sakramentem chrztu. Zdarzało się w tym kontekście, że to władze świeckie stawały po stronie sanktuariów. Biskup Konstancji w 1480 r. chciał zakazać ekspozycji martwych dzieci w sanktuarium w Oberbüren, na co nie zgodziła się rada miejska Berna – dla miasta ruch pielgrzymkowy był korzystny. Mimo tych spięć kuria papieska przez długi czas nie zajmowała jednoznacznego stanowiska, pozostawiając regulacje władzom diecezjalnym.

Poważny cios dla funkcjonowania tych sanktuariów przyniosła reformacja. Protestanci – podobnie jak w przypadku relikwii czy kultu świętych – uznawali owe „zmartwychwstania" za przejaw zabobonu i wypaczenia chrześcijaństwa. Gdy w 1528 r. Berno przyjęło reformację, wspomniane sanktuarium w Oberbüren zostało zniszczone, a rzeźbę Maryi, do której modlono się o przywrócenie życia zmarłym bez chrztu niemowlętom, publicznie spalono.

Mimo to popularność takich miejsc nie słabła i osiągnęła apogeum w XVII w. oraz w pierwszej połowie XVIII stulecia. W tym czasie zjawisko to stało się tak rozpowszechnione i intensywne, że kuria papieska zaczęła przyglądać mu się uważniej i mało przychylnie. Zaniepokojony trudnym do kontrolowania zjawiskiem papież wysłał w 1729 r. teologa Euzebiusza Amorta, by ten przeprowadził śledztwo w sanktuarium w Ursbergu. Amort obserwował rytuał i konsultował się z lekarzami. Na podstawie swoich dochodzeń oświadczył, że wiele „znaków życia" da się wytłumaczyć naturalnymi etapami rozkładu zwłok. W 1755 r. papież Benedykt XIV uznał, że chrztu można udzielać jedynie w przypadku zaobserwowanego płaczu dziecka. Potrzeba jednak związana ze „zmartwychwstaniami" nie ustała i, jak dowodzi Pierre Saintyves, praktyka utrzymywała się w wielu sanktuariach aż do XIX w.

W 2007 r. świat obiegły sensacyjne nagłówki: „Papież zamyka limbo". Benedykt XVI rzeczywiście podpisał dokument, w którym wyraził nadzieję, że nieochrzczone dzieci trafiają do nieba. Można powiedzieć, że w ten sposób zakończyła się historia sanktuariów odroczenia.

KATARZYNA KOSTECKA

eprasa.pl 7cd57e2719

Bośniak na ulicy Sarajewa, w miejscu, gdzie wielu cywilów zostało trafionych przez snajpera, 1992 r.

© DAVID TURNLEY/GETTY IMAGES

Polowanie na ludzi

Za zastrzelenie kobiety snajper musiał zapłacić ok. 70 mln lirów. Mężczyźni byli tańsi – mówi Ezio Gavazzeni, autor książki, w której ujawnia kulisy wstrząsającej turystyki polowań na ludzi w oblężonym Sarajewie.

AGNIESZKA SOWA: – **Właśnie ukazała się pańska książka „I cecchini del weekend" („Weekendowi snajperzy"), która opowiada o włoskich, ale także niemieckich, belgijskich, francuskich, angielskich i prawdopodobnie polskich turystach snajperach, którzy zabijali cywilów uwięzionych w oblężonym Sarajewie, płacąc nawet 100 tys. euro od jednego upolowanego. Jak to możliwe, że przez 30 lat milczano na ten temat i prokuratura zajęła się sprawą dopiero teraz, po pańskim doniesieniu? Przecież był film Mirana Zupaniča „Sarajevo Safari", publikacje we włoskiej prasie, a nawet formalne zeznanie Johna Jordana przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze. Może nie dowody, ale ważne poszlaki.**

EZIO GAVAZZENI: – To dobre pytanie, ale nie do mnie. Miejska legenda istniała, plotki krążyły. Od czasu do czasu coś wyskakiwało w jakiejś gazecie, w sezonie ogórkowym, na zasadzie sensacji, tak jak się pisze o UFO, ale nikt nie próbował tego wyjaśnić, sprawdzić, zweryfikować. ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ Nie wiem dlaczego. Może ludzie, którzy brali w tym udział, byli tak potężni, bogaci i wpływowi.

Musiał być nad nimi jakiś parasol ochronny.

Na pewno, ale ten parasol jest większy i chroni nie tylko myśliwych. Film „Sarajevo Safari" nie został zakupiony przez żadną zachodnią telewizję, mimo że był wielokrotnie nagradzany. Był emitowany na całych Bałkanach, z wyjątkiem Serbii oczywiście, w krajach arabskich, a nawet w Azji. Jednak żaden kraj zachodni nie kupił praw do jego emisji. To dziwne, prawda? Więc próbowałem się zastanowić dlaczego. Odpowiedź, którą znalazłem, jest taka, że w filmie w pewnym momencie Edin Subasić, 62-letni emerytowany agent wywiadu wojskowego armii Republiki Bośni i Hercegowiny, mówi o tym, że bośniacki wywiad zawiadomił SISMI, włoski wywiad wojskowy. Opowiada ze szczegółami, jak poinformował SISMI pod koniec 1993 r., że spotkał pięciu turystów na wzgórzach wokół Sarajewa i że to byli snajperzy, którzy przyjechali strzelać do cywilnej ludności, a za możliwość takiego polowania zapłacili. Mijają dwa miesiące, jesteśmy na początku 1994 r., a SISMI odpowiada, że zidentyfikowali pięciu Włochów, odesłali ich do domu i zamknęli ten interes, tak to nazwali. Potwierdzili, że zneutralizowali grupę myśliwych i że podobne zdarzenia się nie powtórzą. Co nie jest prawdą i udowadniam to w mojej książce. Nie zlikwidowali tego procederu. To się działo dalej.

Wracając do filmu: gdyby np. niemiecka czy brytyjska telewizja wyemitowała go w prime timie, ludzie zdaliby sobie sprawę, że zachodnia służba wywiadowcza wiedziała o tym procederze. Świadectwo Edina Subasicia zostało później potwierdzone również przez ówczesnego włoskiego ambasadora Michaela Giffoniego, który zeznawał w prokuraturze. Mówił: „Tak, ta komunikacja między wywiadami przeszła również przeze mnie". Więc mamy dwa świadectwa. Kiedy w 2023 r. otrzymałem od Mirana Zupaniča dostęp do dokumentu i zobaczyłem go po raz pierwszy, poderwało mnie na równe nogi. Kiedy usłyszałem Edina Subasicia mówiącego o włoskich służbach specjalnych, które wiedziały, złożyłem zawiadomienie do prokuratury.

Edin Subasić powtórzył przed prokuraturą w Mediolanie swoje zeznania?

Ezio Gavazzeni do niedawna zajmował się głównie edycją tekstów i wykładał na Uniwersytecie w Mediolanie, w czasie wolnym pisząc opowiadania i powieści, także kryminały. Jego kolejne książki to już literatura faktu. Pierwsza o masakrach i rzeziach dokonanych przez włoską mafię w 1992 r., druga o zamachu na papieża Jana Pawła II. I ostatnia, najnowsza, o weekendowych snajperach polujących na ludzi. Gavazzeni zebrał dowody na tyle istotne, że mediolańska prokuratura zdecydowała się po 30 latach wszcząć postępowanie w sprawie wielokrotnego zabójstwa, dokonanego z wyjątkowym okrucieństwem i z nikczemnych pobudek.

Wiem, że jest w kontakcie z prokuraturą. Myślę, że tak.

Czyli scena z filmu to był powód, dla którego zdecydował się pan zająć tą sprawą?

Tak. Zacząłem w 2023 r., po tym jak pokazano „Sarajevo Safari". Jasne, że poszedłem dalej niż film, odkryłem dużo więcej, ale zawsze podkreślam, że bez dokumentu Mirana Zupaniča nie byłoby mojego śledztwa.

Poszedł pan dalej i co odkrył?

Odkryłem, że łączna liczba klientów-turystów, którzy skorzystali z tych wyjazdów, wynosi ok. 500, że pochodzili z różnych krajów Europy Zachodniej, a Włosi stanowili prawie połowę tych, którzy jechali postrzelać sobie do ludzi.

Jakiej narodowości byli pozostali?

Niemcy, Francuzi, Hiszpanie, Anglicy. A spoza Europy – Amerykanie.

Żadnych wschodnich śladów? Polskich? Rosyjskich?

Jest świadek, którego cytuję w mojej książce, Włoch, który opowiada, że pojechał na lotnisko odebrać Polaków, którzy przylecieli prywatnym samolotem. To byli turyści, klienci na safari. Bogaci i bardzo dobrze uzbrojeni. Natomiast Rosjan nie było, co nie jest dziwne, bo oni mieli swój kanał. Rosjanie byli sprzymierzeni z Serbami, więc żeby postrzelać w Sarajewie, wystarczyło im się skontaktować z Miloševiciem lub wojskami Mladicia. Nie musieli płacić 200 mln lirów, czyli ok. 200 tys. euro, jak lombardzki przedsiębiorca czy dentysta z Mediolanu. Rosjanina, który chciał postrzelać do bezbronnych ludzi w oblężonym mieście, na pewno kosztowało to znacznie mniej. Jasne, że jeśli jestem wielkim, czy ja wiem, prawnikiem z Berlina albo biznesmenem z Brukseli lub Londynu, to potrzebuję kogoś, kto mi zaplanuje całą podróż i zawiezie mnie na miejsce. Rosjanie natomiast prawdopodobnie radzili sobie sami.

W książce nie podaje pan nazwisk snajperów.

Gdybym opublikował nazwiska, które podałem prokuraturze, nie rozmawialibyśmy teraz, bo siedziałbym cały dzień w sądzie z powodu pozwów.

Ale prokuratura je zna?

Prokuratura ma nazwiska, które udało mi się ustalić. A jeśli nie ma nazwisk, to wie, gdzie je znaleźć. Nie znam nazwisk tych pięciu, których spotkał Edin Subasić. SISMI twierdzi, że rozpoznało pięciu Włochów, ale ich nazwiska są utajnione w aktach służb specjalnych. Tylko prokuratura ma do nich dostęp, ja nie. Ale wiemy, że są, bo świadectw, które mówią, że te nazwiska istnieją, jest więcej niż jedno. Ja natomiast podałem w prokuraturze inne nazwiska, te, do których sam dotarłem: ok. 10 osób. Wezwano już trzy, ale prowadzone są również dochodzenia w sprawie pozostałych.

Czyli mamy konkretnych ludzi, którzy po 30 latach odpowiedzą przed sądem?

Wszyscy pracujemy nad tym, żeby tak się stało, żeby doszło do procesu. W sprawach o zabójstwo nie ma przedawnienia, więc będą musieli odpowiedzieć przed sądem za swoje czyny.

Kim są ci turyści? Co to za ludzie?

Wszyscy są pasjonatami broni. Są nią wręcz zafascynowani – typ ludzi, którzy nawet do łóżka idą ze strzelbą. To mężczyźni, którzy chodzą na strzelnice i aktywnie, bardzo często polują u siebie w kraju, ale jeżdżą też na wyprawy i polowania po całym świecie. Ci, których znalazłem, są bardzo bogaci – to uznani przedsiębiorcy, biznesmeni, właściciele prosperujących firm lub profesjonaliści, również bogaci i uznani. Ludzie, z dużymi pieniędzmi i odpowiednimi znajomościami, żeby taki wyjazd zorganizować. Wszyscy bez wyjątku szanowani, poważani obywatele. Wyjeżdżali z Triestu na polowanie na ludzi. A potem wracali

© MICHELE LUIGI EDOARDO NOVAGA/ANADOLU/GETTY IMAGES, AN

eprasa.pl 7cd57e2719

Rosyjski polityk Eduard Limonow przyłączył się do serbskiego patrolu snajperskiego w okolicach Sarajewa, 1993 r.

Koszmar Sarajewa

Na początku lat 90. XX w. rozpadała się Socjalistyczna Federacyjna Republika Jugosławii. Jej republiki – Słowenia, Chorwacja, Macedonia – w 1991 r. ogłosiły niepodległość. W marcu 1992 r. w Bośni i Hercegowinie odbyło się referendum w sprawie utworzenia własnego państwa i odłączenia się od Jugosławii. Większość opowiedziała się za. Serbowie, stanowiący 33 proc. ludności, zbojkotowali referendum, a kiedy w kwietniu Bośnia i Hercegowina ogłosiła niepodległość, wojska serbskie rozpoczęły wojnę i oblężenie Sarajewa. Trwało niemal cztery lata – było to najdłuższe oblężenie miasta w Europie od czasów drugiej wojny światowej. Sarajewo położone jest w dolinie, otoczone wzgórzami – łatwo je było zamknąć i odizolować. Codziennie trwały bombardowania i ostrzały artylerii. A ze wzgórz strzelali serbscy snajperzy, przed którymi na ulicach ostrzegały przechodniów specjalne znaki. Jedna z tych ulic, najbardziej wystawiona na ostrzał, zyskała nazwę Sniper's Alley. W oblężeniu Sarajewa zginęło 11 541 cywilów, w tym 1601 dzieci. Ponad 60 tys. zostało rannych. Konflikt zakończył się wymuszonym przez NATO układem w Dayton 14 grudnia 1995 r.

Slobodan Milošević był prezydentem Socjalistycznej Republiki Serbii w ramach Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii (istniejącej w latach 1945–92), później prezydentem Serbii. W 2001 r. aresztowano go i postawiono przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym dla byłej Jugosławii. Był oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości, ludobójstwo i nieprzestrzeganie konwencji wojennych. Zmarł w 2006 r. w haskim więzieniu, zanim zapadł wyrok.

Ratko Mladić był serbskim generałem, dowódcą Sił Zbrojnych Republiki Serbskiej, odpowiadał za zbrodnie wojenne popełnione podczas wojny w Bośni i Hercegowinie, m.in. bezprawne uwięzienia, gwałty, tortury i nielegalny ostrzał cywilów. Aresztowany w 2011 r. został postawiony przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym dla byłej Jugosławii i w 2017 r. skazany na dożywotnie pozbawienie wolności.

i żyli jak wcześniej, szanowani przez wszystkich.

A nie było wśród nich takich, którzy zabijali z powodów religijnych? Strzelali do muzułmanów.

Szukaliśmy tego wątku. Ostatni rozdział książki zostawiłem kryminolożce, która ze mną pracuje, i poprosiłem ją o stworzenie profilu takiego myśliwego. Wychodzi na to, że motywacje religijne ani narodowościowe nie miały żadnego znaczenia. To ludzie, którzy strzelali dla samej przyjemności strzelania, bo byli potężni, bogaci.

W swojej książce podaje pan cennik.

Cennik był z góry ustalony i wszyscy, którzy uczestniczyli w tych safari, znali go doskonale. Dzieci kosztowały najwięcej.

Ile kosztowało zabicie dziecka?

100 mln lirów, dziś to ok. 100 tys. euro. Dzieci są mniejsze, więc trudniej trafić i dla tych myśliwych, którzy strzelali dla rozrywki i zaspokojenia najpotworniejszych instynktów, dziecko było najcenniejszym trofeum. Prawie tyle samo kosztowały młode dziewczyny. 15-, 16-, 17-latka też mogła kosztować 100 mln lirów, ale musiała być ładna. Za zastrzelenie kobiety snajper musiał zapłacić ok. 70 mln. Mężczyźni byli tańsi: ok. 50 mln, a najtańsi – bardzo starzy ludzie: nieco mniej niż 20 mln lirów.

Jak zorganizowana była ta makabryczna turystyka?

Odkryłem przestępczą organizację, która miała siedzibę w Mediolanie, ale też filie w innych krajach Europy. Za spore pieniądze towarzyszyła „turystom", organizowała przeloty, transporty autokarem, pilotowała ich aż na miejsce polowania w Bośni i w Sarajewie. Płaciła też serbskim oddziałom, żeby ich przepuściły i eskortowały w odpowiednie miejsca, skąd mogli strzelać do mieszkańców leżącego w dolinie Sarajewa. We Włoszech była to firma ochroniarska. Ona zresztą dalej istnieje. Dwóch jej pracowników zorganizowało ten biznes. Ci ludzie byli powiązani z inną firmą ochroniarską, znacznie większą, z siedzibą w Londynie i z kolejną w Brukseli. Organizowali ten biznes na poziomie europejskim.

Jak wiele osób było zaangażowanych po stronie organizatorów?

Nie sądzę, żebyśmy mówili o dziesiątkach, bo inaczej ta sprawa już dawno by wyszła na jaw. Uważam, że na poziomie Włoch były dwie, może trzy osoby, które pociągały za sznurki, czyli organizowały to wszystko. Oprócz nich byli ci, których nazywano rekruterami. Oni już na miejscu znajdowali klientów albo dowiadywali się, że ktoś jest zainteresowany, bo wiele działo się pocztą pantoflową. Zazwyczaj spotykali się w barach albo hotelach, gdzie jeden z nich wynajmował pokój. Klienci byli oczywiście informowani, jak to wszystko ma przebiegać.

Dziwne, że przy takiej skali przedsięwzięcia udało się to zachować w tajemnicy przez tyle lat.

Skala była naprawdę ogromna. Turyści snajperzy pojawiali się co weekend, prawdopodobnie przez cały czas trwania niemal czteroletniego oblężenia miasta. Najczęściej były to grupy liczące od pięciu do ośmiu osób. Ale wszyscy bardzo się pilnowali. Używali nawet specjalnego szyfru. Zdanie: „Są jelenie dla łuczników" oznaczało, że szykuje się wyjazd. Te jelenie to były ofiary, a łucznicy to snajperzy.

To jak z filmu klasy B z lat 70. Aż trudno w to uwierzyć, ale potwierdziła mi to osoba, która nic o tym wszystkim nie wiedziała, lecz miała do czynienia z grupami tych myśliwych, i opowiedziała, że oni często rozmawiali o jeleniach i łucznikach.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA SOWA

eprasa.pl 7cd57e2719

scena

Inwazja lalek 4/6

Lalka, według Bolesława Prusa,
reż. Mikita Iłynczyk, Teatr Dramatyczny w Warszawie

Ile „Lalek" mogą wytrzymać Polki i Polacy? W tym roku się przekonamy, bo obok adaptacji filmowej i serialowej (na etapie postprodukcji) arcydzieła Bolesława Prusa swoje przygotowuje też teatr. I oto otrzymaliśmy pierwszą. Mikita Iłynczyk, urodzony w białoruskim Nowogródku dramatopisarz i reżyser (nominowany w tym roku do Paszportu POLITYKI), zaczyna osobiście: od egzemplarza „Lalki" należącego do jego babci, która w wyniku wojny i zmiany granic znalazła się poza Polską. Iłynczyk zaś przyjechał do Polski po napaści Rosji na Ukrainę. Wraz z dramaturgiem Goranem Injacem poprzez motywy z powieści Prusa opowiadają o współczesnych trendach i lękach. Spektakl zaczyna się w Muzeum Sztuki Wojennej, wzorowanym na sąsiadującym z Dramatycznym MSN. Izabela Łęcka (Marta Ojrzyńska) przedstawia się jako „feministka intersekcjonalna" i oprowadza koleżanki po wystawie tematyzującej i monetyzującej kobiecą traumę wojenną. Sponsorem muzeum jest Wokulski (**Marcin Bosak**), który z wojny oprócz traumy przywiózł pieniądze i znajomości (kupiec Suzin) pozwalające na kontynuację współpracy z rosyjskim okupantem.

„Lalka" Iłynczyka jest o kapitalizmie, który działa w myśl zasady *business as usual*. Jest też o czasie, który przestał płynąć do przodu. Rosyjska agresja cofa nas do XIX w., a wokół wybuchają kolejne wojny. „Obyśmy nie dożyli XV w." – mówi złowieszczo któraś z postaci. Trzeci wątek dotyczy kobiet. Wojna przynosi wzrost nastrojów konserwatywnych. Bohaterki stopniowo zmieniają kostiumy ze współczesnych na XIX-wieczne, porzucają feminizm na rzecz „biokonserwatyzmu" i tradycyjnego modelu rodziny, wolą zostać tradwives. Mocne wrażenie robi scena sądu o lalkę, rozgrywana w konwencji teatru w teatrze ku uciesze złożonej z mężczyzn widowni. W tej rzeczywistości kobiety mogą tylko być matkami, widowiskowo opłakiwać zmarłych i walczyć ze sobą. Lalki.

ANETA KYZIOŁ

scena

Z góry na dół 3/6

Miron Białoszewski, **Chamowo**,
reż. Mikołaj Grabowski,
Teatr Ateneum w Warszawie

Mikołaj Grabowski, aktor i reżyser, postać emblematyczna dla Krakowa, wystawił w stołecznym Teatrze Ateneum dziennik Mirona Białoszewskiego, awangardowego poety i autora m.in. genialnego „Pamiętnika z powstania warszawskiego". W połowie 1975 r. Białoszewski dostaje przydział na mieszkanie we właśnie oddanym do użytku 10-piętrowym bloku na skraju willowej, inteligenckiej Saskiej Kępy, której mieszkańcy nazywają nowe osiedle Chamowem. W dzienniku Białoszewski opisuje próby adaptacji

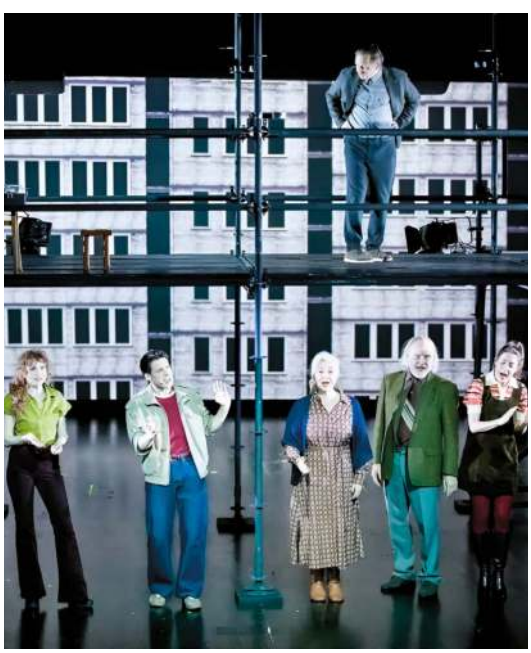

do nowego otoczenia, nadzieje i lęki, peerelowskie budownictwo pełne niedoróbek, biurokrację, swoje ucieczki, rozpacze i powroty, życie towarzyskie i epifanie codzienności. Nie brak tu obserwacji aktualnych i dziś, a przede wszystkim jest subtelne poczucie humoru i autoironii, które świetnie oddaje na scenie **Łukasz Lewandowski** w głównej roli. I mimo że kilka z licznych scenek rodzajowych, z których składa się spektakl – od wizyt w urzędach, przez rozmowy z bliskimi czy spotkania z nowymi sąsiadami – wypada nieźle, to całość nuży i rozczarowuje. Rozgrywana na rusztowaniach, przytłoczona kolejnymi odcinkami kroniki filmowej o budowaniu osiedli z wielkiej płyty i chóralnie wykonywanymi piosenkami w manierze „Kolędy Nocki". Oglądając półtoragodzinny spektakl, nie sposób pozbyć się wrażenia, że to stracona szansa na świetny monodram Łukasza Lewandowskiego. AK

eprasa.pl 7cd57e2719

serial

Policjant z demonami 3/6

Harry Hole, twórca serii: Jo Nesbø, 9 odc., Netflix

Może to niesmak, jaki pozostał po ekranizacji „Pierwszego śniegu" z 2017 r. z Michaelem Fassbenderem w roli detektywa Harry'ego Hole'a spowodował, że tym razem Jo Nesbø nie oddał swojej powieści w obce ręce. Sam stanął za sterami serialowej adaptacji. „Harry Hole" bazuje na „Pentagramie", piątej części z liczącego dziś 13 tomów kryminalnego cyklu dziejącego się w Oslo. I może dla podkreślenia efektu odcięcia od filmu Tomasa Alfredsona tym razem miasto zmaga się z falą 30-stopniowych upałów. Świetny, choć problemowy detektyw Harry Hole (**Tobias Santelmann**) chętnie chodzi bez koszulki, pali jak smok i stara się ułożyć sobie życie prywatne: być dobrym partnerem, a nawet zastępczym ojcem. Jednak, jak to się przyjęło pisać w takich przypadkach: „zmaga się ze swoimi demonami", czyli alkoholizmem. I czasem wygrywa detektyw, a czasem demony. Nie jest to postać, delikatnie mówiąc, przesadnie oryginalna, ale Santelmann ją wycisza i uczłowiecza, w jego aktorstwie nie ma pozy. Z fabułą jest właściwie podobnie. Otóż w efektownie filmowanym z drona Oslo grasuje seryjny morderca kobiet. Ale to nie wszystko. Jest jeszcze przemyt broni (z Czech), tajne stowarzyszenie jak z Dana Browna, rozkręcająca się wojna między lokalnymi gangami, diaboliczny policjant (Joel Kinnaman) i kwestia bezpieczeństwa kraju. Wszystko to mocno dęte, ale – i to jest ciekawe – autor zdaje sobie z tego sprawę, przynajmniej częściowo. Plus ścieżka dźwiękowa autorstwa Nicka Cave'a i Warrena Ellisa. AK

serial

Z Manhattanu do Montany 3/6

Madison, twórca serii: Taylor Sheridan, 6 odc., SkyShowtime

Nowy serial Taylora Sheridana toczy się na obrzeżach jego uniwersum „Yellowstone". Scenerią są wciąż zapierające dech plenery Montany, obok jest ranczo i część bohaterów jeździ konno, ale akcja koncentruje się tym razem wokół rzeki – tytułowej Madison – i dotyczy przyjezdnych z Nowego Jorku (Madison Avenue). A głównym tematem jest przeżywanie żałoby. W katastrofie Cessny w okolicznych górach ginie Preston Clyburn (Kurt Russell), milioner z Manhattanu, który w Montanie zbudował odskocznię od trudnego żywota amerykańskiego 1 proc. i wpadał tu, by z bratem oddawać się ukochanemu łowieniu ryb w rzekach i dziewiczych strumieniach. Jego żona (**Michelle Pfeiffer**), córki (**Beau Garrett** i Elle Chapman), zięć (Patrick J. Adams) i wnuczki pakują markowe walizki, wsiadają do prywatnego odrzutowca i przybywają do jego ostoi, gdzie poznają inną stronę ukochanego męża, ojca i dziadka. I instruowani przez dziennik, który zapobiegawczo zostawił, oraz wspierani przez uczynnych sąsiadów, uczą się przez tydzień piękna prostego życia. Brzmi jak czytanka? W dużej mierze takie jest, „Madison" to prosta i z ducha konserwatywna opowieść w otoczce piękna natury i luksusu, ale Sheridan wciąż potrafi budować ciekawe postaci i pisać ostre dialogi. A Michelle Pfeiffer w roli wdowy, po 39 latach udanego związku zmuszonej szukać nowej solowej drogi, wypada przejmująco. W drugim, już zapowiedzianym sezonie zobaczymy, jak będzie ona wyglądała. AK

muzyka

Dwóch z innej bajki 5/6

Iztok Koren & Raphael Rogiński, **Nocturnal Consolations**, Instant Classic

Słoweńska grupa Širom, jedno z odkryć ostatnich lat, swoją hipnotyzującą muzykę ulepiła z najróżniejszych wpływów: psychodelicznych, folkowych, a nawet klasycznych. I grywa na zestawie instrumentów tak egzotycznym, że niemal przypadkowym: od amerykańskiego banjo, przez azjatycki rubab, aż po afrykański balafon. Kierowana przez **Iztoka Korena** grupa byłaby w tym podejściu samotną wyspą, gdyby nie to, że podobnie eklektyczny styl gry – w którym od Coltrane'a i Bacha tylko krok do muzyki afrykańskiej i żydowskiej – od dawna prezentował w Polsce **Raphael Rogiński**. Tyle że posługuje się za każdym razem tą samą gitarą elektryczną. Jako postaci z podobnej bajki – ale zarazem ze świata innego niż cała reszta – Koren i Rogiński musieli w końcu na siebie wpaść. Wspólny materiał nagrali w Lublanie i prezentowali już w Polsce na koncertach. To całe strumienie wielokulturowych ornamentów, płynące delikatnie, snute naturalnie jak opowieści przy ognisku. Po „Nocturnal Consolations" warto sięgnąć nie tylko dla głosu przeszłości, zamieniającego się w coś nowoczesnego, jak sami sygnalizują. Jest to też dźwiękowy plaster na skołatane nerwy, a przy tym materiał, w którym czuć żywe granie, brud i fizyczność muzykowania. A zatem także wytchnienie od seryjnych produkcji zbliżonych do siebie przez AI.

BARTEK CHACIŃSKI

© KAROLINA JÓŹWIAK, KRZYSZTOF BIELIŃSKI, RONALD PLANTE/NETFLIX, SKYSHOWTIME, WSCHÓD KULTURY – INNE BRZMIENIA/YOUTUBE, MP

eprasa.pl 7cd57e2719

Kosmiczny szum 5/6

M.T. Anderson, **Feed**, przeł. Rafał Lisowski, Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2026, s. 280

Czy to scenariusz zaginionego odcinka „Czarnego lustra"? Na pewno dobrze z nim koresponduje. Powieść ukazała się po raz pierwszy w 2002 r., w Polsce otrzymujemy ją po latach w nowym przekładzie i kontekście. Paczka nastoletnich przyjaciół dla zabicia nudy w ferie wiosenne wybiera się na Księżyc. Titus, centralna postać powieści, poznaje intrygującą Violet, która dołącza do ekipy. Mają pecha, bo w kosmicznej knajpie nęka ich członek Koalicji Współczucia, przeciwnik – głęboko upraszczając – nowych technologii. Wystarczyło hakerskie dotknięcie i młodzi trafili do szpitala z uszkodzonym software'em. W literackiej wizji M.T. Andersona Ziemia nie nadaje się do życia, lasy są wyrzynane pod fabryki powietrza (ot, paradoks), na wsi hoduje się tkanki, nie zwierzęta, w szkołach hologramy uczą obsługi nowego świata. A ludzie instalują sobie „feeda", rodzaj chipa trwale złączonego z mózgiem. Tego szumu w głowie nie da się wyciszyć – podsuwa wiadomości, jest nośnikiem pamięci, pozwala czatować, ale głównie kusi reklamami. Warunki dyktują korporacje, a prezydent Trumbull (Anderson prawie trafił) robi dobrą minę do złej gry. Brzmi znajomo, niepokojąco znajomo. Ale autor nie moralizuje, rozumie i przeciwników zmian, i tych, którzy ulegają modom. Interesują go jednocześnie skutki omamienia i wykluczenia. Posługuje się przy tym wymyślonym słownictwem (przekonująco spolszczonym). To rzecz w pierwszej kolejności dla starszej młodzieży. Ale i dorosłym, pamiętającym czasy sprzed różnych feedów, miło podrażni zwoje.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

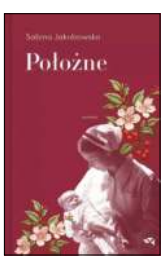

Kwestia rodzenia 3/6

Sabina Jakubowska, **Położne**, wyd. Relacja, Warszawa 2026, s. 656

Autorka zapełnia białą plamę w literaturze, czyli opisuje historię porodów. Poprzednia książka Sabiny Jakubowskiej „Akuszerki", saga rodziny akuszerek z małopolskiej wsi Jadowniki, zaczynała się pod koniec XIX w. i kończyła już po drugiej wojnie światowej. Nowa książka „Położne", kontynuacja „Akuszerek", skupia się na czasie okupacji i doprowadza historię położnej Reginy aż do końca lat 60. W czasie okupacji w Krakowie też rodzą się dzieci. Regina pracuje w szpitalu uniwersyteckim, ale zdarza jej się przyjąć poród na poddaszu burdelu albo poród Niemki. Położna wie, jak blisko życia jest śmierć, która cały czas wokół nich krąży. Przewija się tu mnóstwo postaci, tajemniczy ojciec Serafin, który ma wiele wcieleń, szkodzi bohaterce i ratuje ją, a po wojnie również bywa ubekiem. Czas powojenny to czas kontroli państwa, która objawia się też w porodach szpitalnych i przedmiotowym traktowaniu kobiet. Jakubowska pokazuje, że historię społeczną Polski można mierzyć jakością porodów. I to prawda, ale „Położne" nie działają tak jak „Akuszerki". Mają wiele świetnych momentów, które się zapamiętuje – to historia również poronień i gwałtów – ale tym razem widzimy powtarzalność i ilustracyjność. Historia jest budowana po to, by pokazać konkretne zjawiska. Choć nadal cielesność jest mocną stroną tej literatury, to tym razem trudniej przebywać w tym świecie przez 700 stron.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

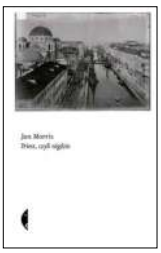

Stolica utraty 5/6

Jan Morris, **Triest, czyli nigdzie**, przeł. Jarek Westermark, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2026, s. 224

Podróżniczka Jan Morris, która zjeździła cały świat, nazwała to miasto niekwestionowanym centrum tęsknoty za tym, co minione. „To właśnie tutaj, w Trieście, najintensywniej wspominam zmarnowane chwile, niewykorzystane szanse, utraconych przyjaciół" – pisała. Triest, od czasów starożytnych raczej pomijany, wszedł na arenę dziejów za czasów Habsburgów, gdy stał się głównym portem monarchii. Potem żył już tylko wspomnieniami o swojej wielkości. Autorka pojawiła się po raz pierwszy w Trieście w drugiej połowie lat 40. jako żołnierz armii brytyjskiej (w 1972 r. Jan Morris poddała się – jako jedna z pierwszych publicznych osób w Anglii – korekcie płci; wcześniej publikowała jako James Morris), ostatni raz zaś na przełomie XX i XXI w., gdy była już dobrze po siedemdziesiątce. Notowała: „Przeszłość to obcy kraj, owszem, ale starość również", co odnosi się w równym stopniu do niej samej, jak i do Triestu, miasta pożegnań. Wbrew obiegowemu powiedzeniu to właśnie Triest, a nie Neapol, trzeba zobaczyć przed śmiercią. Jest także – jak chce Morris – czymś w rodzaju czyśćca, miejsca chwilowych zesłań: Joyce pisał tu „Portret artysty z czasów młodości", Freud badał seksualność węgorzy (obaj czuli się tu dobrze, ale wyjeżdżali z niewysłowioną ulgą). Triest jest miastem nieoczywistym, rzucającym na wszystkich zagadkowy urok. Tak przynajmniej twierdzi Morris, która patrząc na brudne resztki alpejskiego lub karpackiego śniegu na dachu pociągu wjeżdżającego na triesteński dworzec, wiedziała, że znalazła się w fantasmagorycznej stolicy wszelkiej utraty. Trudno opisać to lepiej.

MACIEJ ROBERT

© MATT WINKELMEYER/GETTY IMAGES, TOM POWEL IMAGING, MACIEJ KACZYŃSKI/CK ZAMEK, ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, MP (6)

eprasa.pl 7cd57e2719

galeria

Abstrakcja zaangażowana 5/6

Julie Mehretu, Kairos/Wariacje duchologiczne, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, wystawa czynna do 30 sierpnia

„Oneironaut 2", 2022–23 r.

W kolejnej wystawowej turze MSN zafundowało widzom trzy równocześnie otwarte wystawy artystek spod znaku abstrakcji. Obok naszej Marii Jaremy i młodej (29 lat) Chinki Minh Lan Tran, zaproszono urodzoną w Etiopii (choć przyznaje się też do pradziadka Polaka!) Amerykankę Julie Mehretu, jedną z czołowych artystek świata. Jej twórczość stawia wyzwanie najbardziej powszechnemu podejściu do sztuki abstrakcyjnej jako tej, którą najlepiej odbierać emocjami. Tymczasem w dziełach Mehretu już w punkcie wyjścia mamy konkretne wydarzenia i doświadczenia, zarówno osobiste, jak i zbiorowe (wojny, klęski żywiołowe, epidemie, migracje, społeczne nierówności itd.). Na nie artystka nakłada siatkę własnych przeżyć i poglądów, ale też struktury z innych porządków, jak kartografia, architektura, a nawet literatura czy muzyka. I dopiero to poddaje malarskiemu gestowi, emocjonalnemu przekształceniu. W efekcie monumentalne i efektowne obrazy można odbierać na dwa sposoby: zbliżając się do nich, by tropić szczegóły nakładających się intelektualnych i emocjonalnych porządków, lub z oddalenia delektować się wyrafinowaną formą i kompozycją mających w sobie coś z rozmachu *action painting* Pollocka. Obraz staje się raz to abstrakcyjny, raz to precyzyjnie figuratywny, ale pozostaje świadkiem naszych czasów i ich powikłanych – jak te płótna – problemów.

PIOTR SARZYŃSKI

galeria

Wiedza, władza, wysiłek 4/6

AI – Algorytmy Iluzji, CK Zamek, Poznań, wystawa czynna do 12 lipca

Nie ma sztucznej inteligencji bez sztuki, wchodzą ze sobą w spór i dialog. Wystawa „AI – Algorytmy Iluzji" z poznańskiego Centrum Kultury „Zamek" otwiera pudło skrywające człowieka ukrytego w Mechanicznym Turku, automacie szachowym. Zestawienie go ze współczesnymi komputerami uwidacznia, że żyjemy w czasach spełnionych marzeń i koszmarów: wszyscy jesteśmy Frankensteinami. Weronika Gęsicka w „Encyklopedii" uwiecznia erę „brei AI", kapsuła czasu przypomina fałszywe hasło z Wikipedii. Realne koszty AI uzmysławia praca Jakuba Koźniewskiego „Wysiłek: symulacja" (aby wygenerować obrazek, należy zasilić mały komputer, mozolnie kręcąc korbą – sztuka wymaga poświęcenia!), obok inspirowanych poezją Baudelaire'a „Mechanicznych kwiatów" Joanny Żylińskiej wyrasta „Nieorganiczne życie" metali ziem rzadkich z fotografii Agnieszki Kurant. Wystawa doskonale pokazuje wysiłek ludzkości; zebrane artefakty przeszłości przypominają pracę niedocenionych informatyczek, śledzą rozwój techniki cyfrowej od krosna, przez kalkulator na korbę, po komputery. Historyczny kontekst odbiera wyjątkowość AI – oto maszyna rozpoznająca twarze (i wydająca wyroki) jest tylko zwieńczeniem prób unaukowiania inwigilacji i klasyfikacji; to lepsza wersja suwaka do pomiarów czaszki, ale intencja się nie zmieniła. Przerażające i inspirujące.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

nie przegap

James Blake, **Trying Times**, Good Boy

Najlepszą jak dotąd płytę muzycznego środka tego roku wydał artysta, którego jeszcze dekadę temu traktowano jak przybłędę z klubowych obrzeży. Tymczasem Anglik ma wszystkie atuty popowego artysty – pewny i rozpoznawalny głos, naturalną melodyjność, umiejętność kreowania nastroju i śpiewania o miłości bez emocjonalnego fałszu. Przeszłość producenta muzyki tanecznej okazuje się tu pożądanym bonusem: „Trying Times" wprawdzie chwilami jest bardzo tradycyjnym albumem, ale brzmi świetnie. BCH

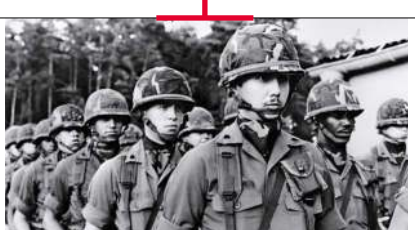

Filmy Fredericka Wisemana, Mubi

Zmarły przed kilkoma tygodniami Frederick Wiseman był twórcą filmów dogłębnie analizujących działalność amerykańskich instytucji, laureatem Oscara za całokształt twórczości oraz honorowego Złotego Lwa w Wenecji. Do katalogu serwisu Mubi trafiło osiem dzieł z jego dorobku, na czele z głośnym „Ratuszem", przyglądającym się działalności rady miejskiej Bostonu, oraz „Jackson Heights", barwnym portretem społeczności nowojorskiej dzielnicy Queens. Czołowy autor amerykańskiego dokumentu. JD

Kokuho, reż. Lee Sang-il, 175 min, już w kinach

Urzekające pięknem obrazów i hipnotycznym rytmem spektakli kabuki „Kokuho" w reżyserii Lee Sang-ila to kronika wzlotów i upadków ambitnego aktora, który chce zostać najwybitniejszym onnagata – aktorem odtwarzającym na scenie role kobiece. Wielki przebój i najbardziej dochodowy film aktorski w historii japońskiego kina. A zasłużona tegoroczna nominacja do Oscara za charakteryzację to niejedyny powód, żeby na trzy godziny wejść do hermetycznego świata teatru kabuki. JD

eprasa.pl 7cd57e2719

Stobnica

Klucz do zamku

PIOTR SARZYŃSKI

Nie dajemy zamkom godnie się zestarzeć ani odejść w przeszłość. W Polsce ostatnio je reanimujemy i odbudowujemy, a nawet wznosimy zupełnie nowe.

Poznań

Tykocin

Podegrodzie

eprasa.pl 7cd57e2719

Dominujący w XX w. modernizm przekonywał, że należy patrzeć w przód, a nie do tyłu. Także w architekturze. Nowoczesność w końcu się znudziła i powróciły sentymenty. W Polsce często przybiera to osobliwą formę budowania tego, co – wydawałoby się – już dawno i bezpowrotnie odeszło. W wymiarze publicznym, głównie samorządowym, oznacza to tęsknotę za ryneczkami, kamieniczkami, starówkami. Unia Europejska hojnie subsydiowała przez lata wszelkie rewitalizacje starych centrów miast i miasteczek, co napędzało modę.

W wymiarze prywatnym forma tęsknoty za architekturą przeszłości zależała od grubości portfela. Najbardziej majętni szli w wariant „pałacowy". Nowe pałace, ledwie przypominające te stare, wyrastały może niezbyt gęsto, ale ze spektakularną mocą, głównie w najmniej oczywistych miejscach, bo w pobliżu siedzib firm ich właścicieli, tak, by z pałacowych wnętrz mieli niedaleko do swoich fabryczek, hurtowni, hodowli, magazynów importowo-eksportowych. Jednak ich największe skupisko powstało w podwarszawskim Konstancinie, gdzie obok starych pałaców zbudowano wiele całkiem nowych rezydencji w stylach neoklasycystycznym, neobarokowym, neorenesansowym i innych.

Tym, którzy wzbogacili się mniej, ale wystarczająco, by pomyśleć o życiowo-mieszkaniowej odmianie, pozostała skromniejsza forma spotkań z historią, czyli dworki. Często karykaturalne, jak ktoś trafnie zauważył: „w skali 1:2, za to z ozdobami architektonicznymi w skali 2:1". Szeregowo stawiane pseudodworki obrosły, jak wodorosty falochrony, obrzeża polskich miast. Z niezliczonymi dekorami, wprowadzającymi owe surowe szlacheckie rezydencje w świat bajkowości i osobliwego przepychu doznań estetycznych, których dostarczały wielospadowe dachy, lukarny, gzymsy, sztukaterie, imitacje kamienia i marmuru, wykusze, ryzality, no i oczywiście obowiązkowe kolumny.

Tak dochodzimy do wagi ciężkiej, czyli zamków. Ich kapitał symboliczny zdecydowanie przerasta pozostałe formy. Jeśli pałac kojarzy się z balami, przyjęciami i niezobowiązującym small talkiem, to zamek przywodzi na myśl ponure sekrety, tajemne przejścia, sprawy wielkiej wagi, losy krajów i narodów, wściekłe oblężenia i heroiczne obrony, momenty chwały i upadku. Nasza nieco legendarna historia zaczyna się od króla Popiela i odgrywającej ważną rolę w tej opowieści zamkowej wieży grodu w Kruszwicy. Nie bez powodu Jarosław Kaczyński w ramach skupiania społeczeństwa wokół jego wizji patriotyzmu rzucił tyleż efektowne, co absurdalne i nierealne hasło odbudowy wszystkich zamków kojarzonych z Kazimierzem III Wielkim.

Ale przecież na nasze masowe postrzeganie zamków nakłada się druga, poza historyczno-narodową, klisza: bajkowo-popkulturowa. To romantyczno-przygodowa mieszanka, w której spotykają się fikcyjne budowle rodzime i światowe. Wśród tych pierwszych znajdzie się i zamek Horeszków z „Pana Tadeusza", i podzielony pechowym murem zamek z „Zemsty", ale też Kaer Morhen z uniwersum „Wiedźmina" i zamek Drakuli. To disneyowskie wizje z „Kopciuszka" i „Królowej Śniegu" oraz kolejne odsłony fantasy, od „Władcy Pierścieni" po „Grę o tron".

Co z tej mieszanki realiów i fantazji, piastowskiego patriotyzmu i zamkniętych w wieży księżniczek wynika? Piorunujący miks. Kuba Snopek nazywa to „zamczystością" i taki też tytuł nadał wystawie, którą kuratoruje, otwartej właśnie na – jakżeby inaczej – Zamku Królewskim w Warszawie.

Zamczystość to nie tyle stan dawnej architektury, ile stan ducha, wizualna opowieść, w której mieszają się światy rzeczywiste i fikcyjne, wyobrażenia i marzenia, fakty i mity, polskość i światowość. Snopek wymienia dziesięć elementów, których obecność i intensyfikacja niejako potęguje „zamczystość" danej budowli. Są to: położenie poza miastem, usytuowanie na wzniesieniu, woda (fosa, rzeka), zwodzone mosty, wieże, krenelaż, małe okna, kamień jako budulec, spiętrzenie i mit założycielski. W ten sposób można przyjąć, że Zamek Królewski w Warszawie jest akurat kompletnie niezamczysty (gratulować czy współczuć?), natomiast zamczysty w najwyższym stopniu pozostaje choćby Zamek Czocha na Dolnym Śląsku, a na świecie wzór niedościgniony – Neuschwanstein w Bawarii. Swoją drogą, warto by do tej listy dodać jeszcze dwa, poza mitem, elementy niematerialne: towarzyszące miejscu legendy oraz jego dzieje.

Polacy kochają zamki i cenią sobie zamczystość. Wystarczy spojrzeć na frekwencję w rezydencjach i instytucjach kultury. Liderami pozostają Wawel i Zamek Królewski w Warszawie – wyprzedzają wyraźnie wszystkie muzea, teatry, opery czy pałace. Nic dziwnego, że trwa nieustanny ruch w interesie. Według oficjalnych statystyk mamy w kraju 402 wpisane do rejestru zabytków zamki, z czego aż jedna czwarta znajduje się na Dolnym Śląsku.

Obecnie w 91 spośród tych obiektów trwają jakieś prace budowlane związane z naprawami, rewitalizacją, konserwacją, zmianą funkcji (bronić się już nie ma przed kim), a nawet odbudową. Nie dajemy zamkom godnie się zestarzeć i zgodnie z naturą powoli odchodzić w nicość. Podłączamy je do różnych kroplówek i reanimujemy z godnym podziwu zaangażowaniem.

Początkowo zamczystość była domeną elit: królów, książąt, kasztelanów, arystokracji. Po drugiej wojnie światowej zamki zostały upaństwowione i to władze decydowały, kto z komnat będzie korzystał (szkoły, sanatoria, domy wypoczynkowe, biura, muzea) i które obiekty należy szczególnie pielęgnować. To centralne dyrektywy sprawiły, że odbudowano Zamek Warszawski i zamek w Malborku, inne zaś rewitalizowano, większość metodą doraźnych, interwencyjnych remontów. A po 1989 r. nastąpił wielki proces reprywatyzacji. Część wróciła do potomków jaśniepaństwa, a część została po prostu odkupiona od biedujących samorządów lub podupadających zakładów pracy.

Dziś w rękach publicznych, głównie gmin, miast, województw, pozostają przeważnie zamki – rzec by można – spektakularne, o dużym znaczeniu historycznym, zabytkowym, artystycznym. Tam rewitalizacje i odbudowy przeprowadza się z reguły niespiesznie, w rytmie kolejnych dotacji, zawsze pod czujnym okiem konserwatorów, z dbałością o wierność pierwotnym wersjom i o szczegóły. W ostatnich latach to choćby przypadek zamków w Oleśnicy, Szydłowcu, Będzinie, ale też mniejszych – w Gołańczy czy Świeciu.

Bardziej skomplikowana jest sytuacja zamków, które przeszły w ręce prywatne. Tam, gdzie za zakupem czaiły się intencje spekulacyjne lub gdzie nowi właściciele przeliczyli się z własnymi możliwościami (co zdarzało się wcale nie tak rzadko), skutki są na ogół opłakane, a zamki popadają w ruinę. Sporo takich smutnych widoczków wypatrzeć można na Dolnym Śląsku. Często jednak nowym właścicielom udało się tchnąć w stare mury ▶

© MARTA EJSMONT, NICOLAS GROSPIERRE (2), MATEUSZ PAWLUKIEWICZ

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ drugie, odnowione życie. Co ciekawe, praktycznie nikt nie zdecydował się, by z zamczyska uczynić swoją prywatną rezydencję. Zamieszkanie w średniowiecznym entourage'u wydaje się zbyt kosztownym kaprysem nawet dla tych najbogatszych i bardzo kochających historię.

Ma to tę zaletę, że większość tych budowli pozostaje dostępna dla ciekawskich turystów. Niekiedy wstęp do komnat sporo kosztuje, bo wiele zamków przerobiono na hotele (zawsze z nieodłącznym spa) i aby poczuć klimat miejsca, jeśli tylko się zachował, trzeba wykupić sobie pobyt. A cena za dobę rzadko schodzi poniżej 1 tys. zł. Czasami bramy są szerzej uchylone i wystarczy zainwestować w obiad w zamkowej restauracji. Często jednak nowi właściciele przyjmują strategię „fusion": funkcje hotelowe łączy się z turystycznymi i wówczas należy kupić bilet, by zwiedzić część pomieszczeń lub przejść się po okalającym zamek parku. Lista zamków-hoteli wydłuża się z roku na rok, a te bardziej znane to choćby Kliczków, Trzebieszowice i Topacz (Dolny Śląsk), Ryn (Mazury), Gniew (pomorskie), Uniejów (łódzkie) czy Korzkiew (Małopolska).

Za najbardziej widowiskowy i dyskusyjny przejaw narodowej zamczystości uznać wypada sytuację, gdy się mury pną do góry praktycznie od zera. Na jednym krańcu tych przedsięwzięć wypada pomieścić odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie, realizowaną przy maksymalnym przestrzeganiu standardów konserwatorskich, jak najwierniej odtwarzającą zburzoną w czasie wojny strukturę i aranżację wnętrz. Pośrodku mamy zaś całą gamę mniej lub bardziej swobodnych budowlanych wariacji z historią w tle. Od groteskowego Zamku Przemysła w Poznaniu, przez wymyślone, ale starające się pozostać w konwencji przeszłości zamki w Tykocinie i Bobolicach, po memiczną wręcz realizację w Łapalicach. Tę ostatnią rozpoczęto na podstawie pozwolenia na budowę... domu jednorodzinnego, który wszelako rozrósł się do 5 tys. m kw. I choć od blisko 40 lat pozostaje w stanie ruiny, to i tak przyciąga tłumy turystów.

Na drugim końcu zbioru zamczystych osobliwości wypada pomieścić stosunkowo nową i monumentalną realizację w Stobnicy o powierzchni całkowitej 40 tys. m kw. i kubaturze 200 tys. m sześc. Ów zamek, postawiony w nienaturalnym, acz niepozbawionym romantyzmu miejscu, na cyplu jeziora, całkowicie samowolnie, bez żadnych wymaganych pozwoleń (ale kto by tam sobie głowę zawracał papierologią przy takiej potędze projektu?). Nieślubne dziecię niemieckiego Neuschwanstein i naszego Malborka, którego zamczystość osiąga skalę do dziesiątej potęgi, jest wręcz jak zamczystości model z Sèvres. Bez wątpienia kandydat do pierwszej trójki rodzimych realizacji ostatnich dekad (obok bazyliki w Licheniu i hotelu w Pobierowie), których zamysł i skale są nie do „odzobaczenia".

Uboższym, ale nadal okazałym krewnym tego stobnickiego jest zamkopałac w Katarzyninie, usytuowany wręcz abstrakcyjnie, pośrodku niczego. Nie muszę chyba dodawać, że obie te osobliwe budowle pomyślano jako hotele dla wszystkich, którzy wyżej od historii cenią jej luksusowy erzac, a wyżej od prawdziwego zamku – narodową zamczystość.

Zamczystość przenika w Polsce także do codzienności i architektury skromnych rozmiarów. Na wspomnianej wystawie prezentowany jest cykl fotografii Mateusza Pawlukiewicza „Architektura warowna współczesnej Polski". A w jego ramach obiekty będące wyrazem wielkiej, wręcz wzruszającej, acz w większości dramatycznie pozbawionej estetycznych skrupułów zamczystej miłości. A zatem średniej wielkości domy jednorodzinne z wyrastającymi im gdzieś w rogu nieproporcjonalnie wysokimi wieżami. Dyskoteki i domy weselne z basztami i blankami. Bramy na posesje w formie minifortów. Rycerskie w formie restauracje, a nawet budka z lodami w Jarosławiu o rycerskiej atrybucji. I ewenement: Zakłady Materiałów Ogniotrwałych w Ostrowcu Świętokrzyskim z imponującym krenelażem wieńczącym dach.

Wystawa o zamczystości pokazuje różne aspekty tego zjawiska i uświadamia rodakom, że nie musimy zazdrościć Francuzom zamków nad Loarą, Czechom Hradczan, Anglikom Windsoru, a Hiszpanom alkazarów. Mamy bowiem swoją własną, nieco osobliwą, ale niepodrabialną zamczystość, skrojoną na miarę czasów, umysłów i możliwości.

PIOTR SARZYŃSKI

Ostatni zamek. Zamczystość polska: od Wawelu do Stobnicy, Zamek Królewski w Warszawie, wystawa czynna do 28 czerwca.

Czocha

© ALBIN MARCINIAK/EAST NEWS

eprasa.pl 7cd57e2719

Wieczny blask Faraona

60 lat temu realizacją tego filmu żyła cała Polska. Dał nam nową gwiazdę, tony anegdot z planu, zaspokoił światowe ambicje i zaskakująco dobrze się zestarzał.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Jerzy Zelnik jako faraon Ramzes XIII i Barbara Brylska w roli kapłanki Kamy

© POLFILM/EAST NEWS

W latach 60. XX w. można było „Faraonem" leczyć polskie kompleksy. Mógł konkurować z wystawnymi hollywoodzkimi produkcjami, międzynarodową premierę miał na festiwalu w Cannes, zebrał na Zachodzie wiele pozytywnych recenzji, doczekał się nominacji do Oscara – dopiero drugiej w historii dla filmu polskiej produkcji. Peerelowskie władze postrzegały „Faraona" jako jedną z tych produkcji, które miały udowodnić, że Polska potrafi robić kino nie tylko ambitne, lecz także atrakcyjne wizualnie, pełne rozmachu.

Zwłaszcza że po niewyobrażalnym sukcesie „Krzyżaków" Aleksandra Forda (łączna liczba widzów, którzy zobaczyli film w kinach, przekroczyła 30 mln) wzrosło zapotrzebowanie na wielkie historyczne freski. Andrzej Wajda przeniósł na ekran „Popioły" Żeromskiego, Wojciech Jerzy Has odkurzył „Rękopis znaleziony w Saragossie" Jana Potockiego (tworząc przy okazji jedno z najwybitniejszych dzieł w historii kinematografii europejskiej), a Kawalerowicz zmierzył się z powieścią Bolesława Prusa. Dopiero na przełomie lat 60. i 70. przez kina miało przetoczyć się sienkiewiczowskie tsunami: „Pan Wołodyjowski" i „Potop" Jerzego Hoffmana, a na dokładkę „W pustyni i w puszczy" Władysława Ślesickiego przyciągały przed kinowe ekrany miliony widzów, wpisując się w bardzo mocno obecny w gierkowskiej Polsce nurt kina mitotwórczego.

Spragnieni igrzysk

Jerzego Kawalerowicza, reżysera filmu, nie interesowało widowisko. W prozie Prusa nie szukał rozrywki, lecz metafory. W ideologicznym starciu młodego księcia (a później faraona) Ramzesa XIII z kastą kapłanów – reprezentowaną przede wszystkim przez dogmatycznego Herhora – widział uniwersalną opowieść o rywalizacji o władzę i panowanie nad światem. „Faraon był przede wszystkim kontrpropozycją dla hollywoodzkich supergigantów podających błahą anegdotę w oszałamiającej bogactwem oprawie scenograficznej i gwiazdorskiej obsadzie. Chciałem zaproponować moim filmem typ widowiska, które może połączyć atrakcyjność wizualną z głębszym przesłaniem myślowym", pisał po latach Kawalerowicz w książce „Więcej niż kino". Stosując dzisiejszą nomenklaturę, moglibyśmy nazwać „Faraona" autorskim blockbusterem.

W latach 50. i 60. zachodnia kinematografia pokochała starożytność. Wyobraźnię widzów rozpalały „Ben Hur" Williama Wylera, „Spartakus" Stanleya Kubricka i „Kleopatra" Josepha L. Mankiewicza, nie mówiąc już o dziesiątkach tanich podróbek, realizowanych przede wszystkim we Włoszech w takich ilościach, że doczekały się własnej klasyfikacji gatunkowej ▶

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ jako filmy „peplum” (od nazwy powłóczystej szaty noszonej przez kobiety w starożytnej Grecji) lub „kino sandałów i miecza”. Popularne filmy kostiumowe nie miały jednak wśród europejskich, w tym również polskich, recenzentów dobrej prasy. Uważane były za rozrywkę, owszem, imponującą pod względem realizacyjnym, lecz miałką i niewymagającą intelektualnie. Jerzy Płażewski, jeden z czołowych polskich krytyków, pisał w pogardliwym tonie, że to kino dla ludzi na mentalnym poziomie 12-latków.

A przecież gdyby historia potoczyła się tylko nieco inaczej, to w „Faraonie” dziś widzielibyśmy jednego z prekursorów fali kinowego zainteresowania czasami starożytnymi. Przymiarki do ekranizacji powieści Bolesława Prusa podjęto jeszcze pod koniec lat 40., gdy pierwszy szkic scenariusza napisał Tadeusz Borowski. Jego propozycja została odrzucona, powstały za to dwie kolejne i ostatnia z nich – autorstwa Anatola Potemkowskiego – została skierowana do dalszych prac. Scenariusz na jej podstawie napisał kolektyw, w którego składzie znalazł się m.in. Jerzy Kawalerowicz, lecz ostatecznie film nie trafił do produkcji, oficjalnie ze względu na zbyt wysokie koszty. Gdy po dekadzie Kawalerowicz wrócił do tematu, był już twórcą uznanym i cenionym nie tylko w Polsce, lecz także w Europie, nagradzanym w Wenecji za „Pociąg” i w Cannes za „Matkę Joannę od Aniołów”. A widownia, mając w pamięci niedawnych „Krzyżaków”, była spragniona ekranowych igrzysk.

Buchara to jest to

Prasa ekscytowała się niemal każdym etapem produkcji „Faraona”, tym bardziej że adaptacja powstawała wielkim nakładem sił. Zdjęcia kręcono przede wszystkim na pustyni Kyzył-kum niedaleko miasta Buchara w dzisiejszym Uzbekistanie, a także w Egipcie, m.in. w Gizie i Luksorze. Egzotyczny plan rzeczywiście był wyzwaniem dla twórców. We wspomnieniach ekipy pięć miesięcy spędzonych w trudnych warunkach jawi się jako połączenie wielkiej przygody i wyczerpującego doświadczenia. Kierownik produkcji Ludwik Hager opowiadał na łamach „Ekranu” o codziennych trudnościach: przechowywaniu taśmy filmowej w specjalnych lodówkach, radykalnej zmianie rozkładu dnia (pobudka o trzeciej rano, bo zdjęcia trzeba było kończyć o trzynastej, gdy upał rósł do 50–60 st. C), konieczności przygotowania kostiumów i rekwizytów dla 3,5 tys. statystów, wypożyczonych zresztą z radzieckiej armii.

Dla części ekipy sama wyprawa do ZSRR była wyzwaniem. Tadeusz Konwicki, który wraz z Kawalerowiczem pisał scenariusz „Faraona”, wspominał, że zdarzały mu się napady metafizycznego lęku. Tak silne, że wreszcie zdecydował się na wizytę u psychiatry. „Wysłuchał wszystkiego i mówi: »Wie pan co, powiem panu szczerze, najbardziej by pomogło, gdyby pan się czegoś jeszcze bardziej przestraszył«. A ja na to: »Jadę do Związku Radzieckiego do Buchary wybierać plenery do »Faraona«. On się niezmiernie ucieszył: »To jest to!«. I rzeczywiście, jak zobaczyłem Bucharę, to mi przeszły moje lęki. Pani, która tam mieszkała, powiedziała mi: »Proszę pana, czy pan wie, że Buchara uchodzi za najbrudniejsze miasto Azji?«. Nie polemizowałem z nią”, mówił pisarz w wywiadzie rzece „Pamiętam, że było gorąco”, udzielonym Katarzynie Bielas i Jackowi Szczerbie.

W relacjach z planu dominował jednak entuzjazm, którego nie mogły zgasić kłopoty z klimatem czy zaopatrzeniem. Emocjonowano się obsadzeniem głównych ról: młodziutki student PWST Jerzy Zelnik nagle stał się gwiazdą i trafił na okładki czasopism. Czytelnikom interesujące mogło się wydawać dosłownie wszystko: tygodnik „Dookoła Świata” pisał o rzeźbiarzach pracujących na planie „Faraona” (byli wśród nich m.in. wielcy artyści krakowscy Bronisław Chromy i Wincenty Kućma), choć relacje często były podkoloryzowane ku uciesze publiczności. „Jeśli dodać napięcie uwagi w obronie przed skorpionem, tarantulą lub jadowitą żmiją – obraz ciężkiej pracy artystów będzie pełny”, notował Henryk Urbanowicz, ówczesny dyrektor warszawskiej Pracowni Sztuk Plastycznych.

Aktorzy w lodówce, reżyser w beczce

Kto nie pojechał do Uzbekistanu lub później do Egiptu, szykował relacje z atelier filmowego w Łodzi, gdzie zbudowano wnętrza świątyń. Albo ze stoczni na warszawskim Czerniakowie, gdzie budowana była łódź królowej Nikotris, matki Ramzesa, ewentualnie znad Kanału Elbląskiego, gdzie później realizowano zdjęcia. O „Faraonie” pisały nie tylko pisma branżowe, dzienniki i tygodniki, lecz nawet magazyny, np. „Chłopska Droga” czy „Żołnierz Polski”, na którego łamach publikowane były także listy od pomagających w realizacji zdjęć wojskowych radzieckich („Korzystając z okazji mjr Antonow przesyła wszystkim czytelnikom naszego pisma, a szczególnie polskim żołnierzom, serdeczne i braterskie pozdrowienia”, relacjonowała redakcja).

Pod „Faraona” próbowali podpiąć się niemal wszyscy. „Dziennik Polski”, pisząc o Laboratorium Przemysłu Obuwniczego w Chełmku, przyciągał uwagę tytułem „Buty dla... Faraona”, choć w samym tekście realizacji zamówienia złożonego przez ekipę filmową poświęcone jest jedno zdanie, na dodatek niezawierające żadnej informacji poza tą, która widniała już w tytule notki. W innym tekście ta sama gazeta kusiła nagłówkiem, który dziś nazwalibyśmy clickbaitem: „Pałac Faraona urządzony będzie zakopiańskimi meblami”. Często zresztą próbowano podkreślać lokalny wkład w produkcję: „Dorożkarskie szkapy w zaprzęgu faraona” (łódzki „Express Ilustrowany”) czy „Dekoracje do filmu »Faraon« z sosnowieckiej wytwórni” (katowicki „Wieczór”).

Tę nadmierną ekscytację prasy rozbrajała wybornie aktorka Lucyna Winnicka, żona reżysera, która w filmie gra tylko maleńki epizod, ale towarzyszyła ekipie na planie. „Tyle już dotychczas nawypisywano! Że jadowite żmije rzucają się na członków ekipy. Że aktorzy samolotami dolatują na pustynię, a potem siedzą w dużych lodówkach (...). Kawalerowicz w beczce z wodą (mniej wymagający – nie chciał lodówki?) prowadzi zdjęcia. Czasami wpuszcza do beczki młodego Ramzesa i razem moczą sobie nogi”, pisała w korespondencji dla „Przekroju”.

Czy można krytykować Zelnika?

Premiera, która odbyła się 11 marca 1966 r. w warszawskiej Sali Kongresowej, była wydarzeniem. Poprzedzały ją nie tylko artykuły prasowe, lecz także solidna kampania promocyjna: film był reklamowany nie tylko afiszami w kinach, lecz również na banerach rozwieszanych w poprzek ulic, a nawet na pudełkach z zapałkami. „Pałac Kultury płonął światłami. Sześciu milicjantów regulowało ruch. Zajeżdżały mercedesy z chorągiewkami ambasad. Wysiadały panie w złocie długich sukien. Wielki świat. Europa. Ministrowie. Kwiaty i trzaski fleszów. Premiera Faraona”, donosił z emfazą reporter „Ekranu”, by parę akapitów później z przekąsem zanotować, że choć wszyscy goście mieli zaproszenia, miejsc na sali

eprasa.pl 7cd57e2719

Reżyser Jerzy Kawalerowicz na planie w Egipcie

zabrakło, więc nawet gwiazdy polskiego kina – m.in. Beata Tyszkiewicz, Andrzej Wajda, Daniel Olbrychski – musiały siedzieć na schodach i dostawkach.

Być może miejsce, na którym siedział Wajda, było wyjątkowo niewygodne, bo w swoich „Notesach" premierowy wieczór skwitował jednym zdaniem: „Kawalerowicz opowiada akcję »Faraona« tak, jakby mówił w obcym języku, którego się nauczył z największym trudem".

Wśród recenzji dominowały jednak zachwyty, głosy nieprzychylne zdarzały się zdecydowanie rzadziej. Na łamach POLITYKI 12/66 o „Faraonie" pisał nieoceniony Zygmunt Kałużyński, który w swoim stylu chwaląc „piękny film", dorzucał jednocześnie garść zarzutów: „Faraon w założeniu miał się trzymać sztucznej stylizacji, podobnej jak u Eisensteina, ale nie wytrwał w tym zamiarze i raz po raz ześlizguje się ku życiowej naturalności. W rezultacie wpadamy w sztampę teatralną: dekoracje odczuwamy jako malowaną tekturę, postaci zaś jako aktorów rozebranych ze spodni i wymalowanych szminką czekoladową, z wysiłkiem trzymających karki sztywno, jako że chodzi o figury z piedestału".

I dalej: „Gdy zaś pokazuje się piękna Kama w zalotnych slipach i z biustem widocznym poprzez muślin, stwierdzamy – zresztą nie bez niejakiej przyjemności – że w tym filmie, odżegnującym się przecie od hollywoodzkich praktyk rewiowych – znaleźliśmy się jednak, mimo wszystko! – w Folies Bergère, w skeczu music-hallowym pt. »Rozkosze dworu Faraona«". Tekst Kałużyńskiego nie przypadł do gustu niektórym czytelnikom, bo kilka tygodni później POLITYKA opublikowała list: „Zwłaszcza nie do przyjęcia jest krytyka Jerzego Zelnika. Zelnik nie tylko grał wspaniale, ale nawet posiadał typową egipską urodę, co powiększyło walory filmu", pisał Marian w „imieniu oburzonej klasy Vb Śl. Technikum Zakładów Naukowych w Katowicach".

Seweryn Kuśmierczyk, badacz i znawca twórczości Kawalerowicza, odnotował, że w ciągu roku po premierze ukazało się w polskiej prasie ponad 200 recenzji i omówień filmu, a potem fala zainteresowania zgasła. Do tego stopnia, że w przygotowanej na półwiecze premiery książce poświęconej filmowi Kuśmierczyk nazywa „Faraona" „zapomnianym arcydziełem". Ponowne zainteresowanie widowisko zawdzięcza na pewno rekonstrukcji cyfrowej oraz obecności w projekcie „Masterpieces of Polish Cinema", przygotowanym przez Martina Scorsesego.

Prus był Kawalerowiczem

Na Zachodzie, szczególnie po premierze na festiwalu w Cannes (imprezę otwierały „Popioły", zamykał „Faraon" – z dzisiejszej perspektywy polskiego kina rzecz niewyobrażalna), również pojawiło się mnóstwo recenzji, w wielu przypadkach bardzo pozytywnych. Przedstawione przez Kawalerowicza starcie racji politycznych odczytywano przez pryzmat peerelowskiej walki władz świeckich z Kościołem, która przybrała na sile po ogłoszeniu listu biskupów polskich do niemieckich w listopadzie 1965 r. Niekoniecznie było to zgodne z intencjami reżysera, ale w przypadku filmów takich jak „Faraon" – zamykających w historycznym kostiumie uniwersalną prawdę o świecie – kontekst jest wszystkim. W Polsce zresztą film również bywał odczytywany przez pryzmat bieżącej polityki i stosunków społecznych, m.in. na tle planowanych hucznych obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Dopisała publiczność: na „Faraona" wybrało się do polskich kin prawie 9,5 mln, co na kilka lat dało mu drugie miejsce na liście najbardziej kasowych rodzimych filmów („Krzyżaków" nie pobił już nikt) – do czasu, gdy na ekrany wjechał z impetem „Pan Wołodyjowski" Jerzego Hoffmana, intelektualną dyskusję zastępując filmem iście hollywoodzkim: obsadzonym gwiazdami, zrealizowanym z niebywałą zręcznością i patriotycznym uniesieniem. Po wielu latach Kawalerowicz w jednym z wywiadów odniósł się do rzekomej rywalizacji z Hoffmanem o serca widzów: „Prus był bardziej intelektualny niż Henryk Sienkiewicz. Moim zdaniem, Sienkiewicz był takim Hoffmanem... Natomiast Prus był Kawalerowiczem".

Oglądany po latach „Faraon" może się wydawać reliktem swojej epoki: dziś nie mógłby powstać w podobnej formie choćby ze względu na zastosowaną przez charakteryzatorów technikę blackface, czyli makijaż zmieniający białych aktorów w bohaterów z innej grupy etnicznej, dziś już niedopuszczalną. Choć jeden z zachodnich widzów, zapisujących swoje spostrzeżenia w serwisie społecznościowym Letterboxd, przytomnie zauważył, że „Faraon" to wyjątkowy przypadek, w którym blackface nie sprawia wrażenia braku szacunku dla Egipcjan.

Z drugiej strony trudno nie docenić znakomitej decyzji obsadowej: Jerzy Zelnik ze swoją młodzieńczą energią dał historycznej (choć fikcyjnej, wymyślonej przez Prusa) postaci współczesny charakter. Doskonale też zniosła próbę czasu wizualna koncepcja Kawalerowicza. W czasie premiery przełomowa, wręcz awangardowa: reżyser blisko współpracował z wybitnymi archeologami, m.in. legendą egiptologii Kazimierzem Michałowskim, nad odtworzeniem realiów sprzed 3 tys. lat, a zarazem nadał „Faraonowi" pewną umowność czasu i przestrzeni. Wraz z operatorem Jerzym Wójcikiem pokazali świat odrealniony, wyprany z barw – nie ma tu jaskrawych kolorów, dominują szarości, zgaszone złoto, palące światło słoneczne – niemal oniryczny. Dzięki temu uniwersalne znaczenie filmu jako opowieści o pokusach i pułapkach władzy absolutnej wybrzmiewa dziś równie mocno co 60 lat temu.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Korzystałem m.in. z książek „Faraon. Poetyka filmu" oraz „Faraon. Rozmowy o filmie" pod red. Seweryna Kuśmierczyka (Czuły Barbarzyńca 2016–17). Cytaty z prasy w oryginalnym brzmieniu.

© JACEK STACHLEWSKI/WFDIF

eprasa.pl 7cd57e2719

Obecność nieobecnych

Trzeba opowiadać o tym, co się wydarzyło, po to, żeby człowiek wiedział, do czego jest zdolny. Tylko że człowiek niczego się nie uczy – mówi Hanna Krall w nowej poruszającej książce „Nie mówi się takich rzeczy".

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **– Pani nowa książka jest ilustrowana, ale rysunki Zbigniewa Libery to właściwie równoległa opowieść.**

HANNA KRALL: – Taki był pomysł, żeby opowiedzieć o tym samym na różne sposoby. Zaprosiłam Zbigniewa Liberę, przeczytałam kilka tekstów, powiedział, że leci rysować. Przychodził, pokazywał, co narysował, i te jego rysunki żyły, co innego znaczyły w różnych chwilach i dniach. Teraz wyglądam przez okno i widzę za oknem rysunek Libery, niebo, chmury, jakiś dach. I to nie jest naciągane, że świat naśladuje sztukę, po prostu gołym okiem to widać.

Dwie opowieści o tym samym, czyli o czym? O zabijaniu?

Może o tym, że człowiek niczego się nie uczy. Historia to, jak w filmie, ogólny plan, rozległa panorama. Reportaż to zbliżenie. Inkwizycja to też ogólny plan, a reporterskie zbliżenie to historia procesu Isabel Lopez, o którym piszę w książce. Zachowały się protokoły z jej procesu. Czytałam w „Commentary Magazine" duży tekst o Isabel dawno temu, ale wróciłam do niej, kiedy przeczytałam rozmowę z Claudią Wise, współczesną Amerykanką z Seattle. Opowiadała, że przychodzi do niej dziewczynka, nie daje jej spokoju i domaga się, żeby czytać o jej spalonej na stosie matce. Pomyślałam: chyba znam tę dziewczynkę. Do mnie przez całe życie przychodzą takie, namolne trochę i zawsze ośmioletnie.

Czym są te dziewczynki? Dybukami?

Pamięcią? Która żyje w nas? Te dziewczynki mi po prostu towarzyszą, bo jestem jedną z nich, bo podczas drugiej wojny światowej zawsze miałam osiem lat. Bo wiedzą, że są mi bliskie i że je zrozumiem. Czytam o XV-wiecznej Kordobie, od której pogrom się zaczął. To nie może być przypadek.

To jest też książka o pożegnaniach, które się nie kończą?

O pamięci, która się nie kończy. Piszę właściwie cały czas jedną książkę. Od czasu „Fantomu bólu" to jest jedna książka, do której ciągle coś dopowiadam. Książka, która się nie chce skończyć. Mariusz

Hanna Krall (ur. 1935 r.) – pisarka, reporterka i dziennikarka. Światową sławę przyniósł jej wywiad z Markiem Edelmanem „Zdążyć przed Panem Bogiem" (1977 r.). Autorka książek, m.in. „Taniec na cudzym weselu" (1994 r.), „Dowody na istnienie" (1996 r.), „Tam już nie ma żadnej rzeki" (1998 r.), „To ty jesteś Daniel" (2001 r.), „Wyjątkowo długa linia" (2004 r.), „Biała Maria" (2011 r.), „Synapsy Marii H." (2020 r.) czy „Jedenaście" (2024 r.).

© ANDRZEJ WIKTOR — DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ZESPOŁU DEKALOG WARTOŚCI.COM

eprasa.pl 7cd57e2719

Szczygieł mówi, że „Nie mówi się takich rzeczy” to jest moja piąta ostatnia książka. „Biała Maria” miała być ostatnia, ale dowiedziałam się o Marii H., której udało się wyjść z Umschlagplatzu, a 11 września udało się zejść ze 104 pięter pierwszej wieży WTC, i napisałam „Synapsy Marii H.”, które miały być moją ostatnią książką, ale pojechałam z Piotrem Sommerem do Otwocka, bo chciał zobaczyć mój Otwock i swój mi pokazać. Po moim nie było śladu. Idziemy, szukamy Prusa 11. To było tu – mówię – dom dziecka był, a jest las. Na co pan Piotr pokazuje mi 11, owszem jest, gdzie indziej, na budynku Sióstr Szkolnych de Notre Dame. To podróbka – mówię – prawdziwe Prusa 11 było tam, gdzie samosiejki. Dlaczego prawdziwsze – pyta pan Piotr. I zrobiła się książka „Jedenaście”, która też miała być ostatnia.

A pisanie książki „Nie mówi się takich rzeczy” od czego się zaczęło?

Od pana Michała, reżysera, którego od razu zapewniłam, że już skończyłam z pisaniem. A pan Michał na to, żebym spojrzała na opowiadania niejakiego Aloszy Herszela, z którym nie ma co prawda kontaktu, bo jest w amerykańskim więzieniu, ale chyba nieźle pisze. Pokazałam opowiadania Piotrowi Sommerowi, podobały mu się, ale to jeszcze nie był ten moment, kiedy człowiek wie, że będzie pisać. Dopiero jak usłyszałam, że prapradziadek Aloszy, główny rabin Płocka, pożyczył Napoleonowi Bonaparte 10 tys. złotych talarów, a babcia Fajga próbowała te talary odzyskać... Czy w tym nie ma czegoś dziwnego? Że ktoś ciągle przychodzi do mnie z opowieścią, tak jakby domagał się, żeby opowiedzieć jeszcze i tę historię.

W rozmowie z Wojciechem Tochmanem „Nad Narwią” mówi pani, że czasem czuje nostalgię za reporterską podróżą, za spotkaniami, ale to się nie skończyło, bo historie same przychodzą. Mimo że miejsca znikają.

Zniknął solidny budynek domu dziecka, który potem był szpitalem, rozpłynął się w powietrzu. Zniknęła Targowa 32, gdzie mieszkałam, jeszcze bardziej solidne trzy podwórka, wielka przedwojenna kamienica. Powietrze zostało i samosiejki. A teraz czytam, że zniknie budynek Intraco. Był niedaleko redakcji POLITYKI i mieścił się w nim nasz redakcyjny barek. To tam spotkałam się pierwszy raz z Krzysztofem Kieślowskim. Zadzwonił do mnie do redakcji, 1976 r. to był, kiedy przeczytał w „Odrze” „Zdążyć przed Panem Bogiem”, a ja zobaczyłam w telewizji jego „Personel”. Zadzwonił, że chyba powinniśmy się poznać. I poznaliśmy się w Intraco i siedzieliśmy z pięć albo sześć godzin. Narzekaliśmy, jacy inni są utalentowani, tacy Czesi na przykład, a my co, beztalencia kompletne. I tak zaczęła się nasza 20-letnia przyjaźń. A teraz Intraco rozbierają. Po co?

W książce są powroty, pojawia się Lilka z domu dziecka w Otwocku, odzywa się po latach.

Lilka odezwała się po raz pierwszy 50 lat po domu dziecka. Po nalocie w Izraelu. Spytała, co ma robić, bo ogłosili alarm, stoją windy, ona nie chodzi po schodach, zaraz rakiety na nich spadną. I pytała, co ja bym zrobiła w takiej sytuacji? Wiem, co bym robiła: wzięłabym kartkę i długopis, i zaczęłabym pisać, że jest alarm i stoją windy, i zaraz rakiety spadną. Napisałam krótki tekst o Lilce, ale to nie był koniec jej historii. Lilka przywiozła mi opowieść matki o grobowcu. Jak go budowały i zamieszkały w nim i jakie sny miały.

Jest też w książce opis szczęścia w najstraszniejszej sytuacji, w obozie jenieckim na zesłaniu – w takich warunkach Józef Czapski opowiadał o Prouście w Griazowcu.

Byli tam oficerowie, którzy uniknęli śmierci w Lesie Katyńskim. Można być szczęśliwym, kiedy jest Karol Swann. Już nie ma lasu, zasieków, psów, straży ani pluskiew. Proust mi towarzyszy od czasu ulicy Targowej, dlatego kiedy zobaczyłam esej Czapskiego w „Kulturze” paryskiej „Proust w Griazowcu”, miałam wrażenie, że spotykam starych znajomych. No i zaciekawiło mnie, komu ten tekst Czapski dedykuje, dwóm przyjaciołom, Cichemu i Kohnowi. Obaj pomagali Czapskiemu spisać i przetłumaczyć wykłady z francuskiego na rosyjski dla władz obozowych. Joachim Kohn znał Prousta. Poczytałam o nim i zobaczyłam słowo Horodenka. Kohn w Horodence zdawał maturę. Nie wiem co prawda, jaki był język na maturze w tej Horodence. Pewnie francuski. Więc Proust nie tylko był na Targowej i Kawęczyńskiej, nie tylko w Griazowcu, ale i Horodence. Myślę, że byłby szczęśliwy, gdyby wiedział, gdzie trafił i jak bardzo przydał się ludziom.

Kim jest Ojczenasz? Pojawia się cały czas w książce.

Kiedyś był Wielkim Scenarzystą. W spektaklu Izabelli Cywińskiej „Druga matka” na podstawie moich tekstów pojawił się młody mężczyzna z wielką księgą. Wszystkie drugie matki opowiadały po to, żeby on w tej księdze to zapisał. Pytali potem reżyserkę, kim jest ów młody człowiek. Mówiła: nie wiem. Ja wiedziałam. Był protokolantem. Dla Sądu Ostatecznego. Tym razem nie ma księgi. Jest Ojczenasz, który chce wiedzieć. Z czego wynika, że nie wie. Gdyby wiedział, to znałby zakończenia wszystkie i by się zanudził, ale proponuję, żeby nie przenikać jego tajemnicy. Wielki Scenarzysta miał to do siebie, że fenomenalnie układał fabuły, był ▶

REKLAMA

eprasa.pl 7cd57e2719

▶ pomysłowy i dbał o puenty. Ojczenasz nie ma puent. Ojczenasz słucha.

Mówiła pani niedawno, że najlepszy temat reporterski to byłaby rozmowa ze snajperem Hamasu, z żołnierzem izraelskim z Gazy i z rosyjskim żołnierzem z Buczy. O co by ich pani zapytała?

Może opowiedziałabym, co mówił Marek Edelman w Instytucie Historycznym podczas dyskusji o „Sąsiadach" Grossa. Człowiek, mówił doktor Edelman, to nie jest udana rzecz. Człowiek, proszę państwa, to jest taka rzecz, która lubi zabijać. No i w tej ostatniej mojej książce ta nieudana rzecz zabija Zośkę, czterech braci z jednej rodziny, spala na stosie kobietę, bo zwracała się do Boga niewłaściwymi słowami. Spytałabym zabójców o zabijanie, które się lubi. Naiwne, co mówię, ale ta agresja, chęć dominacji i na koniec pragnienie zabijania jest być może najważniejszym tematem dla reportera.

Opisuje pani między innymi taką scenę w kościele, kiedy chrześcijanie zostali wezwani do ołtarza, „wszak wszyscy jesteśmy chrześcijanami". Pani, niechrześcijanka, została sama.

Było to spotkanie środowisk twórczych z papieżem. Ksiądz wezwał chrześcijan do ołtarza, wszyscy poszli i wokół mnie zrobiło się pusto. Poczułam, że ktoś bierze mnie za rękę – był to Julian Stryjkowski. I tak staliśmy we dwoje, trzymając się za ręce. Niedaleko nas siedziała poetka Urszula Kozioł. Wstała i stanęła koło mnie. I staliśmy we troje. Trochę dziwne to było, ale i trochę wspaniałe.

W tej książce znajdziemy kilka pożegnań. M.in. właśnie pożegnanie Urszuli Kozioł i Marcina Wichy.

Lubiliśmy się z Piotrem Wichą, ojcem Marcina. Mijała tu pani drzwi, które nam zrobił w nośnej ścianie. Oddałam Marcinowi techniczne rysunki ojca i zaczęliśmy wymieniać wiadomości. Otworzyłam telewizor, a tam lata facet z gaśnicą, stoi kobieta z całkiem białą twarzą, Lea z „Dybuka" stoi. Napisałam prędko do Wichy, że dają „Dybuka" w Sejmie, odpowiedział, że to raczej teatr kabuki. Potem gadaliśmy to o rosyjskiej awangardzie, to o dziewannach z „Sublokatorki", to o czarnym kwadracie. Bardzo obeszła mnie ta śmierć.

A rozdział „Wyrzucić" jest nawiązaniem do „Rzeczy, których nie wyrzuciłem"?

Nie pomyślałam o tym, ale mówię Ojczenaszowi: „Wszystko jest ze sobą połączone, nie udawaj, że nie wiesz". Literatura nie bywa dla mnie inspiracją, inspiracją jest to, co się dzieje w życiu. Literatura jest tylko po to, żeby się zachwycać.

Czym się pani zachwyciła ostatnio?

Bez umiaru i pamięci, tak jak się człowiek zakochuje, zachwyciłam się książką „Upadek Robespierre'a" Colina Jonesa. Opisuje ostatnie 24 godziny życia bohatera, 27 lipca 1794 r., godzina po godzinie. Czasami co 15 minut. Ta książka pokazuje nieograniczone możliwości reportażu. Kiedy czytam, że Robespierre wynajmował pokój u stolarza i było tam biurko, książki, a na łóżku leżała narzuta niebieska w białe kwiaty, przerobiona ze starej sukienki żony stolarza, to od razu sporo wiem, poprzez parę znaczących szczegółów, i o ascetycznej skromności Robespierre'a, i o oszczędności stolarzowej. Codziennie ścinali 30–40 głów. Głowy spadały do kosza, a jak się nie mieściły, to kat siadał na koszu i je upychał. Autor opowiada, jak się zachowywali ludzie jadący wózkiem na śmierć. „W drodze na gilotynę uśmiech stał się cichą bronią symbolicznego oporu". Nie jest to piękne? A inspiracją dla autora nie były dzieła historyków, tylko Georges Perec i jego „Zniknięcia", bez litery „e". Natychmiast zaczęłam się zastanawiać, co ja mogłabym tak opisać godzina po godzinie i wiem – 9 maja 1943 r. Marek Edelman wychodzi z kanału. Już wiem, jak dałoby się to opisać, ale wiem, że nie mogłabym napisać, bo nie powinnam.

Dlaczego?

Reporter zależy od tego, co mu podsunie życie, ale reporter ma ograniczenia, które sam sobie wyznacza. Musi wiedzieć, ile mu wolno. Z przykrością myślę, że taka zabawa formą byłaby niestosowna. Natomiast sam gatunek reportażu jest wieczny, ludzie zawsze będą chcieli słuchać prawdziwych opowieści o ludzkich losach. Trzeba opowiadać o tym, co się wydarzyło, po to, żeby człowiek wiedział, do czego jest zdolny, i żeby się bał samego siebie. Tej „nieudanej rzeczy", która w nim drzemie. Tylko że człowiek niczego się nie uczy. Nawet od Zagłady się nie nauczył. Wykorzystuje się tragedię w Gazie, żeby unieważnić Zagładę. To podejrzane. Nie chodzi przecież o dramat ludzi w Gazie, tylko żeby dołożyć Żydom. Bezkarnie tym razem, bo w imię szlachetnych ideałów.

„Nie mówi się takich rzeczy". Chce się zapytać: jakich?

Córka mi napisała, że mój prawnuk Zachary nie poszedł do przedszkola, bo liczył nogi pająka. Więc zaczęłam czytać o pająkach i dowiedziałam się, że mają cztery pary nóg. Jedne osaczają ofiarę, inne ją porażają i owijają jedwabiem, a wszystkie służą do zabijania. Jak chytrze, zmyślnie to jest zrobione. Ktoś tu u mnie był, nie pamiętam kto, i powiedział – już ubierając się, w przedpokoju – że na tym świecie wszystko jest tak pomyślane, jakby ktoś to ułożył. I ja wtedy pomyślałam, że tak, że nawet nogi pająka są niezłym przykładem, może nawet dowodem. Ale podobne konkluzje wymagają powagi, nie mówi się takich rzeczy, wiążąc buty pod wieszakiem. Taka puenta – znowu o zabijaniu – może być?

Może coś jaśniejszego?

Kiedyś Tadeusz Różewicz namawiał mnie na jasność. Chciałam się dowiedzieć czegoś o jego dowódcy Stanisławie Sojczyńskim, przyjechałam do niego do Konstancina. Żegnaliśmy się – oboje wiedzieliśmy, że na zawsze – i Różewicz chciał mi dać na koniec jakąś radę. Pani Haniu, powiedział, trzeba wyjść z mroków, w jasność trzeba iść!

Ale mroki są. W rozdziale „Godziny" czytamy, że w razie ataku trzeba przygotować jedzenie na 72 godziny.

Bo lęki unoszą się nad nami. Są bardzo realne i bardzo obecne. Pytanie, co będzie w 75. godzinie i czy ja wtedy będę? Przez ostatnie 80 lat zabijali kogoś innego, to może już przychodzi kolej na nas?

Ta książka, która nie mogła się skończyć, ma też postscriptum.

Kiedy kończyłam książkę, umarła Halina, moja sąsiadka z działki nad Narwią. Przy wspólnym granicznym płocie rosło drzewo i gałęzie rzucały cień na działkę Haliny. Mówiła: zrób coś z tą gałęzią, nie życzę sobie jej cienia. Odpowiadałam, że chociaż gałąź jest po mojej stronie, to korzenie są jej, i Halina mi uwierzyła. I któregoś dnia okazało się, że korzeń jest jednak mój. Nie zdążyłam jej tego powiedzieć, ale wyznałam w książce. Mój korzeń, moja gałąź, mój cień, przyznałam, i bardzo Halinę przeprosiłam.

Na całej tej książce kładzie się cień pani męża Jerzego Szperkowicza, zmarłego cztery lata temu.

Tak, Jurek jest ze mną i nad Narwią, i na Ursynowie. Wchodzę rano do kuchni, jest tam w kredensie za szybą jego zdjęcie. Mówię, że kawy by się pewnie napił. Że Zachary, jego prawnuk, jeździ coraz lepiej na nartach. Ta obecność nieobecnych jest bardzo realna, niewymyślona, bardzo prawdziwa. I nie będzie miała końca.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl 7cd57e2719

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Maciej Dowbor o zakończeniu współpracy Igi Świątek z trenerem: „Trochę szok". Oto podstawowe cechy rzetelnego dziennikarstwa: dociekliwość, obiektywizm, szeroka wiedza ogólna.

●

YouTube przywrócił głośny film Jakuba Wątora o Żurnaliście, który ten tak skutecznie zablokował, że napisali o tym wszyscy. Ewidentnie Wątor ma u niego dług. Zresztą nie on jedyny.

●

Krzysztof Stanowski ujawnił, że zadzwonił do niego niedawno prezydent Karol Nawrocki z pytaniem: „Co słychać u Kizo?". Pewnie chciał, żeby tamten się ogarnął.

●

Ralph Kaminski przy okazji promocji swojej nowej płyty powiedział, że Maryla Rodowicz jest dla niego seksowniejsza niż Doda. Artysta konsekwentnie udowadnia, że nie tylko fryzurę ma dziwną.

●

„W Kanale Zero było więcej wolności niż w TVN24" – to Marcin Meller. Oczywiście. Idąc podobnym tokiem rozumowania, w Kanale Zero ruscy wyzwalają, a w TVN24 napadają.

●

Łukasz G., neurochirurg ściemniacz i mitoman z zarzutami karnymi, pojawił się w teleturnieju „Omnibus – szybcy i mądrzy". TVP to fenomen. Prezesi się zmieniają, a mądrość pozostaje na stałym poziomie.

●

Byli partnerzy Marianny Schreiber, Przemysław Czarnecki i Piotr Korczarowski, spotkają się w oktagonie Prime MMA. Przegrany wraca do Marianny.

●

Średnio 252 tys. osób ogląda w TVP2 „Kwiatki polskie duże", które prowadzą Katarzyna Kasia i Grzegorz Markowski. Program ma podobno formułę „late night show". Zgadza się. Jest późno.

●

„W wielu sprawach jestem lewicowa, ale w kwestii patriotyzmu idę po bandzie" – to Doda. Sama prawda. „Dywizjon 303" czy „Grom" – Emil S., jej mąż i wspólnik, wyłudzał pieniądze wyłącznie na patriotyczne filmy.

●

W związku z piątym rozwodem Michał Wiśniewski nagrał stosowny utwór, a jego małżonka pojawiła się w „Pytaniu na śniadanie". Wciąż nie mogę się zdecydować, czy śmieszniejsze są jego śluby, czy rozstania.

●

Halina Mlynkova pokazała w sieci swoje roznegliżowane zdjęcie, na którym przykryta jest wyłącznie okładkami nowej płyty. Sukces w mediach osiągnięty. Znów przez lata może nie nagrywać przebojów.

●

„Modra i Krupski rozwodzą się! Wiemy, kto złożył pozew" – to Plotek.pl. Z bohaterów tej informacji największą karierę zrobiło słowo pozew.

●

„Sylwia Bomba zapłaciła za paliwo 825 PLN i nie kryła oburzenia – Ej, wy tam na górze. Dzięki" – informują media od „Do Rzeczy", poprzez „Gazetę", aż po Onet. Znakomite. Trochę Seneka, a trochę Jean-Paul Sartre.

●

Filip Chajzer wystartował z własnym podkastem o nazwie „Filip Chajzer Podcast". Nazwa jest ważna. W Bydgoszczy jest zakład pogrzebowy Radość.

●

Na meczu ŁKS Łódź z Ruchem Chorzów pojawiły się banery kibiców, skierowane do Karola Nawrockiego: „Nie jesteś jednym z nas". Później była Cracovia i Lechia Gdańsk. Na szczęście jest jeszcze klasa okręgowa.

●

Rafał Maserak ocenił relacje Igi Świątek i jej psycholożki: „Trochę creepy". W punkt. Praca stóp 10. Rama i trzymanie 9. Jakość ruchu 8.

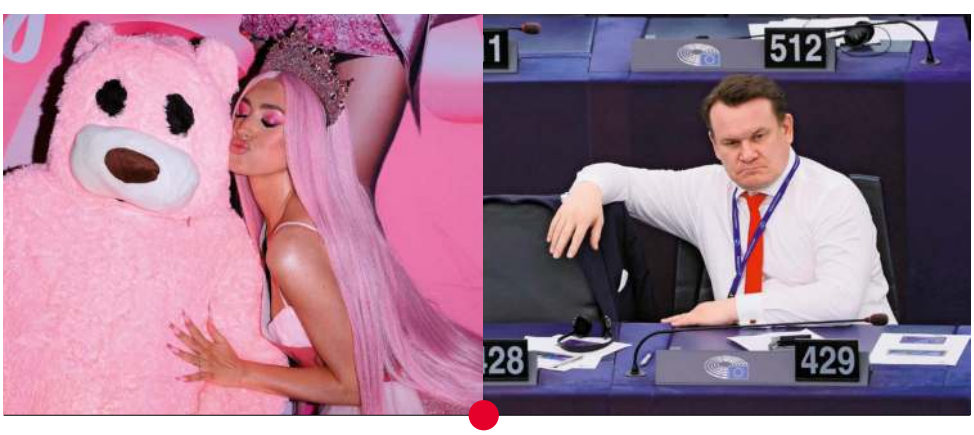

© PAWEŁ KIBITLEWSKI/REPORTER, LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Caroline Derpienski wraz z partnerem wręczyli prezydentowi Trumpowi jego popiersie z brązu pokryte 24-karatowym złotem. Dominikowi Tarczyńskiemu wyrosła w USA silna konkurencja.

eprasa.pl 7cd57e2719

Opowiedziane życie

Tylko to, co opowiedziane, jest możliwą wiecznością – mówił zmarły w wieku 94 lat Wiesław Myśliwski, mistrz polskiej literatury.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

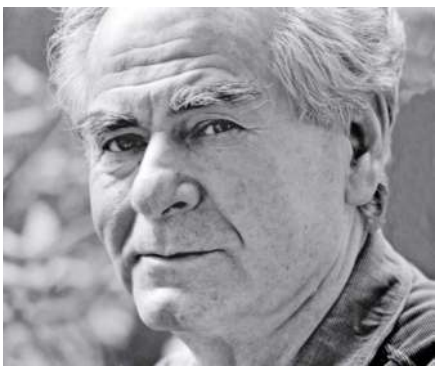

Zawsze powtarzał, że najważniejsze jest zdanie. „Było, jak mówię" – tak zaczyna się „Ucho igielne". „Wybudować grób. To się tylko tak mówi" – początek powieści „Kamień na kamieniu". Mówił tak, jak pisał, z namysłem, zdanie Wiesława Myśliwskiego ważyło. Słowo miało moc. „Piszę, bo nie wiem. Literatura nie jest więc dla mnie ilustracją tego, co wiem, jest ledwo tlącą się o wieczorze naftową lampą w dawnej chłopskiej izbie, prowadzącą mnie po mrokach mojej niewiedzy, mojego nieodczuwania i nieprzeczuwania" – mówił w POLITYCE. „Każde słowo jest wydarciem z siebie cząstki tajemnicy, każde zdanie poszerzeniem granic swojej wyobraźni, swojej wrażliwości. Toteż moje książki wiedzą więcej o mnie niż ja sam i wiedzą prawdziwiej".

Zamierzał budować okręty, a został pisarzem. Pierwszą swoją powieść wyrzucił do kosza. Pisał ją długo, cyzelował, ale kiedy urodził mu się syn, uświadomił sobie, że to nie jest dobre, że to jakaś grafomania. Wyrzucił więc wszystko do kosza i napisał nową wersję w ciągu sześciu miesięcy. Tak powstał „Nagi sad". W tej powieści matka niesie chore na koklusz dziecko przez dziewięć mostów. Myśliwski stronił od autobiografizmu, ale ten rozdział w debiutanckiej powieści z 1966 r. jest oparty na jego wspomnieniach. Matka zawiozła go chorego do lekarzy, ale nic nie pomagało i stan się pogarszał. I wtedy posłuchała rady wiejskich kobiet, że trzeba iść przez dziewięć mostów z dzieckiem na ręku. Szli z nią ojciec, wujowie i sąsiedzi, ale nikt nie mógł jej pomóc w noszeniu dziecka. Musiała przejść pieszo ponad 40 km, bo na małych rzekach nie było mostów, i rzeczywiście – pomogło.

W innych powieściach też znajdziemy odblaski wojennych przeżyć pisarza – w „Traktacie o łuskaniu fasoli" dziecko patrzy na płonące wsie ze wzgórza Winnica. „Zdarzyło się to pod koniec wojny, o ile pamiętam: w lutym 1944 r., na pół roku przed wkroczeniem Rosjan na przyczółek sandomierski. Stałem z matką na tym wzgórzu w gromadzie ludzi. Ktoś się modlił, ktoś płakał, matka kazała mi uklęknąć, a ja (z niewiedzy? głupoty? strachu?) się roześmiałem. To wspomnienie tkwiło we mnie przez ponad 60 lat" – mówi w jednym z wywiadów. Nie dawały mu też spokoju obrazy wywożenia Żydów do getta w Sandomierzu.

Wczesne lata nie były ani łatwe, ani szczęśliwe, bo naznaczone śmiercią ojca. Ojciec pozostał postacią tajemniczą, we wspomnieniach Myśliwskiego zawsze spokojny i opanowany, przyjmował rzeczywistość z pozycji doświadczenia. Matka była bardziej impulsywna. Po śmierci ojca w domu nastały ciężkie czasy, stąd pomysł, żeby studiować budowę okrętów. Skończył liceum w Sandomierzu i zdawał na Politechnikę Gdańską, ale się nie dostał. Wrócił więc do Dwikóz, żeby zarabiać, pomóc matce i siostrze, bo była bieda. I tak by się stało, poszedłby do pracy albo został w końcu inżynierem, gdyby nie jego dziewczyna Wacława. To ona namówiła go na polonistykę na KUL.

Przez pierwsze trzy lata nic nie wskazywało, że literatura będzie dla niego ważna. Grał w pokera i czytał zupełnie inne lektury, niż zalecano. Ale to się zmieniło, gdy zajął się psychologizmem w literaturze. Ówczesna dziewczyna stała się jego żoną: „Nie zbudowałem swojego życia sam. Jeśli je zbudowałem takie, jakie ono jest, to zawdzięczam to mojej żonie. Poznałem ją, kiedy miała szesnaście lat. I odtamtąd była nie tylko moją podporą, lecz często i moim sumieniem". Bo to nie literatura, jak mówił wielokrotnie, jest dla niego sprawą najważniejszą. Najważniejsza jest miłość.

Większość życia spędzili w Warszawie, ale to miasto nie zostawiło śladu w prozie Myśliwskiego. Czerpał zupełnie skądinąd, z chłopskiego świata, a przede wszystkim z języka. „Z tego przywłaszczenia sobie chłopskiego losu wzięła się moja twórczość. Z dotkliwej tożsamości z tym losem, kiedy po wielu próbach umiejscowienia się w świecie i po wielu złudzeniach odkryłem, że jestem chłopem".

Kulturę chłopską Henryk Bereza słusznie nazwał naszą kulturą matką. A Myśliwski ogłosił jej zmierzch w słynnym tekście „Kres kultury chłopskiej". Ale to właśnie ona, a nie sama wieś, stała się dla niego najważniejszym pisarskim źródłem. Czerpał z niej lekcje języka, nasłuchiwał w niej głosów zmarłych przodków. Kiedy pisał „Kamień na kamieniu", okazało się, że dziedziczymy nie tylko pamięć pojęciową, obrazową, ale także pamięć „językową". Tytuł tej powieści pochodzi z pieśni: „Kamień na kamieniu/ Na kamieniu kamień/ A na tym kamieniu/ Jeszcze jeden kamień...". Ta stara pieśń była dla niego syntezą metaforyczności chłopskiego języka. Z pieśni zrodziła się cała książka, którą pisał przez dziesięć lat.

Literatura i pisanie były dla Myśliwskiego narzędziem poznania i samopoznania. Jak mówił: „Nie wiem bowiem, jaka jest prawda we mnie. Gdybym to wiedział, nie uprawiałbym literatury". Kiedy „Kamień na kamieniu" ukazał się w 1984 r., w czasie beznadziei, od razu stał się bestsellerem, sprzedano 200 tys. egzemplarzy.

Powieści Myśliwskiego były zawsze grą o najwyższą stawkę. „Mam świadomość, że sztuka jest tylko próbą zmierzenia się z dramatem nieistnienia, z której to próby mało kto wychodzi zwycięsko. Mimo to warto podjąć taką próbę" – mówił w POLITYCE. Najważniejsza jest opowieść. Tylko opowiedziane życie może zamienić się w los, zyskać sens: „Tylko to, co opowiedziane, jest jedyną możliwą wiecznością. Żyjemy w tym, co opowiedziane. Świat jest tym, co opowiedziane". Teraz, po śmierci pisarza 29 marca, zostają z nami jego słowa. ■

© WOJCIECH PLEWIŃSKI/FORUM

eprasa.pl 7cd57e2719

FELIETON

Orliński

Cztery płacze Rosji

W skutek wojny w Ukrainie podciągnąłem swój rosyjski. Należę do jednego z ostatnich roczników, które miały go obowiązkowo w szkole – a co za tym idzie, nie przykładałem się zbytnio do nauki. Dla mojego pokolenia świat wyglądał prosto. Ameryka (a więc także język angielski) wydawała się fajna, bo robiła fajne rzeczy. Związek Radziecki niczego fajnego nie robił, a więc rosyjski też był niefajny.

Może brzmi to dziecinnie, ale upierałbym się, że jest coś na rzeczy. Zetknąłem się z wieloma produktami przemysłu radzieckiego i rosyjskiego. Jeździłem dwiema Ładami (2107 i Samarą), latałem Tupolewami, Antonowami i Iliuszynami, a nawet – to już było doznanie graniczne! – goliłem się „elektrobritwą". Nie polecam. I to jednak chyba coś mówi o tej kulturze, że nie potrafi wyprodukować niczego, co działałoby lepiej od analogicznych produktów choćby i polskich. Nie potrafiło za Sojuza, nie potrafi za Putina.

Język przydaje mi się teraz do zastosowania, o jakim 40 lat temu trudno byłoby nawet pomyśleć – do śledzenia, jak rosyjscy blogerzy opisują wojnę i związane z nią wyrzeczenia, które coraz częściej dosięgają już nawet mieszkańców Moskwy i Petersburga. Przez pierwsze lata wojny zdawali się jej nie zauważać, teraz ukraińskie drony fruwają im nad głowami, a władza właśnie im wyłącza internet. Płaczą i krzyczą: „Za co? Czemu tak cierpimy! Czym sobie na to zasłużyliśmy?".

> Nawet jeśli jedna z grup Rosjan się zbuntuje, pozostałe jej nie poprą. Każda jest wściekła na władze, ale z innego powodu.

To nie są pytania retoryczne, oni naprawdę tego nie rozumieją. Rosjanie pozornie są do nas podobni, ale w jednym się radykalnie różnią. Ludzie Zachodu (w tym my) zazwyczaj zakładają elementarną przyczynowość we wszechświecie. Rosjanie nie i widać to już w ich klasycznej literaturze: bohaterowie Tołstoja czy Dostojewskiego zmierzają od jednego przypadku do drugiego. Dostosowują się do nich, ale nie próbując na nie wpływać. I ten fatalizm ciągnie się przez Szołochowa i Fadiejewa aż po Prilepina. Jeśli w literaturze rosyjskiej bohater próbuje aktywnie wpływać na bieg wydarzeń, to jest to jakiś element obcy: „obywatel turecki Ostap Bender" u Ilfa i Pietrowa, szatan u Bułhakowa, kosmici u Bułyczowa.

Przeczytałem ciekawą analizę badania socjologicznego przeprowadzonego pod egidą Jewgienija Minczenki. To dość ponura postać: ekspert klubu wałdajskiego, tzw. politechnolog, czyli jedna z osób pomagających Putinowi w utrzymywaniu władzy. Przy całym ich amoralnym cynizmie bywają zaskakująco szczerzy w swoich diagnozach.

Według tej analizy Rosja dzieli się na cztery odrębne społeczeństwa. To Rosja „wyemigrowana", zewnętrznie lub wewnętrznie, która jest kategorycznie przeciwna wojnie (w raporcie nazywanej oczywiście „specjalną operacją wojskową"), ale reżimowi udało się ją uciszyć. Druga jest „Rosja stołeczna", która wojny nie przyjmuje do wiadomości i nadal najważniejszą wartością jest dla niej codzienny komfort. Trzecia to „Rosja z głubinki", w której wojnę traktuje się jako coś oczywistego, nad czym nie ma się co zastanawiać, bo ta Rosja jest zbyt pochłonięta codziennymi trudnościami, żeby mieć głowę do polityki. I wreszcie czwarty to „Rosja walcząca", czyli żołnierze i wspierający ich wolontariusze.

Przynależność do tych grup jest zasadniczo niezmienna (między 2024 a 2025 r. odnotowano transfery rzędu 1–2 proc.). Darzą siebie nawzajem w najlepszym wypadku chłodną niechęcią, jeśli nie otwartą wrogością. To stabilizuje reżim, bo nawet jeśli jedna z tych grup się zbuntuje (a przecież na początku doszło do buntu tej pierwszej!), pozostałe trzy jej nie poprą. Sądząc z mojego nasłuchu, każda z tych grup jest teraz wściekła na władze, ale z innego powodu. Pierwsza jest opozycyjna z definicji. Drugiej znienacka wprowadzono ograniczenia internetu. To nie dotyczy tylko serwisów społecznościowych, czytałem np. lamenty inżyniera, któremu przestał działać niezbędny do pracy program AutoCAD.

W „głubince" z internetem zawsze było krucho, podobnie jak ze wszystkim zresztą, ale tam pojawił się nowy dramat. Od miesiąca władze wyrzynają krowy z powodu jakiejś epidemii, ale w chwili pisania tego felietonu oficjalnie nawet nie wiadomo jakiej. Plotka mówi, że chodzi o pryszczycę, ale gdyby władze to przyznały, oznaczałoby to koniec eksportu. Rosyjska prowincja rozbrzmiewa więc płaczem rolników, którzy z dnia na dzień stracili źródło utrzymania, ale nie słychać ich w Moskwie.

A najbardziej wkurzeni są ci na froncie. Wyłączając Telegram (i inne usługi sieciowe), władze rozbiły im łączność. Równocześnie wysyłają ich w bezsensownych samobójczych misjach, na których tle krwawe ofensywy z pierwszej wojny światowej wyglądają niewinnie. Ale lamenty też nie przenikają przez granicę z 1991 r.: Moskwa tradycyjnie nie wierzy łzom (zwłaszcza cudzym), głubinka ma inne zmartwienia. Cóż, drodzy Rosjanie, przynajmniej my was słuchamy. Gdybym 40 lat temu wiedział, jak wielką mi to będzie sprawiało przyjemność, pilniej bym się przykładał do nauki waszego języka...

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 7cd57e2719

FELIETON

Chutnik Plebanek

Świat jest WF-em

TACO to nie tylko Hemingway. To też skrót, którym określa się od niedawna prezydenta Stanów Zjednoczonych: Trump zawsze się spietra (*Trump always chickens out*): rano grozi atakami, chwilę później blefuje, że toczą się pokojowe rozmowy, by potem znów wygrażać pięścią. Nic dziwnego, że jedna ze spiskowych teorii głosi, jakoby robił to po to, by zarobić na zmianach cen, gdy pod wpływem jego oświadczeń rynki szaleją. Jeśli nie on sam, to inni, którzy mu sprzyjają. To, że cierpią cywilni mieszkańcy, tuzów biznesu nie wzrusza.

Pete Hegseth, sekretarz obrony, celuje w kwestiach rodem z filmów klasy B: „Zabijanie złych ludzi kosztuje". To hasło ma usprawiedliwić wystąpienie Pentagonu o dodatkowe 200 mld dol. na wojnę z Iranem. Do dziś nie wiadomo, czemu miało służyć wywołanie tego konfliktu, ale Hegseth zaklina: „Musimy mieć wystarczająco dużo pieniędzy na to, co robimy i co być może będziemy musieli robić w przyszłości". Precyzja to iście pytyjska.

Hegseth nie wyjaśnia, kim są źli ludzie, ale nie musi tego robić. Większość i tak samodzielnie wpadnie na pomysł, że skoro premier Izraela Beniamin Netanjahu zapowiada, że zabije przywódców Iranu, niekoniecznie jest tym dobrym. Ścigany jest co prawda listem gończym na mocy wyroku Międzynarodowego Trybunału Karnego, ale amerykańska Izba Reprezentantów przegłosowała ustawę przewidującą sankcje dla urzędników MTK, którzy ten list wydali. Szach-mat, biznesy toczą się dalej. Bo Trump, mimo pozorów szaleństwa, najwyraźniej wie, co robi. Mianowicie robi biznes. Jako klasyczny prawicowiec monopolizuje pojęcie patriotyzmu tak, że nabiera ono cech hipernacjonalistycznych, ksenofobicznych i oczywiście antyimigranckich. To żyła złota, na podziałach niejeden spryciarz się dorobił.

Pozostaje mieć nadzieję, że pozytywny nurt życia zwycięży. Bo że gnojki przepadają w zawieruchach historii, to norma.

Codziennie przekraczamy kolejne granice eskalacji dyskursu nienawiści. Od początku wybuchu konfliktu na Bliskim Wschodzie normą stały się publiczne groźby pozbawienia życia drugiego człowieka. Ta retoryka w czasach pokoju nie tylko by oburzała, ale też podlegała karze. Dziś nie słychać przeciw niej protestów, a świat patrzy przez palce na wyskoki Trumpa i go nie karci, bo między Stanami a Europą za dużo jest powiązań – handlowych i innych. To, że nie oburzają nas już jawne pogróżki pozbawienia kogoś życia, wygłaszane przez decydentów, niepokoi. Normalizacja przemocy nigdy dobrze się nie kończy.

Z drugiej strony bezradność wobec brutalizacji życia politycznego i publicznego spotyka się z czymś w rodzaju cichego, lecz upartego ruchu oporu. Francuskie radio nadaje w weekendy cykl audycji „Jest lepiej" (*Ça va mieux*), gdzie pojawiają się dobre wiadomości. Jak ta o współpracy norweskich muzyków z... lodowcem. Dźwięki topniejącego lodu stanowią integralną część utworów, opisywanych jako mantryczne, kojące, pozwalające na głębokie porozumienie z naturą.

Inne dobre wieści to powrót łososi do wód Atlantyku po kilku latach nieobecności z powodu zanieczyszczenia rzek. A także odrodzenie się rzadkiego gatunku ptaka w naturalnym środowisku, i to nie dzięki staraniom naukowców, lecz za sprawą wyjątkowej jurności pewnego samczyka Baltazara, który samodzielnie zwielokrotnił populację, ratując pobratymców od wyginięcia w regionie. Pojawiają się też optymistyczne informacje o sztucznej inteligencji. Nie od dziś wiadomo, że ludzie trenujący jej modele ukradli twórczość artystów, by nauczyć maszyny języka i obrazowania – i tym sposobem dać zarobić swoim firmom. Jednocześnie badacze są na dobrej drodze do wyleczenia tak ciężkich schorzeń jak depresja, epilepsja czy alzheimer.

Czy w zepsutym świecie godzi się być szczęśliwym? – zapytała Simone de Beauvoir Alberta Camusa. Według niej skupienie na własnym szczęściu oznaczało konieczność oderwania od otaczającej rzeczywistości politycznej. Dopóki jednak szczęście nie wynika z ignorancji czy apatii, dopóki jest autentyczne, nawet egzystencjaliści mają prawo do niego dążyć. Być może to poszukiwanie stanowi narzędzie odpierania niesprawiedliwości. Z drugiej strony, jak mawiała Audre Lorde, „Jakiż zepsuty potwór mógłby być wiecznie szczęśliwy?".

Czy optymistyczne wieści w gąszczu wojennych pohukiwań to retoryka pokoju, niezbędna do przetrwania naszego gatunku? Na pewno jest to dojrzała alternatywa wobec okładania się łopatkami przez zaciętych smarkaczy na decyzyjnych stołkach. Jak śpiewa polski Taco: „Świat jest WF-em, a ja nie mam stroju, świat to liceum, ja mam lewe zwolnienie, świat jest WF-em, a ja chcę do domu, grajcie w te gry, a ja lecę do siebie". Pozostaje mieć nadzieję, że oddolny, pozytywny nurt życia zwycięży. Chociaż właściwe pytanie brzmi „kiedy". Bo że gnojki przepadają w zawieruchach historii, to norma, matka natura bezlitośnie ich eliminuje. *Ça va mieux*, jest dobrze. W każdym razie – wszystko jest na najlepszej drodze.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 7cd57e2719

Hartman

Grzegorz, trzymaj się!

Nie mogę nie zareagować na bezprecedensową kampanię nienawiści, a wręcz bunt rozpętany przez duchownych i świeckich antysemitów przeciw kard. Grzegorzowi Rysiowi i episkopatowi, którzy w 40. rocznicę odwiedzin Jana Pawła II w rzymskiej synagodze przypomnieli współczesne stanowisko Kościoła wobec judaizmu i Żydów, publikując list pasterski odczytywany 23 marca w kościołach w całej Polsce. List ten został zredagowany właśnie przez kard. Rysia i jego współpracowników, przez co nowy metropolita krakowski stał się głównym celem ataków.

Podobnych dokumentów było już kilka, choć trzeba przyznać, że „list Rysia" jest wyjątkowo jednoznaczny i dobitny. Wyjątkowa jest też reakcja księży i aktywnych w internecie katolickich integrystów. Media społecznościowe zalała powódź antysemickiej wrogości, tocząca wszelki śmieć przesądów, kłamstw i manipulacji, rodem z przedwojnia, a nawet ze średniowiecza. Z drugiego końca światopoglądowego spektrum, z przeciwległego chodnika ulicy Franciszkańskiej wołam więc do kardynała słowami solidarności i wdzięczności: dobrze czynisz, kardynale, i nie daj się!

Kardynał Ryś należy do wąskiej grupy duchownych katolickich, z którymi światek żydowski żyje na przyjacielskiej stopie. Niektórzy spośród nich są po prostu księżmi, jak ks. Wojciech Lemański, inni hierarchami, jak prymas Henryk Muszyński, nieżyjący już abp Józef Życiński („Żydziński", jak mówią antysemici, a i my, dla żartu, tak mawiamy) albo właśnie kard. Ryś. Takich księży jest w Polsce kilkunastu i tylu zapewne znajdzie się religijnych Żydów zaangażowanych w dialog chrześcijańsko-żydowski. Najbardziej znanym spośród nich jest prof. Stanisław Krajewski. Wszystko to wszak razem wzięte stanowi maleńką niszę, nieporównywalną z rozległymi i pysznymi jaskiniami antysemickich fundamentalistów wyższego i niższego stanu duchownego. Jednak duch przyjaźni i szacunku dla judaizmu, mimo że tak wątły i niedomagający, ma w Kościele bardzo długą tradycję i niemałe znaczenie. Już w średniowieczu bywali mądrzy duchowni katoliccy uczący się języka hebrajskiego i czerpiący wiedzę z rabinicznych komentarzy. Nie było to bezpieczne, więc tym bardziej godne jest pamięci.

> Antysemici doskonale wiedzą, że Maryja i Józef chodzili do synagogi, a ich Syn był obrzezany. Wiedzą i źle im z tym.

W świecie katolickim to rzadkość, lecz wspólnot chrześcijańskich żyjących w zażyłości z judaizmem jest wiele. Niektóre z nich są wręcz żydowskie i mają swoje siedziby w Izraelu. Gdy zliczyć członków wszystkich zborów protestanckich silnie powiązanych ze światem żydowskim, to wyjdzie z tego co najmniej kilkadziesiąt milionów filosemickich chrześcijan, głównie amerykańskich. I to głównie oni, a nie kilka milionów amerykańskich Żydów, pilnują, żeby USA wspierały Izrael.

Chrześcijański szacunek do Żydów jako narodu wybranego wyraża się w słynnym powiedzeniu Jana Pawła o „starszych braciach w wierze". Niestety, to by było na tyle. Katolicyzm bardzo konsekwentnie budował swoją tożsamość na micie antysemickim, a dla Żydów ubóstwienie człowieka (Jezusa) oznacza złamanie najważniejszego zakazu religijnego, jakim jest idolatria. Ponadto nie do zaakceptowania jest odejście od rozumienia Boga jako jednego i jedynego w jednej i jedynej osobie.

Jeszcze w czasach, gdy chrześcijanie byli Żydami i czcząc Jezusa jako Mesjasza, ani myśleli zrównywać go z Bogiem, „dialog" istniał. Były to sprawy wewnątrzżydowskie – wzajemne połajanki, które znamy pod postacią chrześcijańskich filipik wymierzonych w faryzeuszy oraz docinków w Talmudzie. I tu wkracza ów zakłamany antyżydowski mit, który z taką mocą wybrzmiał w hejcie na kard. Rysia. Otóż antysemicka legenda powiada, że dobrzy Żydzi poszli za Panem Jezusem, a ci, którzy się go zaparli i odrzucili jego zbawczą miłość, ulegli religijnej i moralnej degeneracji. Jej owocem był zaś judaizm rabiniczny i Talmud, które rzekomo miały być „odpowiedzią na chrześcijaństwo", przepojoną wrogością do chrześcijaństwa i Chrystusa. Zdegradowana religia doprowadziła Żydów do ateizmu i komunizmu.

Wszystko to kompletna bzdura i kłamstwo, a ich źródłem jest ból odtrącenia i kompleks niższości. Antysemici doskonale wiedzą, że ich Kościół czci żydowskie księgi jako objawione. Wiedzą, że Maryja i Józef chodzili do synagogi, a ich Syn był obrzezany, świętował sobotę i nauczał wedle Pisma. Wiedzą, że Biblia opowiada historię Żydów, od Mojżesza po Jezusa i apostołów. Wiedzą i źle im z tym. Dlatego starają się to na wszelkie sposoby zakłamać, dzieląc Żydów na tych „przed Jezusem" i „po Jezusie", a samego Jezusa „odżydzając", jak tylko się da: począwszy od twarzy zapożyczonej od Aleksandra Wielkiego po opowieści, iż „nie był Żydem, lecz Palestyńczykiem". Bardzo to smutne, że stosunki wzajemne tak właśnie wyglądają. Jednak jest coś silniejszego od „stosunków", na które nie poradzimy. Tym czymś jest dobra wola. I za nią kard. Rysiowi serdecznie dziękuję.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 7cd57e2719

Prezydent wchodzi ciałem

Chociaż Karol Nawrocki jako prezydent pewnych rzeczy nie powinien robić, to uważam, że miał prawo się zdenerwować, gdy kibice wywiesili na meczach transparenty informujące, że nie jest jednym z nich. Było to niesprawiedliwe i obraźliwe; wszyscy wiemy, że prezydent, gdzie tylko może, daje dowody, że umysłowość kibiców i kibolska mentalność są mu bliskie, że chętnie przyjaźni się z osobami o takiej mentalności i że dokłada starań, aby takie osoby odgrywały w państwie rolę, jaka im się słusznie należy.

Niedawno Nawrocki pokazał kibicom, że jest jednym z nich, podczas pielgrzymki na Jasną Górę. Nie wykluczam, że wkrótce pokaże to także podczas państwowych uroczystości na Wawelu lub przed Grobem Nieznanego Żołnierza; a może wspomni o tym również w orędziu wielkanocnym, co – miejmy nadzieję – ostatecznie zamknie temat. Chociaż zgadzam się, że w orędziach (gdy przeciwnik znajduje się poza zasięgiem jego rąk) prezydent bywa mało przekonujący. Dużo lepiej wypada w bezpośrednich starciach w półdystansie, w którym łatwiej trafić adwersarza celnym argumentem w głowę lub korpus.

Karol Nawrocki nie miał na razie okazji celnie trafić żadnego z autorów obrażających go transparentów, dlatego nie dziwię się, że jego uzasadniona złość skupiła się na redaktorze Półchłopku z TVN24, który podczas konferencji prasowej w Przemyślu, zamiast skorzystać z szansy, żeby milczeć, niepotrzebnie zdenerwował Nawrockiego pytaniem, czy nie przeszkadza mu zażyłość premiera Orbána z prezydentem Putinem.

Prezydent słusznie uznał pytanie za tendencyjne, bo co red. Półchłopka obchodzi, czy prezydentowi Polski przeszkadza zażyłość dwóch zagranicznych polityków, która jest ich prywatną sprawą, a nie sprawą tego redaktora. A poza tym red. Półchłopek powinien się skupić na słuchaniu, co prezydent Polski ma mu do powiedzenia, a nie na irytowaniu go pytaniami, ponieważ czasy, gdy prezydent odpowiadał na pytania dziennikarzy, minęły.

Doceniam spokój Karola Nawrockiego, który w obliczu redaktora TVN24, przekraczającego granicę przyzwoitości między słuchaniem a zadawaniem pytań, nie wyszedł z siebie, ale przeciwnie – pozostał w pełni sobą i udzielił Półchłopkowi wyczerpującej odpowiedzi po polsku, a także w języku ciała. Ta druga w wolnym tłumaczeniu sprowadzała się do poinformowania Półchłopka, że jeśli się nie ogarnie, dostanie oklep i może wtedy zrozumie, z kim tańczy. Ciało prezydenta powiedziało to na tyle jasno i wyraźnie, że jeśli red. Półchłopek przy jakiejś okazji znowu zapyta o coś Karola Nawrockiego, będzie mógł mieć pretensje tylko do siebie.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint leipa passion process technology

eprasa.pl 7cd57e2719

Pulsar zaprasza na cykl spotkań

O zmianach klimatu można mówić różnymi naukowymi językami. Psychologiczny opisuje emocje, jakie ten problem budzi, i to, jak człowiek sobie z nimi radzi. Neurobiologiczny pozwala na wgląd w działanie mózgu, który jest świadomy zagrożenia, a jednocześnie ulega pokusie szukania nie prawdy, tylko wygodnej pewności. Językiem socjologicznym da się zdiagnozować wpływ, jaki w kwestiach klimatycznych wywierają na jednostki i społeczeństwa portale społecznościowe, media oraz politycy. I kto jakie partykularne interesy dzięki temu załatwia.

Tymi właśnie językami operują trzy naukowczynie, które przyjęły nasze zaproszenie do dyskusji na temat „Dlaczego fakty do nas nie przemawiają", zaplanowanej na 10 kwietnia o godz. 18 w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu (ul. Św. Marcin 80/82). Są to dr Julia Wahl z Instytutu Biologii i Ewolucji Człowieka Wydziału Biologii UAM, dr Dominika Czerniawska-Szejda z Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW oraz Dominika Zaremba z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN i SWPS. Współorganizatorami spotkania są CK Zamek i Miasto Poznań.

Poznańskie spotkanie jest pierwszym z cyklu „Podróż po wiedzę". Kolejne, poświęcone innym tematom, odbędą się w maju w Gdyni, w czerwcu w Krakowie, we wrześniu w Warszawie, w październiku w Lublinie, w listopadzie w Szczecinie oraz w grudniu w Katowicach. O szczegółach będziemy informować na bieżąco. A już teraz – w imieniu popularnonaukowego portalu POLITYKI projektpulsar.pl – zapraszamy czytelników na wszystkie spotkania.

SPONSOREM CYKLU SPOTKAŃ JEST ENEA.

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

55 lat temu w numerze 14. z 1971 r. Maciej Iłowiecki w artykule „Czasy i obyczaje" pisał o zmieniającej się formie rodziny i małżeństwach jednopłciowych.

„Dunczyków (...) trudno zadziwić lub zgorszyć czymkolwiek w dziedzinie seksu. Toteż niewielu deputowanych wyraziło zdumienie, kiedy kilka miesięcy temu w Folketingu (parlamencie Danii) zgłoszono projekt ustawy o legalizacji małżeństw grupowych. (...)

Jednocześnie w Holandii rozpoczęto w ośrodkach masowego przekazu kampanię o możliwość zawierania małżeństw między osobami jednej płci. Jednym z argumentów za legalizacją takich związków jest fakt, że istnieje ich sporo i że nie czynią nikomu krzywdy ani nie zagrażają porządkowi publicznemu. Zazwyczaj są także dużo trwalsze od związków heteroseksualnych...

(...) W Szwecji, Danii, NRF i w USA pojawiły się (i przybywa ich stale) małżeństwa grupowe – większość jest zapewne czymś w rodzaju »federacji par«, związanych wspólnotą gospodarstwa domowego, wspólnym wychowaniem dzieci, wspólnymi rozrywkami i wzajemną pomocą. Ale coraz liczniejsze (...) są wspólnoty całkowite, w których nie istnieje pojęcie pary, a dzieci mają co prawda jedną matkę, jednak zazwyczaj nie wiedzą, kto jest ich prawdziwym ojcem (...). W USA istniało w 1970 r. ponad 3 tys. różnego typu »komun rodzinnych« (...). Zaniepokojeni socjologowie zbadali kilkaset takich wspólnot (...). Okazało się, że w komunach skupiają się często ludzie o dość wysokim poziomie wykształcenia i odpowiedzialnej pracy (nietrwałe i ściśle seksualne grupy hippiesów są czymś innym). (...). Szczególną, jeszcze rzadszą formą komun są tzw. rodziny agregatowe – wspólnoty osób rozwiedzionych i pożenionych między sobą ponownie, ale już w innych układach. W takich wspólnotach dzieci nie tracą kontaktu z rozwiedzionymi rodzicami. Dr Alvin Toffler, socjolog amerykański, przepowiada komunom rodzinnym wielką przyszłość. Jego zdaniem, one właśnie zastąpią zdegenerowane, monogamiczne małżeństwa współczesne. (...) »Komuny rodzinne« – przynajmniej pozornie – przypominają wspólnoty pierwotne. W tamtych czasach samotna, monogamiczna rodzina byłaby skazana na zagładę, ścisłość związków wspólnoty warunkowała jej przetrwanie. Dzisiaj, powiadają niektórzy, »otoczka cywilizacyjna« staje się równie obca, niespoista i groźna – jak kiedyś dla pierwotnych ludzi było środowisko przyrodnicze. Samotności i strachowi nie udaje się już przeciwstawić tylko we dwoje lub też może ostrożniej: udaje się jedynie niewielu ludziom. (...)

Zapewne głoszenie upadku »tradycyjnej« rodziny jest przedwczesne (...). Jednak (...) można czasem wyrazić żal, że pewien staroświecki typ związków między ludźmi odmiennej płci traci jakby na znaczeniu".

Joannie Lewandowskiej

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci **Taty** składają przyjaciele z POLITYKI

eprasa.pl 7cd57e2719

Pisanki jak malowane

Kraszanki zdobione gorącym woskiem, drapane kroszonki, oklejanki z wycinankami z papieru. Wielkanocne pisanki zachwycają wzornictwem i precyzją wykonania.

TREND

Jadwiga Niedźwiedzka z Kadzidła na Kurpiach batik ma po babci. Pewnie trzyma wąski patyczek z metalowym łebkiem wbitym na końcu. Pisanki wymagają dokładności, dużych pokładów cierpliwości i skupienia. – *Na Kurpiach do tradycji przykłada się szczególną wagę, dlatego umiejętność zdobienia pisanek jest tutaj na porządku dziennym i uczą się jej już dzieci* – opowiada, nie przerywając pracy. Sama tę sztukę przekazała córce i pięciorgu wnucząt. Pisanki z tego regionu są najczęściej dwukolorowe. Na jednolitym tle: czerwonym, czarnym, niebieskim lub zielonym, znajduje się biały wzór. Pani Jadwiga najpierw nakłada wzór gorącym woskiem za pomocą batiku, a później barwi jajka w specjalnych farbach. Robi to z mistrzowską dokładnością. – *W końcu jestem nauczycielką matematyki* – śmieje się.

Ręczne zdobienie pisanek to ciągle żywa tradycja w całej Polsce. Powstają często gdzieś na uboczu wielkich miast, z dala od social mediów, w zaciszu wiejskich domów. – *To nieodłączny element polskiej sztuki ludowej. Połączenie pasji, wiedzy i umiejętności przekazywane od pokoleń* – mówi **Ewa Skowysz-Mucha**. W jej podlaskiej rodzinie w Lipsku nad Biebrzą pisanki wykonuje się od ponad 200 lat. Zafascynowana tą tradycją zainicjowała powstanie Muzeum Lipskiej Pisanki. W drewnianym budynku, przed którym stoi trzymetrowa pisanka, zgromadziła zbiory z całej Polski. – *Co region, to inny wzór i metoda zdobienia. Kaszubskie, łowickie, opolskie, lipskie, kurpiowskie... Ażurowe, oklejanki, zdobione pszczelim woskiem, drapane. Barwione w łupinach cebuli, korze dębu, płatkach chabrów. Chociaż obecnie często używa się farb przemysłowych* – wylicza. Za swoją działalność w 2024 r. otrzymała nagrodę im. Oskara Kolberga.

W Lipsku i innych częściach Podlasia pisanki wykonuje się przy użyciu pszczelego wosku, metodą batiku szpilkowego. Różnią się wzorem. Dla Lipska charakterystyczna jest rozciągnięta łezka, którą w różnych konfiguracjach nanosi się na wydmuszkę. Powstają gwiazdki, słoneczka, kwiatuszki, pajączki, pajęczynki. Ewa Skowysz-Mucha milknie, kiedy siada do pracy. Z okularami zsuniętymi na czubek nosa pracuje w pełnym skupieniu. Jedno zamoczenie w wosku, jedno pociągnięcie na wydmuszce. Po naniesieniu wzoru zanurza się ją w barwnikach od najjaśniejszego do najciemniejszego. – *Wzory czerpiemy z przyrody, bo żyjemy w otulinie Biebrzańskiego Parku Narodowego. Na ozdobienie jednej pisanki trzeba poświęcić kilka godzin. Oczywiście zależy to też od wielkości jajka. Pisanki powstają na jajach gęsich, kaczych, kurzych, nawet strusich* – opowiada.

Magdalena Gorlas
– dziennikarka w podróży, autorka tekstów, ciekawa drugiego człowieka. Publikowała m.in. w: „Chicago Tribune", POLITYCE, „Vogue'u", „Dużym Formacie" czy „Piśmie. Magazynie opinii".

Największe pisanki widziałam w województwie opolskim, pierwszą na dworcu kolejowym w Opolu, drugą w Gogolinie. To kroszonki, tradycyjne pisanki z regionu. Maria Żmija-Glombik, przewodnicząca Związku Śląskich Kobiet Wiejskich, kroszenia, czyli upiększania, nauczyła się od babci. Najpierw jajko trzeba umyć, żeby nie było na nim tłuszczu i barwniki dobrze się przyjęły. Następnie gotować przynajmniej dwie godziny, by uniknąć brzydkiego zapachu. Dziesięć minut przed końcem gotowania dolewa się octu. Potem w zimnej wodzie jajko przeciera się gąbką. Barwi się je w łupinach cebuli, farbkami do tkanin albo tuszem. – *Nożykiem do tapet albo brzytwą wydrapujemy śląskie wzory: kwiatki, listki, gałązki lub kółka, kratki i szlaczki. Kolory też mają znaczenie. Czerwony oznacza miłość, zielony nadzieję* – tłumaczy.

Łowickie wzory podbiły świat i też znalazły swoje odzwierciedlenie na pisankach, nazywanych tutaj oklejankami. Stefania Borkowska z Boczek tworzy wycinanki od 1972 r. Uczyła się sama. – *Kobiety z sąsiedniej wioski takie robiły. Pamiętam kartki z kolorowymi kogucikami, które bardzo mi się podobały. I sama zaczęłam je robić, później doszły oklejanki. Bardzo długo zajmowałam się tym zawodowo w Spółdzielni Sztuka Łowicka.*

Jej pisanki to naklejane na wydmuszkę warstwy kolorowego papieru, które układają się w łowickie motywy: sceny rodzajowe, koguty, pawie. Pani Stefania jest już na emeryturze i pracuje w swoim gospodarstwie. – *Lubię jednak, szczególnie zimą, usiąść w fotelu i powycinać. Zawsze mnie to uspokaja.* ■

© KAROLINA JONDERKO (2), ARCHIWUM PRYWATNE, FACEBOOK.COM/MINDENTERPRISES, SHUTTERSTOCK AI

eprasa.pl 7cd57e2719

WIRAL

Koalicja niechętnych

Europa może odmawiać Donaldowi Trumpowi wsparcia w jego wojnie z Iranem. I może to robić śpiewająco, jak to czynią internauci, posiłkując się twórczością duetu Mind Enterprises. Producent Andrea Tirone z Turynu i spec od syntezatorów Roberto Conigliaro nawiązują do konwencji italo disco, muzyki dyskotekowej, która w latach 80. rozlała się znad Padu na całą Europę i nieco dalej. Panowie – jeden z wąsem, obaj z koszulkami wpuszczonymi w spodnie – swoje proste, kolorowe klipy kręcą głównie w domowych sceneriach. Bujają się do rytmu nad keyboardem, sączą drinki i popalają papierosy. Zrelaksowani jak memiczny pies z komiksu KC Greena, który pije kawę i nigdzie się nie rusza, choć ma pożar za plecami.

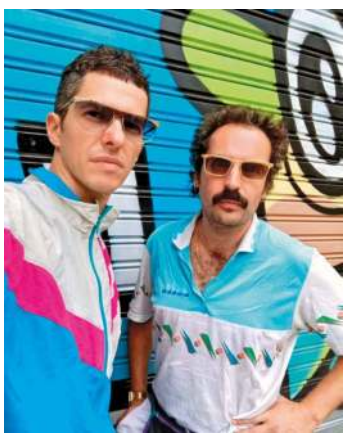

„Grają banger za bangerem za bangerem" (czyli przebój za przebojem za przebojem), puentuje ktoś w sieci. Duet rozstawia czasem sprzęt w plenerze, ale i wyprzedaje całe trasy koncertowe. Wielopokoleniowej widowni podoba się konwencja retro i zaraźliwy luz twórców. **Mind Enterprises** ma prawie milion słuchaczy na Spotify, milionowe odsłony na TikToku, a siłą rzeczy również głośną kampanię promocyjną przed premierą nowego albumu (w maju). Ironia losu: italo disco dekady temu miało być przeciwwagą dla disco zza oceanu.

Kiedy więc Murica, jak się pogardliwie określa Amerykę, prosi o pomoc, internet w Europie odpowiada stanowczo: mamy to w nosie, radźcie sobie sami. A klipy Mind Enterprises służą za ilustrację i ścieżkę dźwiękową, bo idealnie tę postawę wyrażają. „Dołączam do koalicji wyluzowanych", komentuje jeden z użytkowników platformy X. „Posyłamy myśli, modlitwy i trochę muzyki", dodaje ktoś inny. Nie jest to wyłącznie przekora, ale odwet za Grenlandię i za wzniecanie wojen bez oglądania się na sojuszników. Cieśninę Ormuz internet przechrzcił przy okazji na „cieśninę FAFO" – od „Fuck Around and Find Out" (jak spieprzysz, to się przekonasz). Opisywaliśmy na naszych łamach tę strategię wychowawczą (POLITYKA 10), dziś to również aluzja do Trumpa i jego nieobliczalności. W Polsce mamy na to chyba lepsze hasło: „co by tu jeszcze spieprzyć, panowie?". I też były o tym piosenki.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

SŁOWO

Żonatka z mężatkiem

Dziś o korespondencji, która wpłynęła do Rady Języka Polskiego. List przyszedł od aktywistki z grupy Tęczowy Sanok i był to właściwie formalny wniosek o oficjalne uznanie i włączenie do zasobu polszczyzny słów „żonata" (w stosunku do kobiety zawierającej związek małżeński z kobietą) oraz „mężaty" (w stosunku do mężczyzny zawierającego związek małżeński z mężczyzną). Informacja o jego wysłaniu rozeszła się w sieci szeroko. W pierwszej kolejności zelektryzowała środowiska kościelnej prawicy. Ta skupiona wokół strony ratujmyzycie.pl zdecydowała po chrześcijańsku zadrwić: „Można powiedzieć »żonatka«, nie wzbudzając zdziwienia ani śmieszności?". Pojawiła się też na antenie radiowej Trójki w cyklu językowym „Przy słowie" Mateusza Adamczyka. „Gdyby spojrzeć na te słowa od strony technicznej, to należy uznać, że są poprawnie utworzone" – zauważył autor, dodając, że odpowiadają też na pewną społeczną potrzebę. Ba, „Wielki słownik języka polskiego" (WSJP) odnotowuje już „mężaty" jako formę potoczną z definicją „będący w związku małżeńskim" (brak jednak symetrycznej formy „żonata").

Co zaś do wspomnianego na wstępie wniosku – Rada Języka Polskiego ani żadne inne gremium nie dokonuje oficjalnego uznania słów, to my wszyscy kształtujemy formy językowe. Oczywiście pomoże tu przełomowy wyrok NSA w sprawie zawartego w Berlinie jednopłciowego małżeństwa dwóch Polaków. Informacje o uznawanych przez Polskę związkach zaczną krążyć w dokumentach. Słowa „żonata" i „mężaty" prawdopodobnie szybko przestaną szokować. Pomogą w tym administracja państwowa oraz... prawicowe social media, które od dawna tych słów używają. Weźmy wpisy z platformy X: „Nadwiślańskiemu lewactwu i postępowym katolikom marzy się premier, jakiego ma Luksemburg – mężaty gej" albo „premierem Francji został 34-letni minister edukacji i młodzieży Gabriel Attal, oficjalny homoseksualista mężaty z przywódcą Partii Renesansu". Wpisy te, bez względu na intencje, zapewniają nowym terminom frekwencję, która do kolejnych słowników wprowadzi je szybciej i naturalniej. Przypomnijmy: najpierw cię ignorują, potem się z ciebie śmieją itd. W każdym razie na końcu jest żonata i mężaty.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Jak mogę, robię less, a i tak rozbijam bank,
Więc muszę trafiać w takt
Guzior, Przy sonecie, 2026 r.
robić less – robić mniej (kalka z angielskiego)

eprasa.pl 7cd57e2719

PODRÓŻE

Prawdziwy koniec świata

Georgia Południowa to jedna z najbardziej odizolowanych od cywilizacji wysp na świecie. Turystów przyciąga unikatowa, niespotykana nigdzie indziej przyroda.

Nie lądują tu samoloty. Na Georgię Południową można dopłynąć tylko tak jak ja, na małym, 13-metrowym jachcie, albo – w sezonie – wycieczkowcem. Stolicą tej oblanej wodami południowego Atlantyku subantarktycznej wyspy, a zarazem jedynym osiedlem ludzkim, jest King Edward Point. Składa się na nie tak naprawdę raptem kilka skromnych baraków zamieszkiwanych przez naukowców i obsługę techniczną. Turystów interesuje znajdujące się w pobliżu opuszczone miasteczko wielorybnicze Grytviken, w którym między 1904 a 1965 r. przerobiono na olej setki tysięcy waleni. W miejscowym kościółku znajdujemy lokalną pamiątkę – na zawieszonej pół wieku temu metalowej tabliczce widnieje napis: „W hołdzie sir E.H. Shackletonowi, wielkiemu badaczowi i bohaterowi, załoga statku Gemini". Słynny brytyjski polarnik, który podczas swojej kolejnej naukowej wyprawy zmarł w Grytviken na atak serca, spoczywa w pobliżu na niewielkim cmentarzu.

Monika Witkowska – himalaistka, żeglarka, podróżniczka. Autorka książek (m.in. „K2. Ostatnia szansa" i „Kurs Arktyka"). Prowadzi stronę na Facebooku: Monika Witkowska – Podróże małe i duże.

Trudno się nie zgodzić, że Shackleton miał wielki udział w rozpropagowaniu wyspy. Chodzi o dokonane przez niego w 1916 r. przejście przez pokryte lodowcami góry, co stanowiło finał brawurowej akcji ratunkowej, dzięki której udało się ocalić całą załogę zniszczonego przez lód statku. Legendę Shackletona opowiada spora część ekspozycji lokalnego muzeum, a wizerunek polarnika umieszczono na znaczkach sprzedawanych na lokalnej poczcie, która jest otwierana, gdy przypływa wielki wycieczkowiec.

Zanim wysłane stąd kartki dotrą do adresatów, mija jednak trochę czasu. Najpierw przewozi się je statkiem na odległe o 1,6 tys. km Falklandy (dla Argentyńczyków Malwiny), potem lecą wojskowym samolotem do Wielkiej Brytanii (kolejne 12,7 tys. km) i stamtąd dopiero dalej. Urokliwe jak na dzisiejsze czasy.

Georgia Południowa to prawdziwy koniec świata. Nie licząc satelitarnych opcji, nie działają tu żadne sieci telefoniczne, nie ma dróg, szlaków turystycznych, za to jest dużo zakazów i nakazów. Nie można biwakować, zabronione jest siadanie na kamieniach czy trawie, a schodząc na ląd czy wracając na statek lub jacht, trzeba odkazić buty. Chodzi o ochronę wrażliwej miejscowej przyrody przed wpływami z zewnątrz. Złamanie zakazów jest traktowane jak złamanie prawa i grozi m.in. zakazem wpływania na brytyjskie terytoria.

Każda zatoczka, w której kotwiczymy, to okazja do niezwykłych spotkań. Najbardziej spektakularne są olbrzymie kolonie **pingwinów królewskich**. Hałas robią ogromny, zapach też jest osobliwym doznaniem, ale widok 150 tys. tych wyjątkowych nielotów w Saint Andrew's Bay to jedno z moich najciekawszych podróżniczych doświadczeń. Występują tu też inne gatunki, np. pingwiny białobrewe, pingwiny maskowe, które z powodu swojej charakterystycznej czapeczki i czarnego paska pod brodą potocznie nazywane są policjantami, czy też mające nad oczami żółte pióra pingwiny złotoczube.

Niełatwo było nam do nich dotrzeć. Nie tyle z powodu fal czy skał utrudniających lądowanie pontonu, ale agresywnych fok i uchatek. Największe wrażenie z fokowatych robią samce słoni morskich. Najpotężniejsze z nich mogą osiągać nawet 5 m długości i wagę 3,7 tony.

Żeglowanie wzdłuż brzegów Georgii Południowej łatwe nie jest. Problemem jest zmienna, często sztormowa pogoda, góry lodowe, podwodne skały, a także kelp, jak z angielska określa się gęste i długie wodorosty, których skupiska stanowią zmorę żeglarzy, za to przez miejscowych wykorzystywane są do produkcji alkoholu (200 funtów za butelkę!). Nagrodą za trudy są widoki na ośnieżone szczyty (największa góra, Mount Paget, ma 2934 m wysokości) kontrastujące z wyjątkowo intensywną zielenią niżej położonych stoków. Podobnie jest z białymi górami lodowymi, odbijającymi się od intensywnie turkusowego w pogodne dni morza. Ucztę dla oczu stanowi 11-kilometrowy Fiord Drygalskiego. Niech nas tylko nie zmyli swojsko brzmiące nazwisko, w rzeczywistości chodzi o niemieckiego badacza. ■

© MONIKA WITKOWSKA, LESZEK ZYCH, SHUTTERTOCK, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 7cd57e2719

Sauvignon blanc podbiło świat, choć ma ogromny elektorat negatywny.

WINO

Kocie siki na krzaku agrestu

Czy wino jest psem, czy kotem? To jedno z najzabawniejszych pytań, które pojawiły się ostatnio w winosferze. Na pewno istnieje wino, które jest zdecydowanie bardziej kotem. Zapach sauvignon blanc niektórym kojarzy się bowiem z... kocimi sikami. Jest on tak charakterystyczny, że zafascynował nawet naukowców, którzy po długich analizach orzekli: za owe nuty odpowiadają cząsteczki zwane metoksypirazynami, które ze wszystkich win występują w najwyższych stężeniach właśnie w sauvignon blanc.

Ta niezwykła odmiana pochodzi z atlantyckiej Francji i jest głównym budulcem sławnych win, takich jak Sancerre, Pouilly-Fumé z Doliny Loary czy bordoskie Graves. W tych klasycznych wariantach jest to wino mocno kwasowe, „zielone" – ma często nuty warzyw i ziół bardziej niż owoców, ze szparagami i miętą na czele, a także „mineralne", z chłodnym smakiem przypominającym mokre kamienie. Ot, jedno z wielu win winiarskiej Francji – zdolne zarówno do banału, jak i wybitności, ale bez gwiazdorskiego statusu.

Światowa kariera sauvignon blanc rozpoczęła się na drugim końcu świata. Na początku lat 70. producenci w malutkim kraju winiarskim, jakim wtedy była Nowa Zelandia, na żwirowych glebach rzecznych dolin Awatere i Wairau w regionie **Marlborough**, zamiast powszechnego wówczas, mało inspirującego szczepu Müller-Thurgau, zasadzili eksperymentalnie sauvignon. W słonecznym klimacie winogrona dojrzały dużo lepiej niż nad Loarą, a wino zamiast szparagiem zapachniało agrestem, melonem, kiwi i marakują. Aromatyczna bomba szybko podbiła serca młodych winomanów w krajach anglosaskich, zwłaszcza tych, którzy mieli już dosyć maślano-karmelkowych chardonnay, które wtedy rządziły na rynku. Beczkowe chardo było ciężkie i nudnawe jak piątkowe zebranie w korporacji, natomiast rześkie, ożywcze sauvignon reprezentowało beztroski relaks i młodość.

Marlborough sauvignon blanc odniosło nieprawdopodobny sukces. Areał winnic w Nowej Zelandii potroił się, kraj stał się jednym z głównych światowych eksporterów, a aż 80 proc. tego eksportu to właśnie wino z zielonego szczepu. Do tego winiarze z Nowego Świata podeszli do marketingu zupełnie inaczej niż ich koledzy z Francji, z ich nudnymi białymi etykietami pełnymi słów, których nikt nie rozumie. Na antypodach butelki okraszano egzotycznymi kwiatami i zwierzakami, komunikat uproszczono do minimum: Marlborough sauvignon blanc, niekiedy z przymrużeniem oka, jak w przypadku słynnego Cat's Pee on a Gooseberry Bush – „kocich sików na krzaku agrestu".

Moda zaczęła opanowywać kolejne kraje. Trafiła też – kilka lat spóźniona, jak zawsze – do Polski. Przy czym na początku zakochaliśmy się w wersji podstawowej, tej z marketu. Wino pod marką Greyrock, sprzedawane od dekady w Biedronce, to bodaj najbardziej rozpoznawalna dyskontowa etykieta w naszym kraju. Podejrzewam, że przyciągnęła do świata wina setki tysięcy nowych konsumentów. Nie dziwię się – jest to bardzo dobry produkt. Pełne soczystego owocu, cytrusowo-egzotyczne, orzeźwiające wino, idealne na wiosnę i lato, do tego godne zaufania – każdy rocznik smakuje tak samo solidnie. Podobne w charakterze pojawiły się we wszystkich sieciach handlowych i winotekach.

A jednak sauvignon ma też spory elektorat negatywny. Hejterzy zarzucają mu stereotypowość i sztuczność. Wśród epitetów – „oranżada w proszku", „owoce z puszki", „wino sponsorowane przez producenta drożdży" (to one mają być odpowiedzialne za egzotyczne aromaty), no i sprawa kota. Czy kuweta pupila naprawdę jest czymś, co chcemy znaleźć w kieliszku? Moda na sauvignon miała wręcz przeminąć tak szybko, jak się pojawiła. Takie proroctwa słyszę jednak od 20 lat, a nowozelandzkie sauvignon jak było, tak pozostaje – wielkim hitem. ■

Wojciech Bońkowski
– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Cimarosa Zesty & Fruity Sauvignon Blanc 2025, 34,99 zł (sklepy Lidl)
Greyrock Reserve Marlborough Sauvignon Blanc 2025, 39,99 zł (sklepy Biedronka)
Château de Cateau Bordeaux Blanc 2024, 46 zł (marekkondrat.pl)
Jules Taylor The Better Half Sauvignon Blanc 2025, 69 zł (wine-express.pl)
Greywacke Marlborough Sauvignon Blanc 2024, 119 zł (dekanter.pl)

eprasa.pl 7cd57e2719

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Kochamy nienawidzić

W podkaście „Polskie demo", który POLITYKA prowadzi z Fundacją Batorego, gościł tym razem prof. Przemysław Sadura, współautor raportu „Ludzie bezwstydni". „Chyba trzeba pogodzić się z tym, że żyjemy nie w jednym, ale w dwóch społeczeństwach", twierdzi na podstawie swoich nowych badań. Coś nas jednak łączy: „nienawidzimy polityki", ale i „kochamy ją nienawidzić". Rozmowę obejrzycie na polityka.pl i w naszych kanałach streamingowych.

Krok w stronę równości

NSA zobligował urzędników stanu cywilnego do transkrypcji małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą. Czy mogą takiego wpisu odmówić, pytamy mec. Pawła Knuta, pełnomocnika Jakuba i Mateusza, dzięki którym ten wyrok zapadł. A czy powinniśmy się teraz obawiać „ślubnej turystyki"? „Regularnie udzielam pomocy prawnej osobom, które albo sformalizowały, albo zamierzają sformalizować swój związek za granicą. Ich motywacją nigdy nie jest kaprys czy poszukiwanie rozrywki", mówi stanowczo mec. Knut.

Tęczowy Zośka, Rudy z ONR?

„Książka Aleksandra Kamińskiego padła ofiarą własnej atrakcyjności, a legenda bohaterskiego czynu zjadła wszystko inne" – mówi Kornelia Sobczak, autorka książki „Zośka i Rudy. O miłości, przyjaźni i Polsce". **Co tak naprawdę łączyło Zośkę i Rudego? Jak działały ówczesne ruchy harcerskie? I czy „Kamienie na szaniec" nadają się do czytania dla szkolnej młodzieży? Rozmowa z Kornelią Sobczak do przeczytania na polityka.pl.**

Dźwięczność Waglewskiego

„Muzyka rockowa trochę zdechła w Polsce", mówi bez ogródek Wojciech Waglewski, który jest jej wierny od 40 lat, a zarazem stara się nie powtarzać i z nikogo nie „zrzynać". W studiu POLITYKI opowiada Bartkowi Chacińskiemu o nowej płycie Voo Voo i wspomina barwne dzieje zespołu, który mimo szalonej popularności nigdy nie stał się komercyjny. Dlaczego jest znany nawet w Buriacji? I jaki instrument kupił Waglewski na Bazarze Różyckiego? Tego też się dowiecie z tej rozmowy.

Kwadratura koła

Dlaczego rowerzyści na całym świecie „zbierają kwadraty"? W nowym odcinku podkastu „Rowery, nie bajki" przeglądamy aplikacje na smartfony dla miłośników tej formy ruchu. Squadrats śledzi naszą aktywność i wprowadza element rywalizacji: im więcej jeździsz, tym lepsze miejsce zajmujesz w rankingu. Jak to dokładnie działa, opowiadają Artur Bil (jeden z twórców aplikacji) i Oskar Szlachta (zapalony kwadraciarz). Rozmowę prowadzi i zagadkę kwadratury koła rozwiązuje Juliusz Ćwieluch.

© ANNA AMAROWICZ (3), ROBERT ROBASZEWSKI/AGENCJA GAZETA.PL, MATERIAŁY PRASOWE

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 7cd57e2719

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 7cd57e2719

RAINBOW

R.pl

WYBIERZ WYCIECZKĘ OBJAZDOWĄ DLA SIEBIE

7+7
ZWIEDZANIE Z WYPOCZYNKIEM

City break
KILKUDNIOWE WYPADY

Rejsy
CODZIENNIE INNY PORT

Kulinarne
PODRÓŻOWANIE ZE SMAKIEM

Rodzinne
DLA MAŁYCH I DUŻYCH

Premium
KAMERALNE GRUPY
I WYŻSZY STANDARD HOTELI

DLA MNIE OBJAZD

eprasa.pl 7cd57e2719